

Skarbiec. pamięci

Skarbiec pamięci

Konkurs historyczno-literacki 2012–2021
Wybór prac

SZCZECIN 2021

Redakcja:

Beata Niemaszyk, Anna Bartczak

Skład:

Andrzej Zajda

Copyright © by Biuro Dokumentacji Zabytków w Szczecinie, Książnica Pomorska w Szczecinie

ISBN 978-83-933448-7-1

ISBN 978-83-64070-53-2

Wydawcy:

Biuro Dokumentacji Zabytków w Szczecinie



BIURO
DOKUMENTACJI
ZABYTKÓW
W SZCZECINIE



Instytucja Kultury
Samorządu Województwa
Zachodniopomorskiego

Książnica Pomorska im. Stanisława Staszica w Szczecinie



Książnica Pomorska
im. Stanisława Staszica
w Szczecinie



INSTYTUCJA KULTURY
SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA
ZACHODNIOPOMORSKIEGO



Pomorze
Zachodnie

Druk:

Książnica Pomorska im. Stanisława Staszica

ul. Podgórna 15/16, 70-205 Szczecin

www.ksiaznica.szczecin.pl

W jednym zdaniu może się dużo zmieścić.

Może się wszystko zmieścić.

Może się całe życie zmieścić.

Wiesław Myśliwski, *Traktat o łuskaniu fasoli*

Już dziesięć lat mija od czasu, gdy w 2012 roku Biuro Dokumentacji Zabytków w Szczecinie i Książnica Pomorska w Szczecinie ogłosiły pierwszy konkurs historyczno-literacki dla uczniów szkół województwa zachodniopomorskiego, którego hasłem przewodnim było motto Europejskich Dni Dziedzictwa „Tajemnice codzienności”. Ideą konkursu było połączenie wyobraźni i talentów pisarskich wychowanków placówek oświatowych regionu oraz ich wiedzy na temat dziedzictwa kulturowego, skomplikowanej historii Pomorza Zachodniego i ich własnych rodzin.

W kolejnych latach prosiliśmy o twórcze nawiązania do rozmaitych haseł przewodnich – zawsze związanych z tematyką Dni Dziedzictwa, początkowo Europejskich, a od 2016 roku – Zachodniopomorskich. Autorzy nadsyłanych prac rozwiązywali postawione przed nimi zadania w zróżnicowany sposób. Część z nich tworzyła opowieści bardzo literackie, tylko bazujące na historii regionu i Polski. Inni badali i opisywali historie swoich rodzin lub miejscowości, czasem prowadząc wręcz detektywistyczne poszukiwania.

Komisja konkursowa – choć w zmieniającym się składzie – stale poszukiwała w pracach nie tylko pięknej, poprawnej polszczyzny, ale także rzetelności badawczej, samodzielności w tworzeniu opowieści opartej na wiedzy historycznej.

Od samego początku w jury zasiadały: Cecylia Judek – polonistka, wieloletnia sekretarz naukowa Książnicy Pomorskiej w Szczecinie, Anna Bartczak – historyczka, przewodnicząca jury oraz Beata Niemaszyk – polonistka, sekretarz i dobry duch komisji. Przez wiele lat pracował z nami Jan Krzysztoń (1948–2021) – regionalista, przewodnik PTTK, którego ostatnio godnie zastępuje Agnieszka Gnat-Łeśniańska – polonistka. W jury pracowały także Barbara Sztark (1963–2017) – polonistka, wieloletnia kierowniczka Działu Regionalnego Książnicy Pomorskiej, Maria Witek – etnografka, obecnie dyrektor Biura Dokumentacji Zabytków w Szczecinie oraz Agnieszka Osiak – historyczka. Zróżnicowane przygotowanie

zawodowe pozwalało jurorom na zdywersyfikowane spojrzenie na prace i powodowało często długie dyskusje podczas ustalania werdyktów.

W ciągu dekady trwania konkursu swoje prace nadesłało kilkuset autorów w wieku od 14 do 19 lat. Wielu z nich zakończyło już swoją edukację i „weszło w dorosłe życie”. Mamy jednak nadzieję, że nie utracili swojej wyobraźni, kreatywności oraz ciekawości świata i ludzi, a być może kontynuują działalność literacką i badawczą.

Często zaskakiwała nas szeroka wiedza uczestników i ich pasja poszukiwania w minionych, dawnych czasach wartości ważnych dla teraźniejszości i przyszłości. Niejednokrotnie tworzona przez nich fikcja literacka była tak wiarygodnie konstruowana, że członkowie jury toczyli długie dyskusje, rozważając, z jaką wersją historii mają do czynienia. Wiele razy najwyższe uznanie wzbudzał poziom językowy prac nadsyłanych na konkurs.

Dlatego uznaliśmy, że warto utrwalić w formie książkowej choćby część nagrodzonych przez lata prac. W jubileuszowej publikacji znalazły się z konieczności tylko te nagrodzone pierwszymi nagrodami oraz nagrodą specjalną. Dla ujednolicenia formy całości zrezygnowaliśmy z opublikowania ilustracji, bibliografii i przypisów towarzyszącym pracom. Podczas redagowania zbioru staraliśmy się ograniczać ingerencję w teksty do niezbędnego minimum, by zachować oryginalny język i styl młodych twórców. Prosimy zatem podczas lektury uwzględniać wiek autorów tekstów.

W imieniu Komisji Konkursowej:
dr Anna Bartczak
Cecylia Judek
Beata Niemaszyk

■ ROK 2012

„Tajemnice codzienności”

*Studiuję historię jakbym badał swoje własne ścieżki
niczego nie wiem na pewno – patrzę w czas
który drży jak silnie rozgrzane powietrze
Nic nie jest wyraźne niczego nie wiem na pewno [...]*

Henryk Banasiewicz (1957–2003),
poeta szczeciński,

*** (*Studiuje...*) z tomu *Apsara* (1997)



Nagrody i wyróżnienie przyznane w kategorii gimnazja:

I nagroda za pracę „Tajemnice przeszłości” dla Aleksandry Sz wajdy
z Gimnazjum nr 12 im. Stanisława Lema w Szczecinie (opiekun:
Joanna Stafiej)

II nagroda za pracę „Tajemnice codzienności” dla Mileny Brodowskiej
z Gimnazjum Gminnego im. Ireny Sendlerowej w Sianowie (opiekun:
Stanisław Kamiński)

**III nagroda za pracę „Tajemnica dworku w Widuchowej” dla Kai
Jurkowskiej** z Publicznego Gimnazjum im. Kazimierza Górskiego
w Widuchowej (opiekun: Marzanna Przygoda)

wyróżnienie za pracę „Przypadkowe spotkanie” dla Jana Kokowskiego
z Gimnazjum nr 12 im. Stanisława Lema w Szczecinie (opiekun:
Joanna Stafiej)

Nagrody i wyróżnienia przyznane w kategorii szkoły ponadgimnazjalne:

I nagroda za pracę „Moja lekcja historii” dla Pauli Haleckiej z Liceum
Ogólnokształcącego w Zespole Szkół im. Tadeusza Kościuszki w Łobzie
(opiekun: Anna Bogusze wska-Wąsowicz)

II nagroda za pracę „Historia moich przodków” dla Aleksandry Pułkownik
z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych im. Czesława Mił osza w Gryficach
(opiekun: Danuta Pełczyńska-Nejmasz)

III nagroda za pracę bez tytułu dla Marioli Nowak z III Liceum
Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Szczecinie (opiekun:
Anna Derkowska)

wyróżnienie za pracę „W Ogrodzie Różanym” dla Karoliny Bartczak
z Zespołu Szkół im. Henryka Sienkiewicza w Kołobrzegu (opiekun:
Anna Stolica-Dobrowolska)

wyróżnienie za pracę „Tajemnice codzienności” dla Mai Broszkiewicz
z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych im. Czesława Miłosza w Gryficach
(opiekun: Danuta Pełczyńska-Nejmasz)

Aleksandra Sz wajda

godło: „Olvin”

Tajemnice przeszłości

Całe pomieszczenie było spowite cieniem. Panujący półmrok potęgował tylko poczucie strachu i grozy. Jedynie małym strugom światła udawało się tu dostać poprzez niewielkie, drewniane okienko. Po omacku przesuwałam swoimi dłońmi po chropowatej powierzchni ściany w celu znalezienia włącznika światła. O ile takowy się gdzieś tu znajdował. Bardzo rzadko odwiedzałam tę część domu. Odkąd pamiętam, strych babci budził we mnie lęk. Już jako mała dziewczynka zawsze bałam się potworów czyhających na mnie za masywnymi meblami i stertą kartonów z przeróżnymi rzeczami. Wyobrażałam sobie, jak wyskakują zza ściany i mnie pozerają. Na samą myśl o tym dostawałam ataku paniki. I tak ten strach przed czymś, co nie istnieje, pozostał mi po dziś dzień. Niestety, musiałam przełamać moją odwieczną awersję i uporządkować poddasze. Od śmierci dziadka babcia nie dawała już sobie rady z niektórymi obowiązkami i poprosiła mnie o pomoc ze sprzątaniem. Nie mogłam jej odmówić. Zabrałam się do roboty z samego rana, mając nadzieję, że uda mi się skończyć przed nadejściem nocy. Pierwszym nie lada zadaniem było oświetlenie strychu, bo w ciemnościach trudno było cokolwiek zrobić. Po wielu próbach w końcu mi się to udało. Stara, dawno nieużywana i ledwo trzymająca się sufitu żarówka dawała prowizoryczne światło, ale to musiało mi wystarczyć. Przynajmniej dzięki temu widziałam coś więcej oprócz ciemności i mogłam się w miarę sprawnie poruszać bez obawy, że za chwilę zderzę się z jakimś przedmiotem. Teraz mogłam się lepiej przyjrzeć otoczeniu. Meble były poprzykrywane ciężkimi, dziurawymi płachtami. Każdy kąt, każdy skrawek ściany i wystające z niej belki podtrzymujące dach były osnute pajęczynami. Podłoga aż roiała się od tych wstrętnych robali obdarzonych przez naturę kilkoma parami owłosionych, patyczkowatych odnóży. Staralam

się zachować zimną krew i nie zwracać na nie uwagi. Przerzuciłam wzrok na stertę pudeł. Wszystkie były pokryte grubą warstwą kurzu nieścieranego przez kilka dobrych lat. W powietrzu też było go sporo, co utrudniało swobodne oddychanie. Co chwilę mój organizm próbował się uporać z drobinami pyłu dostającymi się do nosa, wywołując naprzemienne ataki kaszlu i kichania. Spróbowałam otworzyć położone w głębi okienko, żeby dopuścić powiew świeżego powietrza. Kiedy to zrobiłam, od razu poczułam wielką ulgę. Zabrałam się za przeglądanie i segregowanie pudeł. W każdym znajdowało się wiele rupieci i nieużytecznych gratów: metalowe stelaże od parasolek, ramy od obrazów, miedziane świeczniki, szkatułki, maszyna do pisania i jakieś przedwojenne przedmioty, których przeznaczenia i funkcji nie mogłam określić. Znalazłam również drewniany wieszak na ubrania z odręcznie wygrawerowanym napisem *Nougard*, który po przetłumaczeniu oznacza Nowogard. Między sprzętami przewijało się także wiele ubrań, mundurów, hełmów i pojedyncze sztuki ciężkich, masywnych butów. Musiały być naprawdę stare, bo rozpadały się przy każdym mocniejszym dotknięciu. Zastanawiało mnie, do kogo należały, bo nie przypominam sobie, żeby dziadek kiedykolwiek wspominał coś o służbie w armii. Może to była pamiątka po jego ojcu albo bracie, a może po prostu był wielkim wojskowym pasjonatem i kupował na pchlich targach tego typu akcesoria. Musiałabym o to zapytać babcię, ale póki co, nie chciałam tracić na to czasu. W końcu przede mną było jeszcze dużo pracy. Zabrałam się za drugi karton. Ten, w przeciwieństwie do poprzedniego, nie był wypchany po brzegi metalowymi rupieciami, tylko dość sporą kolekcją książek, encyklopedii i kilkoma tomami Biblii. Ich wygląd nie zachęcał do przeczytania. Szare, obdarte ze skóry okładki, żółte, rozkładające się kartki i ten mało przyjemny zapach starości. Otworzyłam jedną z książek na pierwszej stronie, gdzie powinien znajdować się tytuł. Oczywiście, pierwsze co zobaczyłam, to tona kurzu, którą odruchowo przetałam ręką. Pył z gracją zawirował w powietrzu, rozwiewając się w każdą stronę i powoli odsłaniając pojedyncze litery, a potem wyrazy. Przeczytałam pierwszy, na chybił trafił, wybrany fragment tekstu. Słowa nie kleiły mi się w żadną logiczną całość. Gdy spojrzałam na nie po raz drugi, zrozumiałam dlaczego. Nie był to polski utwór, lecz napisany po niemiecku, dlatego na początku miałam lekkie problemy z rozszyfrowaniem treści. Od ośmiu lat uczyłam się tego języka w szkole, więc poradziłam sobie z jego przetłumaczeniem. W tekście była mowa o losach żołnierzy w czasie II wojny światowej. Z zaciekawieniem przewertowałam dalsze strony. Podczas przewracania wydawały bardzo szeleszczący dźwięk. Niestety, książka nie wytrzymała nacisku moich palców i rozpadła się. Wszystkie kartki z impetem

wyleciały na podłogę, robiąc wielki bałagan. Długo trwało, zanim pozbierałam i poukładałam porozrzucane strony. Kiedy podnosiłam je z ziemi, spomiędzy nich wypadło kilka starych, zniszczonych zdjęć. Przedstawiały dom.

Nie dawało się zauważyć jakichkolwiek szczegółów, ponieważ fotografie były niewyraźne i bardzo ciemne. Przypominały scenografię horroru: mroczny, pełen grozy budynek, przed którym stała postać czyhająca na swoje nic niepodejrzewające ofiary, by je chwilę później zamordować w czeluści piwnicy. Moja wyobraźnia działała już na pełnych obrotach. Na samą myśl o tym aż dreszcz przeszedł przez moje ciało, strosząc włoski na skórze. Podświadomie wydawało mi się, jakbym kiedyś już widziała ten dom, ale za nic nie mogłam sobie przypomnieć gdzie. To potęgujące uczucie trwogi coraz bardziej we mnie wzrastało, więc wolałam się od niego uwolnić i zająć się dalszym sprzątaniem. Postanowiłam, że gdy skończę pracę, to się im wnikliwiej przyjrzę. Nim włożyłam zdjęcia do tylnej kieszeni moich obdartych džinsów, dostrzegłam na ich odwrocie pewien napis: *Anne Maria und Albert. Nougard, 1939*. To znaczy, że fotografie pochodziły z czasów wojny. Nie mogłam teraz nad tym się dłużej zastanawiać, bo musiałam zabrać się za ściąganie olbrzymich pajęczyn, odkurzanie i inne zabiegi czyszczące. Co chwilę robiłam sobie przerwę, ponieważ moją uwagę przykuwały przeróżne, dziwne przedmioty. Dokładnie im się przyglądałam, próbując odtworzyć ich bogatą historię. Doszłam do wniosku, że strych babci to istne muzeum – nie tylko pełniące funkcję ekspozycyjną, ale także będące składowiskiem wielu tysięcy wspomnień. Kiedy uporałam się już z największym bałaganem, znajdując każdej rzeczy odpowiednie miejsce, wzięłam się za mycie podłóg. Podgłośniłam muzykę w słuchawkach, pozwalając, żeby ostry głos Jamesa Hetfielda przeszywał moje ciało, kołyszając nim na boki. Objęłam rękoma kij od mopa i tanecznym krokiem pozbywałam się ostatniej warstwy kurzu z niegdyś dębowej posadzki. Pograżając się w melodyjnym świecie rytmicznego brzmienia Metalliki, nie zauważyłam stojącej za mną komody. Wszelkie próby zachowania równowagi nie przyniosły większego rezultatu. Wiedziałam, że upadek jest nieunikniony. Na nic zdały się energiczne, aczkolwiek chaotyczne, wymachiwania rąk. Z impetem upadłam na ziemię, zahaczając dłońmi o stojące na komodzie lustro. W przeciągu sekundy zwierciadło stłukło się w drobny mak, przykrywając podłogę szklanym płaszczem. Słońce, które przedzierało się do wnętrza pomieszczenia przez małe okno, działało na drobinki lustra jak pryzmat. Wszystkie mieniły się delikatnymi kolorami tęczy, co jakiś czas mnie oślepiając. Moja niezdarność przysporzyła mi dodatkowych kilkunastu minut pracy. Musiałam zamieść odłamki rozprysnięte po całym strychu oraz skleić drewnianą ramę lustra, która również doznała szkody podczas upadku.

Niestety, nie mogłam skompletować całego obramowania. Jeden z fragmentów gdzieś się zapodział. Szukałam go i szukałam. W końcu dostrzegłam brakujący element pod małym pudełkiem, którego wcześniej tu nie zauważyłam. Zacięka wiona tym, co może się w nim znajdować, zajrzałam do środka. Zobaczyłam małą paczuszkę owiniętą czerwonym sznurkiem. Delikatnym ruchem wyciągnęłam ją stamtąd i ostrożnie odwinęłam papier. Z wnętrza wysypało się kilkanaście odręcznie pisanych listów. Wszystkie były napisane w języku niemieckim. Nie zastanawiając się, zebrałam porzucane kartki i wyszłam z nimi na dwór. Byłam ciekawa ich treści. Usiadłam przed domem na drewnianej, zielonej ławce. Dookoła niej rosły masywne drzewa, których gałęzie z gracją poruszały się przy każdym mocniejszym podmuchu wiatru, nie dopuszczając słońca, za to dając chłodny, przynoszący ulgę cień. Wyciągnęłam z kieszeni odtwarzacz mp4 i na cały regulator puściłam *Lifetime of war*. Położyłam sobie na kolanach paczkę i zaczęłam przeglądać list po liście. Pierwsze, co mi się rzuciło w oczy, to bardzo równy, staranny charakter pisma. Na tej podstawie wywnioskowałam, że nadawcą jest kobieta. Skupiłam się na tekście, powoli go tłumacząc...

Luty, 1945

Droga Trude,

boję się każdego kolejnego dnia. Wiem, że możemy go już nie dożyć. Coraz głośnieiej słycać wystrzały z rosyjskich armat. Wydaje się, jakby kule przelatywały nam tuż nad głowami i za chwilę miały zbombardować dom, niszcząc wszystko, co znajduje się w ich zasięgu.

Zewsząd rozchodzi się donośny odgłos kroków wydawany przez ciężkie buty maszerujących oddziałów. Wiatr przynosi zapach grozy i przelanej krwi. Ten lęk i strach przed śmiercią nie dają mi spać po nocach. Podstuchalam, jak sąsiad mówił, że Armia Czerwona jest już bardzo blisko i zrówna z ziemią wszystko, co napotka na swej drodze. Chcą zdobyć Nowogard i wymordować wszystkich mieszkańców. Nasze wojsko nie da rady już dłużej bronić miasta. Niemieckie jednostki SS zostały przekierowane na wschód, by tam stawić opór ofensywie rosyjskiej. Jesteśmy zgubieni. W tym miejscu nie czeka nas nic prócz śmierci. Na szczęście nasz brat znalazł dla nas bezpieczniejsze miejsce. Kupił dom po nieżyjących już właścicielach, którzy zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Nie mam pojęcia, co to za miejsce, ale Hans powiedział, że im mniej wiemy, tym lepiej. Za tydzień się tam przenosimy. Musisz iść z nami. Nie odzywasz się do nas już od wielu lat, unosząc się dumą. Zapomnijmy o tym, co było i spróbujmy sobie wybaczyć. Nie zostawię Cię tutaj samej, siostrze. Musimy trzymać się razem, tak jak obiecaliśmy naszej matce. Szkoda mi porzucac

to pełne wspomnień miejsce, w którym tak wiele razem przeszliśmy, ale nasze życie, a przede wszystkim życie mojej córki jest najważniejsze. Zrobię wszystko, żeby nas ocalić. I tak nie mogę darować sobie tego, że takie małe dziecko widziało już tyle cierpienia i wojennej rzeczywistości. Co noc leży skulona na moich kolanach, pytając, kiedy przyjdzie tata. Jak mam jej powiedzieć, że on już nigdy nie wróci, że nie przytuli jej, nie pobawi się z nią, nie poczyta bajki na dobranoc? Jak jej wytłumaczyć, że nasz bohater zginął w obronie całego kraju? Stale widzę te małe, niebieskie oczka, z których ciekną drobne łezki. Wygląda jak bezbronny aniołek, który optakuje krzywdy całego świata, mimo że sam w niczym nie zawinił. Jestem bezradna. Nie wiem, co robić. Nie wiem, co mówić. Jak ją pocieszyć? Cała radość ze mnie uszła. Na jej miejsce wszedł smutek, ból i ciągła nostalgia. Nic już nie będzie takie jak kiedyś. Wojna zmienia ludzi. Zabiera z nich to, co najpiękniejsze. Zabiera miłość, radość i chęć do życia. Jeden, mały, nieostrożny ruch i można stracić wszystko, co się miało. Jeszcze tak niedawno byliśmy szczęśliwą rodziną. Co niedzielę spotykaliśmy się na wspólnym obiedzie i rozmawialiśmy o przeróżnych rzeczach. Toczyliśmy ciche, spokojne życie, nie martwiąc się o to, co przyniesie jutro. A teraz? Prowadzimy ciąglą walkę o przetrwanie. Stajemy twarzą w twarz z okrutnym i bezlitosnym obliczem wojny, które codziennie znęca się nad nami. Pozbawia życia dziesiątki tysięcy ludzi, czerpiąc z tego wielkie pokłady siły i samozadowolenia. Żywi się nieszczęściem i śmiercią. Zwykli, szarzy mieszkańcy są tylko pionkami w bezpruderyjnej grze politycznej, w której nie obowiązują żadne zasady ani oznaki człowieczeństwa. Nie pytani o zdanie, nieświadomi niczego, staliśmy się marionetkami w rękach rządu. Wygrana zależy tylko od liczby wymordowanego społeczeństwa i przejętych terenów. Nie mogę pogodzić się z tym, że ze względu na różnice w poglądach, odsunęliśmy się od siebie. Proszę Cię, Trude, skończmy walkę między nami i zacznijmy wszystko od początku. Musimy stąd uciekać, musimy się ratować. W tym mieście czeka nas tylko zguba. Nie chcę Cię stracić, dlatego zapomnijmy o wszelkich sporach i zdajmy się na pomysł naszego brata. On jako jedyny zachował zimną krew i trzeźwy umysł, w przeciwieństwie do naszej siostry Elizabeth, która kompletnie straciła wiarę w uwolnienie się z tego piekła. Hans całymi dniami obmyśla plan ucieczki. Robi to z miłości do rodziny i woli przetrwania. Zastanów się nad tym. Wolisz żyć z nami z dala od tego miejsca czy zginąć okrutną śmiercią z rąk Rosjan? Wybierz priorytety. Nie chcę Cię do niczego zmuszać, ale czy warto poświęcać się w imię przekory i żelaznych zasad? Masz czas do następnego czwartku. W południe wyruszamy. Mam nadzieję, że podejmiesz właściwą decyzję i będziesz z nami.

Kocham Cię,
Anne Maria

Odłożyłam list na bok. Nawet nie zauważyłam, że drobne łzy spływały mi po policzku, spadając powoli na zniszczoną kartkę i rozmazując na niej pismo. Niby to tylko zwykły list, ale cała ta historia dogłębnie mnie poruszyła. Zawsze byłam skłonna do empatii i łatwo odczuwałam to, co inni. Z każdego słowa listu emanował ogromny smutek przeplatany ze strachem i tęsknotą. Nigdy nie czytałam nic bardziej wzruszającego. Nawet słowa piosenki, która towarzyszyła mi podczas czytania, idealnie się wpasowały do sytuacji, jeszcze bardziej potęgując we mnie melancholijny stan. W głowie zaczęły mi się kłębić setki myśli. Popadłam w zadumę. Zastanawiałam się, kim była kobieta z listu i jak potoczyły się jej dalsze losy. Przeżyła wojnę czy zginęła? Byłam też ciekawa, co takiego zrobiła jej siostra, że w konsekwencji rodzeństwo przestało się do siebie odzywać. Pustym wzorkiem wpatrywałam się w ścianę domu, szukając odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. I wtedy nagle doznałam olśnienia. Niezdarnym ruchem wyjęłam z kieszeni zdjęcie, które zabrałam ze strychu i ułożyłam je przed sobą. Podobieństwo było rażące. Budynek z fotografii nie różnił się prawie niczym od tego, który znajdował się przed moimi oczyma. Były niemal identyczne. Czy to możliwe, że w miejscu, w którym niegdyś mieszkała Anne Maria wraz z rodziną, teraz mieszka moja babcia? To by wyjaśniało pudła na strychu wypełnione wojskowymi rzeczami, książkami i zdjęciami. Nie należały one do dziadka, lecz do poprzednich, niemieckich właścicieli. Wydawało mi się, że znałam ten dom jak własną kieszeń, ale teraz czuję, jakby nadal skrywał przede mną wiele tajemnic, które tylko czekają na odkrycie. Obiecałam sobie, że gdy babcia wróci z cukierni, to zapytam ją o wszystko. Chciałam wiedzieć jak najwięcej, więc zabrałam się za dalsze czytanie. Wzięłam do ręki coś w rodzaju dziennika. Ułożyłam się w wygodnej pozycji. Wiatr delikatnie poruszał gałęziami drzew, co chwilę porywając moje włosy do tańca. Zaczęłam pogrążyć się w literackim wirze nieznanych mi wspomnień.

24 lutego 1945

Wystrzały z armat, odgłosy moździerzy oraz wybuchających min stały się już nieodłącznym elementem każdego dnia. Nie ma chwili, w której na zewnątrz panuje kompletna cisza. Dźwięki przeladowywanej broni i latających pocisków przeplatają się z przeraźliwym, pełnym grozy krzykiem bezbronnych ludzi. Już tyle z nich przelało swoją krew za rodziny i bliskich. Śmierć jest bardzo blisko, po kolei puka do każdego drzwi. Musimy uciekać zanim zapuka do naszych. Jutro wraz z Hanssem, Elizabeth i moją małą Anne Marią uciekamy stąd. Nie wiem, czy Trude też do nas dołączy. Mam nadzieję, że jednak coś do niej dotarło i nie zostanie tutaj sama, zdana na łaskę losu.

Przed nami długa i pełna niebezpieczeństw droga. Niestety, nie możemy zabrać ze sobą nic oprócz żywności. Cały nasz dobytek, na który tak ciężko pracowaliśmy, musi tu zostać.

Ale to jest warte wszystkiego. Mam nadzieję, że plan ucieczki powiedzie się i że będziemy bezpieczni z dala od zgiełku wojny. Wierzę, że będziemy chociaż w niewielkim stopniu żyć tak jak dawniej. Zobaczymy, co przyniesie nam kolejny dzień...

25 lutego 1945

Jestem pogrążona w bólu i rozpacz. Nie tak wyobrażałam sobie ten dzień. To nie miało się stać! To nie ona miała zginąć tylko ja. Pocisk był kierowany na mnie. Dlaczego Trude akurat pojawiła się w tamtej chwili?

Gdy stary, masywny zegar stojący w przedpokoju wybił godzinę dwunastą, ruszyliśmy w drogę. Ostatni raz spojrzałam na nasz dom. Z oczu zaczęły mi lecieć łzy. To niebywałe, jak bardzo człowiek przywiązuje się do rzeczy materialnych. Ale czym są cztery ściany i dach w porównaniu z życiem? – no właśnie, niczym. Wola przetrwania przewyższa wszystko. Zarzuciliśmy na siebie małe plecaki z jedzeniem i ostrożnie wyszliśmy na dwór, rozglądając się dookoła i uważnie nastuchując wszystkiego, co mogło stanowić dla nas zagrożenie. Los nam sprzyjał. Oddziały, które jeszcze wczoraj tu stacjonowały, zostały przeniesione do oddalonej o kilka dobrych godzin wsi. Mogliśmy spokojnie wydostać się z miasta, bez obawy, że wpadniemy na wrogie wojska. Aczkolwiek serca biły nam jak szalone, dłonie były mokre od ciągłych nerwów, a w gardłach mieliśmy ścisk. Nadal nie miałam pojęcia, dokąd zmierzamy, Hans nie powiedział ani słowa. Nie wiedziałam również, czy Trude się pojawi. Jednak wszystko wskazywało na to, że woli zostać pośród „swoich” i cierpliwie czekać na śmierć. Przez moją głowę przelatywało tysiące myśli. Nie mogłam się wystarczająco skupić na tym, żeby przemierzać ulice, pozostając kompletnie niezauważoną. Martwiłam się o siostrę. Pech chciał, że potknęłam się o wystające korzenie drzewa, robiąc wokół siebie wielki huk i raban. Wpadłam do czyjś ogrodu, łamiąc wszystkie kwiaty i krzewy. Na początku nic do mnie nie docierało. Podniosłam się z ziemi, otrzepałam zakurzoną sukienkę z pyłu. Byłam przestraszona, ale udałam, że nic się nie stało. Dopiero kiedy się odwróciłam, zobaczyłam gospodarza domu stojącego we framudze drzwi z pistoletem wymierzonym prosto na mnie. Nie wiedziałam, co robić. Uciekać czy bacznie przyglądać się temu i czekać na rozwój sytuacji? Moje ciało dostało paraliżu. Nogi silnie pobudzone przez umysł do ucieczki odmawiały posłuszeństwa. Wiedziałam, że to już mój koniec. Ostatni raz chciałam spojrzeć na córeczkę i rodzeństwo. Szukałam ich błędnym wzrokiem wśród tłumy, który momentalnie się dookoła zebrał. Nigdzie ich nie widziałam. Pewnie uciekli, wiedząc, co się

zaraz wydarzy. Może i dobrze. Nie chciałybym, żeby Anne Maria patrzyła na śmierć matki. Z przerażeniem stałam i czekałam na strzał. Mężczyzna po ciężkiej walce z myślami jednak zdecydował się nacisnąć spust pistoletu i kula z wielkim hałasem wyleciała z lufy, robiąc w powietrzu śmiertelny slalom. Zamknęłam oczy.

Czekałam, aż świdrujący pocisk przedziurawi moje ciało na wylot. Nic takiego się nie wydarzyło, za to dało się słyszeć pełen bólu krzyk. Uniosłam ciężkie i przestraszone powieki do góry. Przede mną, skąpana we krwi, leżała moja siostra. Nie ruszała się. Mężczyzna, zabójca mojej siostry, zbiegł z miejsca zbrodni. Można było tylko zobaczyć zarys jego sylwetki znikającej za rogiem ulicy.

Na nic zdały się moje wrzaski i groźby pod adresem Boga. Trude nie dało się wskrzesać. Skąd ona się tam wzięła? Dlaczego to zrobiła? Czemu oddała za mnie swoje życie? Czuję się strasznie. To moja wina. Przez moją nieuwagę zginęła bliska memu sercu osoba. Gdybym nie wpadła do tego ogrodu, to ona nadal by żyła. Byłaby z nami. Moglibyśmy być razem szczęśliwi, tak jak za starych, dobrych czasów. Co ją podkusiło, żeby rzucić się na pędzący pocisk? Nigdy sobie tego nie daruję. Zawsze będę miała wyrzuty sumienia, które kiedyś pewnie mnie wykończą.

Dzisiejsze wydarzenia całkowicie mną wstrząsnęły. Nadal przed sobą mam pełną bólu i łez twarz Trude. Hans, Elizabeth i znajomi, u których się zatrzymaliśmy, starają się nie mówić o tym, co się stało. Jestem im za to wdzięczna.

Nie spodziewałam się, że historia kobiety potoczy się w taki sposób. Myślałam, że szczęśliwie dotrze do nowego miejsca wraz ze swoją rodziną. Uwolni się od wojennej codzienności, od widoku śmierci i strachu, które przynosił ze sobą każdy kolejny dzień. W głowie się nie mieści, że za dewastację kwiatów, ktoś zechce z zimną krwią kogoś zamordować. Za takie rzeczy nie można zabijać. Przecież nie zrobiła tego z premedytacją! To był przypadek. Jeden drobny, nieostrożny błąd, który zaważył na życiu człowieka. Trudno mi było sobie wyobrazić, co czuła wtedy Anne Maria. Nigdy nie chciałybym się znaleźć w takiej sytuacji jak ona. To, co wojna robi z ludźmi, przechodzi najśmielsze oczekiwania. Każdy myśli tylko o sobie i o swoich korzyściach. Wygórowany egoizm wraz z morderczym instynktem czyni z nich bezkarnych, wszystko mogących obywateli. Brutalne oblicze zbrojnego konfliktu pozbawia ich wszelkich zasad moralnych, przyzwalając na zdehumanizowane zachowanie. Ci, którzy zachowali w sobie odrobinę człowieczeństwa i toczyli bitwy w obronie najbliższych oraz ojczyzny, stawali się cichymi bohaterami. Jestem niewyobrażalnie wdzięczna naszym dziadkom, że wywalczyli pokój dla przyszłych pokoleń, poświęcając siebie, aby innym żyło się lepiej. Moje rozmyślenia przerwała babcia, która właśnie usiadła na ławce obok mnie, wyjmując z torby czekoladowe babeczki.

– Co tak wnikliwie czytasz, wnusiu? Wołam cię już od kilku dobrych minut. Ta twoja głośna, metalowa muzyka coś źle wpływa na słuch – zaśmiała się.

– Przepraszam. Przy sprzątaniu strychu znalazłam kilka starych listów. Ich treść tak mnie wciągnęła, że straciłam kontakt z rzeczywistością. Czy to prawda, że Niemcy wcześniej mieszkali w tym domu?

– Owszem. Do 1945 roku mieszkało tu rodzeństwo: Hans, Trude, Elizabeth i Anne Maria wraz z mężem Albertem i córeczką o takim samym imieniu jak matka. Po wybuchu wojny mąż Anne Marii musiał stawić się na wezwanie armii niemieckiej. Z tego co wiem, zginął na froncie zaraz na początku wojny. W marcu 1945 roku miasto wyzwoliła Armia Radziecka, a oni musieli się stąd wynieść, by ocalić swoje życie. Zostawili wszystko, co mieli: meble, ubrania, przedmioty codziennego użytku. Zamierali przenieść się w głąb Niemiec.

– A jak to się stało, że zamieszkaliście w ich domu?

– To był zwykły zbieg okoliczności. Po zakończeniu wojny i ponownym podzieleniu granic państw, rząd polski zachęcał nas do osiedlenia się na terenach Pomorza Zachodniego. Przyjechaliśmy tutaj latem 1946 roku. Długo szukaliśmy domu, w którym moglibyśmy zamieszkać. Część budynków była za bardzo zniszczona i nie nadawała się do użytkowania. Po kilkudniowych poszukiwaniach trafiliśmy tutaj. Weszliśmy do środka i zastaliśmy wszystkie rzeczy nietknięte, tak, jakby ktoś wyszedł na chwilę po gazetę do sklepu i miał niebawem wrócić. Domyślaliśmy się, że właściciele już od dawna nie żyją. Odnowiliśmy najbardziej zniszczoną część budynku, sprzątnęliśmy wszystkie pozostałości po poprzednich mieszkańcach i schowaliśmy je na strychu. Po wielu latach do naszych drzwi zapukał pewien mężczyzna w średnim wieku wraz z młodą dziewczyną. Rozmawiał z nimi twój wujek Maks, ponieważ tylko on z naszej rodziny znał język niemiecki. Okazało się, że był to Hans wraz z Anne Marią. Powrócili do miejsca, w którym niegdyś mieszkali. Byliśmy ciekawi, jak potoczyły się ich losy. Opowiedzieli nam swoją wzruszającą historię. Przynieśli ze sobą mały, wypchany po brzegi karton, prosząc nas, aby wszystkie ich rzeczy z czasów wojny, takie jak pamiątniki, listy i inne drobne przedmioty spoczęły w domu, który stanowił dla nich sentymentalną wartość. Długo rozmawialiśmy i bardzo się polubiliśmy. Od tamtej pory często do nas przyjeżdżali, praktycznie co roku, a i my byliśmy u nich kilka razy. Nawet Elizabeth przyjechała na ślub twojej cici Bożeny. Mam gdzieś w komodzie zdjęcia z tej uroczystości.

– Pokażesz mi? Ciekawa jestem, jak ta kobieta wygląda.

Babcia odłożyła babeczki i poszła do domu. Długo przeglądała zdjęcia w starym albumie i wreszcie po kilkunastu minutach z uśmiechem na twarzy powróciła do mnie.

– Proszę – triumfalnie obwieściła, pokazując fotografię. – Elizabeth to ta starsza pani. Z nią najlepiej nam się rozmawiało, ponieważ ona jako jedyna z rodzeństwa jako tako znała język polski. Za każdym razem, kiedy się widzieliśmy, opowiadała nam wiele interesujących historii.

– Utrzymujecie z nimi jeszcze jakiś kontakt? – spytałam z ciekawości.

– Tak, ale to nie jest ta sama zażyłość, co kiedyś. Teraz wszyscy jesteśmy już starzy i nie mamy siły na wzajemne odwiedziny. Czasami wyślemy jakąś świąteczną kartkę lub zadzwonimy do siebie.

– A dlaczego nigdy mi o tych wydarzeniach nie opowiadałaś? Gdyby nie sprzątanie na strychu, zapewne nigdy bym się o nich nie dowiedziała.

– Wiesz Olu, na świecie jest wiele momentów i zdarzeń, które z biegiem lat przysłonięte sprawami dnia codziennego odchodzą w zapomnienie. Ludzie żyją przyszłością, chowając w zakamarkach pamięci wiele wspomnień, o których przypominają sobie dopiero na stare lata. Ja w młodości nie zważałam na przedmioty, które mnie otaczały i towarzyszyły mi całe życie. Nigdy nie sądziłam, że na pozór zwykłe rzeczy mogą skrywać w sobie tyle wspaniałych historii, które dopiero teraz doceniam i nazywam tajemnicami codzienności. Nieraz zasiadam na swoim bujanym fotelu i po kolei odtwarzam każdą chwilę z dawnych czasów, rozmyślając o tym, co było kiedyś. Gdybym wiedziała, że to cię zainteresuje, to już wcześniej bym ci o tym opowiedziała. Każda babcia pragnie przekazać swoim wnukom wszystkie niesamowite wspomnienia i przeżycia, aby mogły one przetrwać jeszcze przez bardzo długi czas w sercach innych. Jeśli tylko chcesz, to zaraz możemy pogawędzić na ten temat, ale póki co, częstuj się babeczkami.

Paula Halecka

godło: „P”

Moja lekcja historii

To tajemnicze, ciemne pomieszczenie. Jedyne światło umożliwia niewielkie, kwadratowe okno. Promienie przebijającego się słońca zmieniają się w smugi szarego światła migoczącego dzięki unoszącemu się pyłowi. Na jednej z szarych ścian wisi okazałe poroże jelenia, które jest w naszej rodzinie, odkąd pamiętam. Główny element wyposażenia stanowią wielkie kartony pokryte grubą warstwą kurzu. Znajduje się w nich mnóstwo rzeczy: od pamiątek rodzinnych, poprzez stare książki aż po nieużywane już przedmioty. Najlepiej prezentuje się dębowa szafa sprawiająca wrażenie nieotwieranej od lat. Przypuszczam, że faktycznie tak jest, gdyż to miejsce odwiedzałam jedynie w dzieciństwie, zazwyczaj w towarzystwie taty. Nikt inny też już raczej tu nie zagląda. Kiedyś piwnica wydawała mi się straszna. Można powiedzieć, że jako dziecko naprawdę się jej bałam. Teraz, kiedy tu stoję, nie budzi we mnie negatywnych emocji, lecz zaciekawienie. Jako mała dziewczynka nie rozumiałam magii tego miejsca – dopiero dzisiaj dostrzegam, jak wiele sekretów może w sobie kryć. To właśnie tutaj rozpoczęła się moja przygoda z historią.

Nigdy specjalnie nie interesowałam się losami mojej rodziny. Szczęśliwym trafem, nadarzyła się doskonała okazja do odświeżenia wspomnień, a mianowicie konkurs „Tajemnice codzienności”. Odwiedzając naszą piwnicę, miałam nadzieję na znalezienie inspiracji. Tak też się stało. Początkowo przeglądałam wszystkie rzeczy, szukając czegoś odpowiedniego. Miałam pewne pomysły, niektóre przedmioty bardzo mnie zainteresowały, ale szukałam dalej w nadziei ujrzenia czegoś wyjątkowego. W pewnym momencie otworzyłam skrzypiące drzwi dębowej szafy i odnalazłam natchnienie – trzy niewielkie kartoniki w kolorze żywej czerwieni. Przypuszczam, że normalnie nie zwróciłabym

na nie uwagi, gdyby nie przywołane w moich myślach wspomnienie. Byłam pewna, że kiedyś już je widziałam. Im dłużej nad tym myślałam, tym retrospekcja nabierała wyrazistości. Znów byłam małą dziewczynką. Stałam w pokoju dziadka i oglądałam z zaciekawieniem wszystkie rzeczy znajdujące się na jego półkach. Było ich wiele. Pamiętam czarno-białe zdjęcia, książki, kryształowe szkło. Jakby w oddzielnie wyznaczonym miejscu leżały właśnie te pudełeczka. Przypominam sobie, że ciekawiło mnie, co w nich jest i najwycyzajniej chciałam tego użyć do zabawy. Oczywiście chwilę później moje dziecięce pragnienie minęło i nie zostało zrealizowane aż do tego dnia. Przywołany obraz wywołał na mojej twarzy lekki uśmiech, ponieważ bardzo miło wspominam chwile spędzone w domu dziadka. Wpatrywałam się w znajome przedmioty z rosnącym uczuciem zaciekawienia.

Pierwsze pudełko nie było ciężkie. Miało jednolitą barwę, a w niektórych miejscach lekkie rysy. Nie byłoby w nim nic niezwykłego, gdyby nie wyryty na środku złoty orzeł. Wewnątrz znajdował się medal w kolorze starego srebra, zawieszony na dość grubej wstążce. Na środku widniała data – rok 1939. Oczywiście skojarzyła mi się z rozpoczęciem II wojny światowej, ale przecież mogła dotyczyć także innych wydarzeń. Nad cyframi znajdował się symbol orła. Na drugiej stronie medalu wyryto napis: „ZA UDZIAŁ W WOJNIE OBRONNEJ”. Pod spodem zobaczyłam dwa skrzyżowane miecze, jakby oddzielające napis od kolejnego, trochę mniejszego – „OJCZYŻNA”. Drugie pudełeczko wyglądało prawie tak samo, było jedynie trochę szersze i miało bardziej bordowy kolor. Tym razem nie ujrzałam godła państwowego. Było znacznie cięższe od poprzedniego, a przy potrząśnięciu usłyszałam głośne stukanie przypominające dźwięk monet. Nie zawierało jednego medalu, lecz trzy. Znacznie różniły się od poprzedniego. Przynajmniej były mniejsze. Pierwszy w kolorze czerwonozłotym, o dosyć nietypowym kształcie równoramiennego krzyża, miał na środku w okrągłej tarczy trzy litery – PRL. Na kolejnym – mniejszym, o idealnie kolistym kształcie – medalu widniały kontury Polski. Na tym tle umieszczono napis: „WALKA, PRACA, SOCJALIZM”. Na drugiej stronie było godło państwowe pomiędzy dwiema datami – rokiem 1944 a 1984. Nad orłem znalazła się rzymska cyfra: XL, a pod nią napis: PRL. Na ostatnim medalu widnieje postać kobiety w długich szatach. Stoi ona na liściach laurowych, prawą dłonią opiera się o tarczę z pochodnią. W drugiej ręce trzyma duży liść nad napisem: „ZA ZASŁUGI DLA POŻARNICTWA”. Jak się później dowiedziałam, jest to symbol greckiej bogini ogniska domowego – Hestii. Na rewersie medalu widniał orzeł, lecz nieco różniący się od tego na godle pań-

stwowym. W tym pudełeczku znalazłam coś jeszcze. Była to swego rodzaju broszka, umieszczona na szpilce. Na niewielkim skrawku metalu widniał napis: „Dwudziestopięciolecie LOK”. Dłuższą chwilę myślałam nad zawartością tego pudełka. W mojej głowie rodziło się coraz więcej pytań, na które nie znałam odpowiedzi. Te zupełnie różniące się od siebie odznaczenia świadczyły o tym, że mój dziadek nie tylko dzielnie walczył w obronie kraju, ale także udzielał się społecznie. Do otwarcia został ostatni z kartoników. Bardzo chciałam znaleźć tam więcej wskazówek, odpowiedzi i wyjaśnienia wątpliwości. Ku mojemu zaskoczeniu, trzecie pudełko było puste.

W tamtej chwili zakończyłam poszukiwania, ponieważ odnalazłam przedmioty, o których chciałam pisać. Wiedziałam, że przede mną długa droga, bo, niestety, nie ma już nikogo, kto mógłby przybliżyć mi historię znalezionych medali. Nie wiedziałam, skąd powinnam czerpać o nich informacje ani czy uda mi się cokolwiek znaleźć, jednak bez wahania podjęłam wyzwanie i postanowiłam, że doprowadzę moje „śledztwo” do końca.

Pierwszym miejscem, na które się udałam był łobeski cmentarz. Wiedziałam, że tam nie dowiem się wiele, ale uznałam, że jest to najodpowiedniejsze miejsce do przemyśleń. Wpatrując się w płomień zapalonej chwilę wcześniej świeczki, zastanawiałam się, jak wyglądało życie dziadka. Sama niewiele mogłam o nim powiedzieć, ponieważ byłam bardzo mała, kiedy zmarł. Nie pamiętałam wiele, miałam jedynie niewyraźne wspomnienia. Gdyby nie zdjęcie na nagrobku, pewnie nie potrafiłabym powiedzieć, jak wyglądał dziadek. Odnalezione wcześniej przedmioty miały dla mnie szczególną wartość, ale w mojej głowie pojawiły się pytania – czy są one naprawdę wyjątkowe? Jaką miały wartość w tamtych czasach? Czy każdy żołnierz takie posiadał? Co stało się z zawartością trzeciego pudełeczka? Znałam podstawowe informacje o dziadku tylko z rozmów z mamą. Swojego teścia znała na tyle, żeby udzielić mi kilku odpowiedzi. Nie potrafiła zaspokoić jednak mojej ciekawości. Nie wiedziałam, czy uda mi się porozmawiać z kimś, kto znał dziadka w młodości. Czułam jednak, że muszę dowiedzieć się o nim jak najwięcej.

Pierwszym pomysłem, na który wpadłam, było skorzystanie z najpowszechniejszego w dzisiejszych czasach źródła wiedzy – internetu. Z ciekawości wpisałam imię i nazwisko dziadka, nie licząc na jakikolwiek sukces. Ku mojemu zaskoczeniu, informacje w nim zawarte okazały się bardzo przydatne. Dowiedziałam się, że dziadek był członkiem Grodzkiej Rady Narodowej w Starogardzie i w 1952 roku przyczynił się do utworzenia Szkoły Podstawowej w tej wsi. Poza tym, przeczytałam, że dnia 30 maja 2000 roku w Urzędzie Miasta Łobez miała

miejsce podniosła uroczystość: wicewojewoda zachodniopomorski Grzegorz Jankowski i pułkownik Lech Jakubowski w obecności członków Zarządu Miasta wręczyli łobeskim weteranom walk o niepodległość w czasie II wojny światowej ozdobne patenty – w tym mojemu dziadkowi.

Cieszyły mnie nawet najmniejsze postępy w tej sprawie. Z internetu dowiedziałam się także, że dziadek był członkiem związku kombatantów wojennych w moim mieście. Wcześniej nie miałam pojęcia, że ta organizacja nadal funkcjonuje. Z nadzieją w sercu postanowiłam dowiedzieć się, czy zachowały się jeszcze jakieś dokumenty dotyczące mojego dziadka. Miałam wielkie szczęście, ponieważ zdołałam umówić się na rozmowę z jednym z kombatantów. To starszy pan, który osobiście znał mojego dziadka. Zaprosił mnie na spotkanie związku, na którym miałam okazję poznać także innych członków koła. Na początku zebrania byłam świadkiem ustalania spraw organizacyjnych. Patrząc na kilku panów w podeszłym wieku, omawiających z zawziętością sprawy miasta, zrozumiałam, że wciąż budzą szacunek wśród rządzących i mają prawo głosu w pewnych sprawach. Czułam ogromny respekt do tych mężczyzn, wiedząc, że kiedyś walczyli o to, abym dzisiaj mogła żyć w niepodległym kraju. Później przy herbacie rozmawialiśmy o moim zmarłym dziadku. Na spotkanie przyniosłam ze sobą znalezione medale oraz legitymacje i dokumenty. Nie sądziłam, że tak wiele informacji można odczytać z tak niewielu przedmiotów. Wspólnie staraliśmy się odtworzyć życiorys mojego dziadka. Jeden z panów, prezes związku, udostępnił nam dane dotyczące byłych członków koła. Kombatanci co chwilę przypominali sobie różne fakty, sytuacje, opowiadali także wiele anegdot. Dokładnie pamiętali wszystkie miejsca i daty, jakby to było wczoraj. W czasie spotkania robiłam dużo notatek, ale nie udało mi się przelać na papier atmosfery tamtej chwili.

Niektóre fakty już znałam, jednak większość była dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Według kombatantów Józef Halecki, syn Jana i Teodozji, urodził się w Kuropatnikach, w dawnym województwie tarnopolskim. Był żołnierzem Wojska Polskiego w latach 1939–1945. Walczył na szlaku bojowym do Berlina. Po wojnie, w 1946 roku, zamieszkał w Starogardzie, gdzie był pracownikiem gminnym i członkiem Grodzkiej Rady Narodowej. Poza tym w 1954 roku został oficjalnym członkiem Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Udzielał się społecznie, co wynikało, między innymi, ze znalezionej przeze mnie legitymacji PCK z 1966 roku. Oprócz znanych mi osiągnięć dziadek otrzymał także: srebrną odznakę „ZASŁUŻONY DZIAŁACZ LOK”; srebrny medal zasług dla pożarnictwa; medal za Odrę, Nysę, Bałtyk; odznakę za wysługę XXX lat

w Związku Ochotniczej Straży Pożarnej; ODZNAKĘ GRUNWALDZKĄ – jako symbol zwycięstwa nad Niemcami; srebrną odznakę pamiątkową „GRYFA POMORSKIEGO”; medal 40-lecia Polski Ludowej; Srebrny Krzyż Zasługi. W większości te odznaczenia dotyczyły działalności powojennej dziadka, ale znalazłam także dokument z uroczystości w 2000 roku, o której wcześniej przeczytałam w internecie. Wysłany po śmierci mojego dziadka, zaadresowany do jego syna, a mojego taty, zawierał słowa: *W załączeniu, z upoważnienia [...] przesyłam panu Patent „Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny”, którym Premier Rzeczypospolitej Polskiej uhonorował, zmarłego już niestety, Pana Józefa. Patent ten jest przyznawany tym kombatantom, którzy z bronią w rękę walczyli o wolność i niepodległość naszej Ojczyzny.*

O walkach dziadka w czasie wojny dowiedziałam się z książeczki wojskowej. Była ona najbardziej zniszczona ze wszystkich znalezionych przeze mnie dokumentów. Miała ciemnozielony kolor i lekko podartą okładkę wykonaną z miękkiego materiału. Widać było kilkakrotne klejenie taśmą. Litery kreślone atramentem z trudem dawały się rozszyfrować. Na pierwszej stronie, oprócz danych osobowych, były wypisane rodzaj broni, funkcja i stopień wojskowy, którymi posługiwał się dziadek. Na kolejnych kartkach, w punktach, przedstawiono przebieg służby wojskowej. Niestety, nie potrafiłam odczytać dokładnie wszystkich informacji, ponieważ poza trudnościami spowodowanymi zniszczeniem, było tam wiele skrótów, których nie umiałam rozszyfrować. Pierwszą ważną dla mnie informacją jest data poboru dziadka do wojska przez Wojskową Komisję Uzupelnień w Brzeżanach 15 maja 1935 roku. Trzy lata później, 18 marca, został wcielony do 12. Pułku Artylerii Lekkiej. Następnie przydzielono go do szkoły podoficerskiej – plutonu łączności. Datą 28 września, tego samego roku, oznaczony jest awans na bombardiera. Dokładnie rok po rozpoczęciu służby nastąpił kolejny awans, tym razem na dowódcę drużyny. Wyraźnie zaznaczona jest data 1 września 1939. Wtedy właśnie dziadek wyruszył na front. Następny wpis dotyczy roku 1944, kiedy zmobilizowany był do 3. Pułku Kawalerii dnia 15 kwietnia. W sierpniu 1945 roku otrzymał awans na kolejny stopień wojskowy – był plutonowym. Miesiąc później został zdemobilizowany na podstawie rozkazu nr 0181. W dalszej kolejności jest pieczętka Przewodniczącego Wojsk Komisji Rejonowej nr 1 w Drawsku z 2 listopada 1949 roku. Oznacza to, że w tym czasie dziadek przebywał już na ziemiach Pomorza i ponownie zgłosił się tutaj do wojska. Uznany został za zdolnego do pełnienia służby. Ostatni wpis dotyczy awansu na stopień sierżanta na podstawie rozkazu nr 1 z dnia 11 października 1978 roku.

Nie potrafię opisać tego, co czułam, kiedy docierały do mnie te wszystkie informacje. Było we mnie dużo radości i trochę smutku, a na pewno mnóstwo dumy. Ciągle myślałam o tym, jak mało wiedziałam o swojej rodzinie i o tym, ile jeszcze mogę się dowiedzieć. Odbyłam lekcję historii, która znacząco wpłynęła na mój światopogląd. Na podstawie kilku znalezionych przedmiotów udało mi się poznać, choć trochę, historię dziadka, która wpisuje się przecież w większą historię – mojej dużej i małej ojczyzny.

■ ROK 2013

„Nie od razu Polskę zbudowano”

*– ten dom dlatego jest ważny
ponieważ w nim mieszkasz*

Henryk Banasiewicz (1957–2003),

Gdziekolwiek jesteś z tomu

Tyle światła wokół (1995)



Nagrody przyznane w kategorii gimnazja:

I nagrody nie przyznano

II nagroda za pracę *[Nie od razu Polskę zbudowano] dla Adriana Dobka**
z Zespołu Szkół Sportowych w Rewalu (opiekun: Izabela Roustm)

dwie równorzędne III nagrody za prace:

„Człowieczy los” dla Bartosza Nosala z Gimnazjum nr 12 im. Stanisława Lema w Szczecinie (opiekun: Marta Stańko)

„Z pamiętnika szczecińskiego chłopca” dla Karoliny Barczyńskiej
z Gimnazjum nr 12 im. Stanisława Lema w Szczecinie (opiekun: Marta Stańko)

Nagrody przyznane w kategorii szkoły ponadgimnazjalne:

I nagroda za pracę „Nie od razu Polskę zbudowano” dla Stanisława Łackiego z Zespołu Szkół nr 1 im. Bolesława Krzywoustego w Choszcznie (opiekunowie: Joanna Kolenda i Krystyna Leśniańska)

II nagroda za pracę „Nie od razu Polskę zbudowano” dla Kamila Węgorowskiego z Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. św. Maksymiliana Marii Kolbego w Szczecinie (opiekun: Sylwia Potaman)

III nagroda za pracę „Nie od razu Polskę zbudowano” dla Pawła Burzyńskiego z Zespołu Szkół nr 1 im. Bolesława Krzywoustego w Choszcznie (opiekunowie: Joanna Kolenda i Krystyna Leśniańska)

Adrian Dobek

godło: „Dąb”

*** [Nie od razu Polskę zbudowano]

Nie od razu Polskę zbudowano, trwało to wiele dziesięcioleci. Przez te lata państwo polskie przechodziło wiele wzlotów i upadków, ale dzięki sile narodu dzielnie przetrwało do dziś. Cały czas rozwijając się i wzmacniając swoją pozycję na świecie.

Polska to także moja miejscowość Niechorze, w której mieszkam zaledwie 15 lat, ale jej historia trwa od XIX wieku. Jest ona położona na Pobrzeżu Szczecińskim pomiędzy brzegiem Morza Bałtyckiego od północy i jeziorem Liwia Łuża na południu. Kiedyś były to niemieckie wsie. Jedna nadmorska o nazwie Klein Horst i druga rolnicza Gross Horst. 1 kwietnia 1936 roku obie wsie połączono i nazwano Ostseebad Horst, pod taką nazwą istniały do 1945 roku. W czasie II wojny światowej, 12 marca 1945 roku, miejscowość została zdobyta przez 7. Korpus Kawalerii Armii Czerwonej, 2. Warszawską Dywizję Piechoty i 13. Pułk Artylerii Pancerniej Ludowego Wojska Polskiego. Po tym fakcie miejscowość została włączona do ziem polskich i funkcjonowała początkowo pod nazwą Horzewo, później Niechorze. Jej dotychczasowi mieszkańcy zostali wysiedleni do Niemiec. Od tej pory mogę stwierdzić, że Polacy w Niechorzu zaczęli budować swoją ojczyznę, co prawda na fundamentach majątku niemieckiego, ale, niestety, takie są prawa wojny.

Jednymi z pierwszych osadników byli moi dziadkowie. Mój dziadek Stanisław przyjechał tutaj wraz ze swoimi rodzicami i braćmi w 1953 roku z Moszczenicy koło Gorlic, a babcia Zofia przyjechała z Zielonej Góry w 1954 roku. Oboje poszukiwali pracy i lepszego życia. Los związał ich drogi wiosną 1958 roku, bo wtedy wzięli skromny ślub. Dziadkowie opowiadając mi o tamtych czasach, bardzo się ożywiają, a ja mogę słuchać ich wspomnień wiele godzin. Dziadek

opowiadał mi o ciężkiej podróży, o tym, że z Gryfic oddalonych od Niechorza o 30 km jechał pociągiem wąskotorowym kilka dni. Lokomotywa-parowóz, ciągnęła wagony, ale trzeba było sypać w nią węgiel, żeby jechała. Niestety, ten rodzaj paliwa na ówczesne, powojenne dni nie był dostępny, więc ścinano drzewa. Trasa kolejki szła przez lasy, więc wszyscy mężczyźni co pewien czas musieli siekierami rąbać drewno na opał do parowozu, by dotrzeć do celu. Gdy już nowi osadnicy dotarli na miejsce, ich oczom ukazały się niemieckie domy wyposażone w meble. Budynki nie były zniszczone, bo nie toczyły się tutaj tak duże działania wojenne jak, na przykład, w Kołobrzegu. Wyglądały jakby ktoś miał zaraz do nich wrócić, co wzbudzało w ludziach lęk. Dziadek opowiadał mi, że w domu, w którym on zamieszkał, musiał mieszkać ogrodnik, bo na tyłach domu były kopce pod uprawę szparagów, w innym domu zostały maszyny do szycia i przyrządy krawieckie, futra i skóry, w jeszcze innym maszyny rolnicze: pług, snopowiązałka, brony. Nad miejscowością górowała latarnia morska zbudowana w 1866 roku na wysokim klifie. Miała ona 45 m wysokości. Jej światło było i jest widoczne z odległości 36 km. W 1945 roku pocisk artyleryjski zniszczył układ optyczny, a wycofujący się Niemcy pozostawili na jej terenie 8 min, które na szczęście udało się usunąć i tym samym zapobiec zniszczeniu całej latarni. Nowym osadnikom miasteczko podobało się, ale czuli się w tych stronach nieswojo, obawiali się o życie swoich najbliższych. Wszystko to nie było ich i cały czas myśleli, że będą musieli stąd odejść. Jednak z czasem zaczęto żyć normalnie.

Odbudową, a potem rozbudową ośrodków wczasowych zajęły się działające w Polsce związki zawodowe i większe zakłady pracy. Zmodernizowano między innymi budynek zwany „ciepłymi kąpielami”, gdzie prowadzono rehabilitację wodną, bo budynek ten miał doprowadzoną słoną wodę morską, jak też słodką z jeziora Liwia Łuża, basen pod gołym niebem, dzisiejszy teren koło kościoła. Wyremontowano pomosty na jeziorze, zbudowano łodzie i kajaki, było ich około 30. Odbudowano także w 1948 roku latarnię morską ściśle według pierwotnej dokumentacji. 18 grudnia 1948 roku o godzinie 15:30 pierwszy raz po odbudowie rozblysło z niej światło. Niemiecką kuźnię przerebiono na kaplicę kościelną, gdzie odprawiano msze święte i gdzie wiele rodzin chrzcilo swoje dzieci.

Moi dziadkowie znaleźli pracę w Funduszu Wczasów Pracowniczych. Dziadek znalazł się na elektryce, więc został przyjęty na konserwatora, a babcia była pokojową i pomocą kuchenną w ośrodku wczasowym. Praca była trudna, wykonywana ręcznie, bez wielu dzisiaj dostępnych narzędzi i maszyn. Dziadek oprócz swojej pracy, jako elektryk, miał także dyżury przy trafostacji, ponie-

waż często „wysiadła” prąd. W Niechorzu nie było wody w kranach, były tylko ręczne pompy.

Obowiązkami mojej babci, jako pokojowej, było wieczorem napalić drzewem lub węglem pod wielkim kotłem, nanieść wody do zagrzania, a następnie roznieść ją wszystkim wczasowiczom do pokoi. Rano zaś zabrać zużytą wodę. W kuchni wszystko trzeba było zrobić ręcznie. Rolnik dostarczał warzywa, owoce, mleko, z niego wyrabiano masło. W Niechorzu było dwóch piekarzy, którzy swe wypieki dostarczali końmi. W czasie lata moja babcia pracująca w kuchni miała turnusy liczące nawet do 600 osób. W dzisiejszych czasach, jak mówi, z elektrycznymi krajalnicami, obieraczkami, gotowymi produktami spożywczymi jest niewyobrażalne, że dwie ludzkie ręce potrafiły zdążyć na czas ze wszystkimi posiłkami. Podczas letnich miesięcy było czynne ambulatorium, do którego na kilka miesięcy był oddelegowany lekarz z innej miejscowości. W październiku 1946 roku otwarto szkołę.

Czas biegł szybko, wygląd Niechorza zaczynał się zmieniać. Powstawały drogi, dotychczas były tylko polne. Pojawiły się samochody. Kolejka wąskotorowa zaczęła swe regularne kursy w stronę Gryfic i Trzebiatowa. Pojawiły się telefony stacjonarne. Urząd pocztowy, sezonowy posterunek milicji. Powstała Ochotnicza Straż Pożarna. Przybywało nowych mieszkańców i miejsc pracy. Ośrodki wczasowe rozrastały się, a latem tłumnie przyjeżdżali wczasowicze.

Zmieniały się pokolenia. Po moich dziadkach przyszedł czas na pokolenie moich rodziców. W Niechorzu powstały nowe ośrodki z basenami, pięknymi kawiarniami, restauracjami. Wszystkie domy gościnne i kwatery są zadbane, ukwiecone. Niechorze zyskało też piękny kompleks sportowy, składający się ze stadionu piłkarskiego o nawierzchni trawiastej, stadionu piłkarskiego o nawierzchni sztucznej, boiska do koszykówki, siatkówki, kortów tenisowych, boiska do siatkówki plażowej, skateparku. Na tym stadionie odbywały się niejednokrotnie wielkie widowiska muzyczne i sportowe. Najbardziej spektakularnym był występ Gorana Bregovicia, który przyciągnął do naszej miejscowości rekordową liczbę turystów. Niezapomnianym wydarzeniem były też kwalifikacje do Mistrzostw Europy do lat 17 w piłce nożnej. W ramach kompleksu działa również wypożyczalnia rowerowa.

W 2000 roku dokonano generalnego remontu latarni morskiej. Przywrócono pierwotny żółty kolor wieży, zamontowano system klimatyzacji oraz automatyczne otwieranie okien, a także odnowiono przyległe zabudowania i mury. W Dniu Flagi 2 maja 2013 roku latarnia została przystrojona wielką flagą o długości 23 m i szerokości 3 m.

25 października 2008 roku Ochotnicza Straż Pożarna przeprowadziła się do pięknego centrum ratownictwa wyposażonego w najnowszy sprzęt do ratowania mienia, a także ludzkiego życia zarówno na lądzie, jak i na morzu. Członkowie dzisiejszej Ochotniczej Straży Pożarnej to często synowie, a także wnuki, osadników przybyłych do Niechorza w 1945 roku.

Nie od razu Polskę zbudowano. Budowało ją, na przykładzie mojej miejscowości, pokolenie pierwszych osadników. Była to ciężka praca, okupiona zmęczeniem, ale i radością. Tak jak we wspomnieniach moich dziadków, w powojennej miejscowości, ludzie pełni zapału budowali swój kraj.

Na ich oczach i dzięki nim Niechorze z miejscowości bez dróg, bieżącej wody, piękniało z roku na rok. Mimo ciężkich warunków pracy, braku pieniędzy, nowi osadnicy, pochodzący często z różnych stron Polski, potrafili zjednoczyć się i razem budować skrawek swej ojczyzny.

Budowało ją także pokolenie moich rodziców, praca ta dawała im dużo satysfakcji. Efekty ich wysiłku widać na każdym kroku i w każdym zakamarku mojej miejscowości. Powstały ośrodki wczasowe wyposażone na europejskim poziomie, wybudowano urokliwe kawiarenki, lodziarnie, smaźalnie.

Nie zapomniano także o historii Niechorza. Do dzisiaj utrzymywane są w dobrej kondycji powojenne budynki, kolejka wąskotorowa, powstało Muzeum Rybołówstwa Morskiego. Do Niechorza przyjeżdżają tłumy zadowolonych turystów.

Niedługo moje pokolenie – dzisiejszych piętnastolatków – w dobie internetu, telefonów komórkowych, komputerów, cyfryzacji będzie kontynuować dzieło naszych dziadków i rodziców.

Myślę, że postaramy się konsekwentnie dalej rozwijać nasz kraj i nie zmarujemy jego wielkiego dorobku. Nie od razu Polskę zbudowano, ale wysiłek wielu poprzednich pokoleń procentuje do dziś, czego pozytywnie doświadczamy na każdym kroku i w każdej dziedzinie naszego życia.

Stanisław Łacki

godło: „Szkliwiony”

Nie od razu Polskę zbudowano

Rodzina jest bez wątpienia darem najcenniejszym. To ostoja człowieka, w której spotkamy miłość, dobroć i oparcie, tak bardzo potrzebne nam do codziennej egzystencji. Tej silnej więzi nie potrafią rozerwać nawet tak katastrofalne w skutkach wydarzenia jak wojny czy przesiedlenia. To bardzo trudne pożegnać miejsce, z którym łączy nas tak wiele i odjechać w nieznaną przestrzeń. W krainę miodem i mlekiem płynącą, bądź też użyźnioną krwią walecznych, a zwącą się Polska. Uczestnikami takiej wyprawy w nieznane byli moi dziadkowie. Dzięki wielkiemu szczęściu, jako mały chłopiec, zdążyłem wysłuchać ich wspomnień, by kilka lat później podzielić się ową historią z innymi.

Linia Skowronów

Skowronowie byli polską rodziną żyjącą na emigracji we Francji. Założył ją Jan Skowron, który jako nastolatek w latach 20. XX wieku wyjechał na północ Francji w celu znalezienia pracy. Tak zapewne by się nie stało, gdyby jego ojciec nie przegrał w karty rodzinnego majątku w Stanisławowie pod Łodzią. Młody Jan pracował początkowo we francuskich gospodarstwach rolnych, by po pewnym czasie założyć własne i osiedlić się w niedużej miejscowości niedaleko Rouen. Tam też poznał swoją przyszłą żonę przybyłą z niemieckiego Śląska – Antoninę Zynzeling. Doczekali się oni siódemki dzieci, w tym mojego dziadka Jacquesa Skowrona. Urodził się on 30 czerwca 1940 roku w Crisenoy pod Paryżem, w czasie przeprowadzki rodziny na południe Francji.

Jesienią 1945 roku Jan wiedziony poczuciem patriotyzmu zdecydował o przeniesieniu rodziny do niepodległej Polski. Familia sprzedała cały swój majątek i wyjechała transportem kolejowym do Łodzi. Tam początkowo

zostali zakwaterowani w mieszkaniu komunalnym, jednak po krótkim czasie przeprowadzili się do częściowo odkupionego majątku rodzinnego Jana w Stanisławowie.

Kiedy starsze córki Jana ukończyły swoje szkoły otrzymały nakaz pracy na terenie dawnych Niemiec. Emerytowane już małżeństwo w 1959 roku zaplanowało kolejną w ich życiu przeprowadzkę, tym razem do leżącego w północno-zachodniej Polsce Choszczna. Bez większych sentymentów Jan rozstał się ze swoim dworkiem, tak mocno zniszczonym w wyniku wojennej zawieruchy.

Po przybyciu do Choszczna zakwaterowali się w, stojącej do dziś, ponieemieckiej kamienicy przy ulicy Chrobrego. Dwa lata później, po odbyciu służby wojskowej, przybył tu też Jacques. Pracował on w choszczeńskim ratownictwie medycznym aż do przejścia na zasłużoną emeryturę. W domu, w którym mieszkali, poznał Honoratę Pudakiewicz – nauczycielkę języka rosyjskiego przybyłą z terenów dzisiejszej Białorusi, którą poślubił w 1965 roku.

Młode małżeństwo początkowo zamieszkało w Piaseczniku, by po kilku latach przenieść się do domu wybudowanego w Choszcznie przez Jacquesa i jego brata. Doczekało się ono dwóch dziewczynek: Beaty (1966) i Natalii (1975), późniejszych nauczycielek. Jacques i Honorata żyli razem do 2010 roku, kiedy to zmarł Jacques, a rok później Honorata.

Linia Pudakiewiczów

Pudakiewiczowie mieszkali na przedwojennym pograniczu polsko-radzieckim w Wiszniewie, wiosce leżącej obecnie na terenie Białorusi. Wywodzą się oni ze szlachty polskiej, rodu Kossobudzkich herbu Pobóg, którego główną przedstawicielką w rodzinie jest moja praprababcia Anna Kossobudzka. Przyszła na świat 8 lipca 1945 roku w Czerniewiczach niedaleko Mińska jako córka akuszerki Jadwigi Makiej i kombatanta Wojska Polskiego Stanisława Pudakiewicza.

Po wojnie rodzina uniknęła przesiedleń, jednak wyraźne piętno odcisnęła rusyfikacja i zajęcie majątku przez nowo powstałe kolchozy. Pierwszym językiem Honoraty był rosyjski, choć rodzice mówili płynnie po polsku. Wynikało to z tego, że w szkołach na terenie ZSRR systematycznie sprawdzano, czy dzieci mówią w innych językach niż rosyjski, a jeśli tak, to były one szykanowane przez społeczność szkolną, jak i wiejską.

Honorata posiadała niezwykle głośny jak i słuch muzyczny, w wyniku czego otrzymała propozycję pracy w moskiewskim chórze. Jednak dzięki przytomności umysłu jej babki (Anny Kossobudzkiej) nie została wywieziona do Moskwy.

W 1957 roku razem z matką i babką, z majątkiem mieszczącym się w nie-dużej walizce, przyjechała ostatnim transportem repatriacyjnym do Choszczna, gdzie czekał na nie Stanisław, którego Honorata miała spotkać pierwszy raz w życiu. Cała rodzina uniknęła w ten sposób wywózki na Syberię, która groziła im za posiadanie znacznego majątku i szlacheckiego pochodzenia.

Początkowo Honorata zatrzymała się w domu dalekiej rodziny Stanisława, znajdującym się na choszczeńskim osiedlu Betlejem. W późniejszym okresie przeprowadziła się do kamienicy przy ulicy Chrobrego, gdzie poznała swojego przyszłego męża Jacquesa Skowrona. Niedługo potem ukończyła studium nauczycielskie i od razu po szkole rozpoczęła pracę w szkole wiejskiej w Piaseczniku, nauczając języka rosyjskiego. Kilka lat później z powodu przeprowadzki do Choszczna podjęła pracę jako nauczycielka w Publicznym Przedszkolu nr 1 w Choszcznie, w którym pracowała do emerytury.

Linia Łąckich

Łąccy byli góralską rodziną mieszkającą w Jodłowej niedaleko Tarnowa. Tam też urodził się Tadeusz jako najmłodsze z dziewiętki dzieci Władysława Łąckiego i Anny Wójcik.

Podczas wojny uniknął przesiedleń, jednak w 1942 roku trafił do niemieckiego obozu jenieckiego w Gross-Rosen, uważanego za jeden z najcięższych obozów, gdzie spędził dwa lata na ciężkiej pracy w kamieniołomie przy głodowych racjach żywnościowych nieprzekraczających 1000 kalorii.

Po wojnie ukończył Szkołę Kontrolerów Sanitarnych w Tarnowie. Od 1957 roku, aż do śmierci w 1995 roku, prowadził dział epidemiologiczny w Powiatowej Stacji Sanitarно-Epidemiologicznej w Choszcznie.

W 1957 roku za namową swojego starszego brata Edwarda przeprowadził się do Choszczna, gdzie początkowo żył w służbowym mieszkaniu przy ulicy Wolności, by kilka lat później wybudować swój własny dom. W tym samym roku poznał pielęgniarkę Franciszkę Kozak, którą poślubił 12 kwietnia 1958 roku. Rok później na świat przyszedł ich syn Dariusz, a po kilku latach córka Izabela. Tadeusz zmarł 30 kwietnia 1995 roku po ciężkiej walce ze stwardnieniem rozsianym.

Linia Kozaków

Kozakowie byli rolniczą rodziną zamieszkującą miejscowość Zagrazie, leżącą 10 km od Wilna. Tam też 18 października 1934 roku na świat przyszła Franciszka jako drugie z trójki dzieci kombatanta I wojny światowej Armii Carskiej Józefa Kozaka i Genowefy Dubowik.

Podczas wojny razem z bratem i siostrą zajmowała się częścią rodzinnego gospodarstwa. W 1948 roku sytuacja materialna spowodowała, iż przeprowadziła się wraz z rodziną na Ziemię Zachodnie, a dokładniej do Kalisza Pomorskiego. Tak jak przed wojną, zamieszkali w gospodarstwie rolnym i z niego się utrzymywali. Franciszka uczęszczała do szkoły pielęgniarskiej w Koszalinie, a po jej ukończeniu w 1953 roku otrzymała skierowanie do pracy w szpitalu w Choszczynie.

W kwietniu 1958 roku wyszła za mąż za Tadeusza Łąckiego i zamieszkali w nowo wybudowanym domu przy ulicy Kościuszki.

Beata i Dariusz Łąccy

Beata i Dariusz poznali się w 1985 roku na jednej z choszczeńskich dyskotek prowadzonych właśnie przez Dariusza. Cztery lata później zawarli związek małżeński i przeprowadzili się do wybudowanego przez Dariusza i jego ojca domu. Dwa lata później na świat przyszedł ich najstarszy syn Piotr, a w 1996 roku „Szkliwiony”, czyli ja.

Pamiętki rodzinne

Pamiętki z dawnych lat zajmują ważne miejsce w domu każdej szanującej się rodziny. Tak jest też u nas. Niestety, w wyniku wojny, przesiedleń i zajęcia majątków przez władze radzieckie zostało ich naprawdę niewiele. Chciałbym więc przedstawić te najważniejsze.

Najważniejszymi pamiętkami rodzinnymi są dwa święte obrazy Matki Boskiej Ostrobramskiej, towarzyszące rodzinie Pudakiewiczów od 1926 roku. Wiąże się z nimi ciekawa historia. W 1941 roku w ich majątku wybuchł pożar. Spaleniu uległy meble, dokumenty, pieniądze i inne wartościowe rzeczy z wyjątkiem dwóch obrazów Matki Boskiej. Rodzina uznała to za pewnego rodzaju znak i zabrała je do jednej, jedynej walizki, którą mogli zabrać do Polski. Od tego czasu obrazy są przekazywane z pokolenia na pokolenie i zajmują ważne miejsce w historii naszej rodziny.

Jedną z niewielu zachowanych pamiętek, a zarazem najstarszą, jest akt urodzenia Jadwigi Pudakiewicz (Makiej) z 1920 roku.

Skutki przesiedleń

W wyniku przesiedlenia na Ziemię Zachodnie przedstawiciele wszystkich rodów mojej rodziny stracili dużą część swojego majątku. Najbardziej dotknęło to rodzinę Pudakiewiczów, której majątek przekazano na własność kołchozom,

a oni sami do Polski przyjechali tylko z trzema niedużymi walizkami. Oprócz utraty majątku nieodwracalnym skutkiem jest także rozerwanie więzi rodzinnych. W wyniku wydarzeń z lat 40., 50. i 60. przedstawiciele rodziny mieszkają nie tylko w Polsce (7), ale także w Niemczech (3), Stanach Zjednoczonych (2), Austrii (3), Francji (5), Rosji (3), na Litwie (2) i w Białorusi (10), co nie sprzyja rodzinnej integracji. Cóż, skutki mogą być czasami dotkliwie, ale gdyby nie one, Polska wyglądałaby dzisiaj zupełnie inaczej.

■ ROK 2014

„Dziedzictwo – źródło tożsamości”

*[...] nic nie stoi w miejscu, ani ludzie,
ani woda, ani czas.*

Ian McEwan (1948–), *Marzyciel*

*Na świecie będzie tylko to, co było,
A liść uniosą dalej wody rzeczne.*

Czesław Miłosz (1911–2004), *Wiara*



Nagrody przyznane w kategorii gimnazja:

I nagroda za pracę „Stypa” dla Weroniki Wrzeńskiej z Zespołu Szkół w Kołbaczu (opiekun: Ewa Pietruszka)

dwie równorzędne II nagrody za prace:

„Dziedzictwo – źródło tożsamości” dla Kai Kiedrowskiej z Gimnazjum nr 1 im. Bohaterów Monte Cassino w Złocięncu (opiekun: Ewa Szlesińska)

„Dziedzictwo – źródło tożsamości” dla Adriana Dobka z Zespołu Szkół Sportowych w Rewalu (opiekun: Izabela Roustm)

III nagrody nie przyznano

Nagrody i wyróżnienie przyznane w kategorii szkoły ponadgimnazjalne:

I nagroda za pracę „Dziedzictwo – źródło tożsamości” dla Kamili Król z Zespołu Szkół nr 2 im. Noblistów Polskich w Choszczynie (opiekun: Agnieszka Kasperczuk)

dwie równorzędne II nagrody za prace:

„Dziedzictwo – źródło tożsamości” dla Kingi Domagały z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych w Drawsku Pomorskim (opiekun: Małgorzata Styza)

„Dziedzictwo – źródło tożsamości” dla Olgi Stawickiej z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych im. Czesława Miłosza w Gryficach (opiekun: Małgorzata Rusin)

III nagrody nie przyznano

wyróżnienie za szczególnie estetyczną formę pracy dla Kamili Król z Zespołu Szkół nr 2 im. Noblistów Polskich w Choszczynie

Weronika Wrzesińska

godło: „Wera Wrzos”

Stypa

Żałobne pieśni umilkły, barwne wieńce i wiązanki zostały na cmentarzu. Pozostał krąg czarno ubranych żałobników.

Przykro jest, gdy ktoś odchodzi, ale to jedna z okazji, kiedy cała rodzina się spotyka. Babcia mówi wtedy, że zmarły „robi miejsce” dla nowego życia. Stypa, spotkanie krewnych – jest to także doskonały moment, aby dowiedzieć się czegoś o swoich korzeniach, by powspominać, przypomnieć historię i poznać drogi, które doprowadziły do miejsc, w których żyjemy.

Wokół mnie jest wiele nowych twarzy, niektóre rozpoznaję. O! – stryj Adam, dusza towarzystwa, przyjechał z Ciechocinka, ale wielu nie znam, widzę je po raz pierwszy. Babcia stojąca koło mnie w czarnym kostiumie, o kasztanowych włosach pod eleganckim kapeluszem uśmiecha się do każdego, z każdym zamienia słowo i ściska, dziękując za obecność, wyraźnie pełni honory gospodyni tej smutnej uroczystości. Chce, aby wszystko wypadło na medal, by jej tata w zaświatach nie miał do niej żadnych pretensji. Pewnie dla niej żadna z obecnych osób nie stanowi zagadki, ona jedna wie, kto zacz, z kim żyje i jak.

Ściszone rozmowy łączą się z dźwiękami sztuców, którymi żałobnicy sprawnie dzielą schabowego. Jest ponuro i jakoś tajemniczo. Tyle imion, nazwisk i miejsc... Nie dam rady tego wszystkiego zapamiętać. Napotykam wzrok babci siedzącej naprzeciwko.

– Czy to wszystko rodzina? – zapytałam cichym głosem, by wkomponować się w atmosferę sali.

– Tak – odpowiedziała babcia.

– Jak to się stało, że my mieszkamy w Zachodniopomorskiem? Przecież to są ziemie należące do Polski dopiero od 60 lat.

– Mój pradziadek, Marcin Olejnik, w XIX wieku zamieszkiwał Ziemię Kujawską. Żył około 40 lat. Wiem też, że miał dwie żony i w swoim niedługim życiu dochował się trzech synów: Michała, Franciszka i Jana. Mama opowiadała mi, że dziadek był pisarzem we dworze, więc potrafił czytać i pisać, a to była rzadkość w tamtych czasach.

– A który z synów Marcina to twój dziadek?

– Moim dziadkiem był Franciszek. Urodził się w 1891 roku w Ciechocinku, na ziemiach zaboru rosyjskiego. Ożenił się z Heleną z domu Janczak. W 1914 roku został wcielony do armii rosyjskiej, walczył we Władywostoku. W tym czasie urodził mu się syn. Po czterech latach wojny i walki na froncie powrócił do rodzinnego Ciechocinka. To był 1918 rok, a te ziemie należały już do wolnej Polski. Miał pięcioro dzieci: Władysława, Stefana, Jadwigę, Lucynę i Irenę. Cała rodzina zamieszkiwała Ciechocinek, Raciążek i Aleksandrów.

– Babciu, a jaki to ma związek z tym, że ja mieszkam na tych ziemiach?

– Już ci wyjaśniam. Jedna z córek Franciszka – Irena to moja mama, a twoja prababcia. To między innymi za jej sprawą jesteśmy na tych ziemiach. Mama urodziła się 26 stycznia 1926 roku w Raciążku. Ciotka Jadwiga opowiadała mi, że w 1941 roku, gdy Irena miała 15 lat zmarła moja babcia. Nie miał się kto nią zająć, to pojechała do swojej ciotki do Poznania. Był to czas wojny. Niestety, podczas jednej z łapanek na stacji kolejowej Niemcy złapali ją i wywieźli na roboty w głąb Rzeszy pod samą granicę francuską. Pracowała w fabryce amunicji. Tam odwiedzał ją jej starszy brat Władysław, który także był w obozie pracy. Pracował jako parobek u niemieckiego rolnika. Po wojnie w 1945 roku wróciła do ojczyzny w rodzinne strony i razem z dwiema siostrami została skierowana do pracy w sanatorium w Międzyzdrojach.

– Czy to w tej miejscowości poznała dziadka Adolfa?

– Tak. Tata pełnił tam służbę wojskową. On pochodził z Wileńszczyzny. Jego ojciec, czyli mój dziadek, również miał na imię Adolf. Urodził się w 1888 roku w Rydze. Mój ojciec urodził się 25 stycznia 1925 roku w miejscowości Horan, powiat Postawy, dzisiejsza Białoruś. Jako nastolatek był w partyzantce, miał pseudonim „Strumień”. Po zajęciu tych ziem przez Armię Czerwoną został wcielony w jej szeregi. Był z pochodzenia Polakiem, dlatego przenieśli go do Wojska Polskiego. Walczył jako czołgista. A po zakończeniu wojny za odwagę otrzymał Krzyż Walecznych i odznaki. Babcia nie kryła dumy. Razem z Wojskiem Polskim dotarł z Wilna aż na Ziemię Zachodnie dzisiejszej Polski, gdzie jako osadnik wojskowy zamieszkał we wsi Wielkie Pola (dzisiejsza Rabiąż), w powiecie wolińskim, w gminie Kołczewo. Za zasługi na froncie otrzymał 4 ha ziemi ornej, 2

ha łąk, 1,75 ha pastwisk, dom mieszkalny, stodołę, oborę, stajnię wraz z szopą, drwalnię i konia. – Babcia wymieniała kolejno stan posiadania jak największy skarb. – Pracował jako rolnik, podjął przerwana przez wojnę edukację. Ukończył szkołę i został geodetą. Z miejscowości Wielkie Pola przeniósł się do Świnoujścia, później do Goleniowa, a następnie do Szczecina, gdzie spędził resztę życia. Pracował w Urzędzie Miejskim w Szczecinie. 13 czerwca 1946 roku w urzędzie stanu cywilnego w Wolinie moi rodzice wzięli ślub.

– Międzyzdroje, Wolin, Wiselka, to miejsca, które związały losy pradziadków?

– Tak. Z czasem urodziły się moje siostry Longina i Ewa. Ja urodziłam się w Międzyzdrojach, szkoły kończyłam w Szczecinie. Od 1970 roku pracowałam w Państwowym Domu Dziecka w Wiselce. Tam też poznałam twój dziadka.

Tę historię już znam. Romantyzmu w niej niewiele, bo babcię i dziadka połączył spis ludności przeprowadzony w 1970 roku. Miałam mętlik w głowie. Żałobny obiad zmienił się w prawdziwą lekcję historii i geografii. Gdybym chciała określić swoje miejsce na ziemi, to gdzie ono by było? W powiecie wolińskim? Postawskim? Na Białorusi? Albo może na Kujawach? Czy to koniec oznaczania ważnych dla mojej rodziny miejsc?

Kamila Król

godło: „Kamila”

Dziedzictwo – źródło tożsamości

Każda rodzina nosi w sobie jakąś tajemnicę. Są jednak takie sekrety, które być może nigdy nie zostaną do końca odkryte. Ja postanowiłam przyjrzeć się przeszłości, docierając do prawdy na temat ludzi, którzy związani są z moim rodzinnym miastem. Poznałam zdarzenia, które miały wpływ na przedstawione osoby, zgłębiłam ich dramatyczne losy, zapoznałam się z prawdą, która na zawsze określiła charakter pewnej rodziny. Wartość i siłę tego rodu odkrywałam powoli...

Tam gdzie morze wiecznie bryzga

Na opustoszałe skały...

Czarodziejka mnie z miłości

Obdarzyła talizmanem.

Czule pieszcząc mnie mówiła:

Strzeż mojego talizmanu -

W nim jest tajemnicza siła,

Bo z miłości tobie dany!

Aleksander Puszkin, *Talizman*

Michał

Michał Szczuraszek urodził się 7 października 1919 roku we wsi Biadki w powiecie krotoszyńskim, w województwie poznańskim. Pochodził z wielodzietnej rodziny. Jego ojciec, także Michał, który urodził się w 1878 roku, z pierwszą żoną miał 7 dzieci. Po jej śmierci ożenił się z urodzoną w 1888 roku Marianną z domu Szczepańską, z którą miał również 7 dzieci. Michał urodził się jako czwarte dziecko z tego związku.

Do wybuchu II wojny światowej Michał Szczuraszek mieszkał we wsi Piaski w gminie Zduny. Ukończył tam 5 oddziałów szkoły powszechnej, a w 1933 roku szkołę w zawodzie wyuczonym jako rzemieślnik zajmujący się kowalstwem. Jego ojciec wybudował dom przy lesie, na uboczu, z dala od miasta. Rodzina posiadała także około 10 ha własnej ziemi rolnej, która jednak była mało urodzajna, gdyż jej większość stanowiły piaski.

1 września 1939 roku, kiedy Niemcy wkroczyli na terytorium Polski, kazali gospodarzom przygotowywać żywność dla niemieckiego wojska. Liczna rodzina Michała musiała dzielić się z okupantami i tak bardzo małymi plonami. Panowała wielka bieda i głód, nastąpiły dla Szczuraszków ciężkie dni. Żeby przeżyć, postanowili mimo zakazu wyhodować w lesie świnie. Świniobicie Michał wraz z matką przeprowadził w pełnej konspiracji, ponieważ zwierzę nie było kolczykowane. Ktoś we wsi jednak dowiedział się i doniósł o złamaniu zakazu na miejscowy posterunek. Zaraz potem zatrzymano sprawców – matkę z synem. W listopadzie 1939 roku przewieziono ich do więzienia w Krotoszynie. Dwudziestoletni Michał był przesłuchiwany przez komendanta policji. Za nieprzyznawanie się do winy dotkliwie pobito go i zamknięto w celi. Nie chciał, żeby matka była torturowana i dlatego wziął całą winę na siebie. Po złożonych zeznaniach, 7 marca 1940 roku, Michał został przewieziony do więzienia o zaostrowym rygorze w Rawiczu, w którym przebywał wraz z innymi oskarżonymi o zbrodnie przeciwko III Rzeszy. Kara była bardzo surowa, warunki więzienne wręcz nie do zniesienia. Na początku pobytu w więzieniu zamknięto go w piwnicy i maltretowano. Michał, ze względu na ciężkie pobicie, nie mógł nawet ustać na nogach. Przez wiele dni leżał na zimnej podłodze zalanej wodą. Nie pamiętał, jak długo był nieprzytomny, ile dni tam spędził, a być może tygodni... Był u kresu wytrzymałości. Opuściła go nadzieja, czuł, że tak skończy się jego żywot. Gdy w końcu odzyskał przytomność, został przeniesiony do małej i zimnej celi bez okien, w której ustawione były tylko prycze i wiadro z nieczystościami. Otrzymywał do jedzenia głodowe porcje, zazwyczaj zimne i wodniste zupy, czasami z kaszą, kawałkiem ziemniaka lub niekiedy kromką czarnego chleba. Michał mówił, że Niemcy dawali im tylko tyle jedzenia, aby przeżyć, więc więźniowie wiecznie byli głodni. Godziny dłużyły się bez końca. Nie wychodził na żadne spacery, wszystkich więźniów siłą zapędzano na plac, na którym codziennie odbywały się te same niekończące się apele po to tylko, aby poniżyć aresztowanych i odebrać im resztę godności. Ciągłe tortury, psychiczne znęcanie się i ograniczone porcje żywnościowe powodowały wysoką śmiertelność wśród więźniów. Michał czasami żałował, że nie może umrzeć

tak jak inni, tylko dalej musi znosić to upokorzenie. Z powodu niedożywienia chorował na szkorbut, który wywoływał u niego osłabienie, samoistne krwawienia oraz silne bóle mięśni, stawów i kości. W wyniku choroby dostał zapalenia dziąseł i zaczęły wypadać mu zęby, rany bardzo wolno się goiły. Również z powodu nadmiernego zmniejszenia wody w tkankach cierpiał na iszjasz. W końcu – po 6 miesiącach pobytu w więzieniu – 15 września 1940 roku Michał został uwolniony i wypuszczony na wolność.

Po powrocie do rodzinnej wioski, zaledwie po dwóch tygodniach, ponownie został schwyty w łapance zorganizowanej przez Niemców. Nadjechały samochody ciężarowe, z których wysiedli SS-mani, Michał nie posiadał przy sobie dokumentów, między innymi karty pracy, ponieważ po wyjściu z więzienia nie zdążył się jeszcze nigdzie zatrudnić. Nie wybronił się zatem przed wywózką na roboty do Niemiec. Zabrali go tak, jak stał i siłą wrzucili do ciężarówki. Zawieziono go na stację kolejową, na której do następnego ranka, wraz z równie wystraszonym tłumem ludzi, czekał na pociąg. Niemcy zapędzili wszystkich oczekujących do wagonów bydłowych. W każdym z nich było około 50 osób. Na podłodze rozrzucono im słomę, w wagonie znajdowały się także drewniane prycze, ale ludzi było zbyt dużo, więc prycze zajmowali pierwsi, którzy wsiadali, pozostali natomiast kładli się na podłodze. Na środku wagonu znajdował się otwór służący za latrynę. Kiedy pociąg załadowano, zasunięto żelazne drzwi wagonów i zaplombowano je. W takich warunkach ludzie czuli się jak zwierzęta. W końcu pod eskortą SS-manów transport odjechał w kierunku Niemiec. W zamkniętych wagonach było ciemno i bardzo gorąco, bowiem niewiele światła i świeżego powietrza dochodziło z zakratowanych okienek, dlatego wszyscy potwornie pocili się i tworzył się odór nie do zniesienia. W tak okropnych warunkach ludzie tracili przytomność, dusili się i umierali. Michał cudem przetrwał tę straszną podróż, do końca nie wiedział, dokąd jedzie i na jak długo ponownie rozstaje się ze swoją rodziną.

W końcu, po długiej i męczącej podróży, 1 października 1940 roku, przyjechał do Rostocku, tam został zmuszony do pracy na rzecz hitlerowskich Niemiec i zatrudniony w fabryce samolotów konstruktora Ernsta Heinkela, który projektował oraz budował myśliwce i bombowce dla Luftwaffe.

Na początku pracował w dziale amunicji jako ślusarz, potem w fabryce samolotów. Michał mieszkał w łagrze na terenie fabryki, warunki były trudne, ale do zniesienia. Za swoją pracę otrzymywał niewielką pensję, za którą mógł dokupić sobie jedzenie, ponieważ żywiono ich bardzo skromnie. Dzięki znajomości języka niemieckiego Michał szybko nawiązywał znajomości, które

traktował jako kartę przetargową w walce o własne życie. Mimo niewolniczej pracy pomału nabierał sił i odyskiwał zdrowie. Jego samopoczucie psuła świadomość, że jest zmuszany do produkcji niemieckich samolotów dla Luftwaffe. W fabryce często dochodziło do sabotażu, bo Polacy celowo wykonywali wadliwe części, które powodowały usterki samolotów. Kiedy sabotaż został wykryty, Niemcy nieoczekiwanie, często i szczegółowo sprawdzali baraki, w których mieszkali robotnicy. Losowo wybierali kilku mężczyzn, ustawiali pod ścianą i rozstrzelali. W takich momentach Michał obawiał się o swoje życie, ponieważ mógł być jednym z nich. Aby ukarać pozostałych, Niemcy wstrzymywali racje żywnościowe i zwiększali liczbę godzin pracy.

W trudach dnia codziennego Michał tracił nadzieję na lepsze jutro. Bardzo tęsknił za rodziną i martwił się, że nigdy nie wróci do kraju. Sen z powiek spędzała mu myśl o tym, że jego najbliżsi mogą już nie żyć.

Tak mijały tygodnie i miesiące. W 1941 roku przybył do fabryki transport robotników z ZSRR. Wśród nich znalazła się młoda, śliczna dziewczyna o imieniu Jewgonjia, w której Michał zakochał się od pierwszego wejrzenia.

Jewgonjia

Jewgonjia Bileńko urodziła się 25 grudnia 1922 roku w Charkowie, w ZSRR, w rodzinie Jana i Marii, jednak nie ma pewności, że takie imiona nosili jej rodzice. Jewgonjia nie była jedynaczką, miała młodszego brata. W czasach stalinizmu, przed II wojną światową, straciła ojca. Jan Bileńko został zesłany na Sybir za obrażanie Stalina. W towarzystwie przyjaciela użył słów: „расстояние со Сталиным” („precz ze Stalinem”), za co zapłacił życiem. Jak się później okazało, jego kolega doniósł na niego odpowiednim służbom. Kiedy został aresztowany, matka wraz z córką pojechały do Moskwy prosić o zwolnienie ojca z więzienia. Mimo ich starań, nikt z urzędników nie chciał z nimi rozmawiać. Ojciec padł ofiarą stalinowskiego reżimu, wszelki ślad po nim zaginął. Przez wiele miesięcy nie mieli od niego żadnych wiadomości. Dochodziły ich słuchy, że został wywieziony na Sybir – jak mówiono – do „białych niedźwiedzi”. Niestety wszyscy wiedzieli, że wielu skazanych umiera już w drodze na zsyłkę, na przykład jeden ze statków zapełnionych więźniami został celowo zatopiony. Tak więc Jewgonjia z matką mogły się tylko domyślać, co dzieje się z osobą tak bliską ich sercu. Pewnego dnia przyszła paczka, w której znajdowały się tylko jego ubrania i buty. Kobiety nie otrzymały żadnej pisemnej informacji o śmierci Jana. Strata ojca była dla Żeni bardzo dotkliwa. Wkrótce po tym wydarzeniu jej brat również został

uwięziony, nigdy jednak rodzina nie dowiedziała się, jaka była przyczyna aresztowania.

Kiedy Niemcy wkroczyli na teren ZSRR, dziewiętnastoletnia Jewgonjia została w 1941 roku schwytana w łapance i wywieziona na przymusowe roboty do niemieckiego miasta Rostock, w którym przebywał Michał Szczuraszek.

Michał i Jewgonjia

Dzięki młodej Rosjance Michał odzyskał sens życia, poczuł się wreszcie szczęśliwy. Czuł, że przezwycięży wszystkie trudności stojące na jego drodze. Miłość między młodymi kwitła, wspierali się nawzajem i nie wyobrażali sobie życia bez siebie. To uczucie dawało im siłę do walki o każdy następny dzień. Michał za zarobione pieniądze obdarowywał swoją ukochaną drobnymi prezentami. Pewnego dnia sprawił jej ogromną radość, ofiarowując laurkę na 22 urodziny i przyrzekając miłość. Była to forma oświadczyn, ponieważ nie mógł ukochałej wręczyć nic cenniejszego.

Michał wraz z narzeczoną pracowali do 1 maja 1945 roku. Kiedy wojska rosyjskie wkroczyły do miasta i zakończyła się wojna z Niemcami nareszcie mogli wracać do domu. Panowało ogólne poruszenie, wszyscy płakali z radości, wkrótce bowiem wszyscy mieli spotkać się ze swoimi rodzinami. Ale radość nie trwała długo, ponieważ Rosjanie, zajmując fabrykę, wymusili na pracownikach wskazanie Niemca, który traktował ich najgorzej. Jeden z robotników uczynił to, a Rosjanie, chcąc ukarać winnego, zemścili się na jego piętnastoletniej córce. Obcięli jej przy samej skórce piękne, długie włosy, a potem pięciu z nich zgwałciło ją. Świadkiem tego haniebnego czynu była Jewgonjia. Doznała ona głębokiego szoku i nie mogła uwierzyć, że zrobili to jej rodacy. Wcześniej myślała, że to koniec problemów, a okazało się, że Rosjanie mogą być dla niej większym niebezpieczeństwem. Wróciły bolesne wspomnienia z przeszłości, ponieważ kobieta miała za sobą ciężkie dzieciństwo w objętym terrorem ZSRR.

Po traumatycznych przeżyciach w obozie pracy Jewgonjia bała się wrócić do ojczyzny, ponieważ Sowietów ją przerażali. Stalin był nieugięty, żądał, aby wszyscy Rosjanie przebywający za granicą wrócili do Związku Radzieckiego. Ona doskonale wiedziała, że ci, którzy wracali do ojczyzny kończyli w gułagu, czyli w rosyjskim obozie pracy przymusowej, w którym więźniami byli zarówno przestępcy kryminalni, jak i osoby uznawane za społecznie niepożądane lub politycznie podejrzane, takie jak Jewgonjia. Michał namawiał ją, aby razem z nim pojechała do Polski. Mówił, że tam będzie im się żyło lepiej. W jej kraju czekał tylko niedostatek, nędza i wszechobecny terror. Narzeczony był jej

jedynym oparciem i nadzieją, więc wierzyła, że uda im się stworzyć dom, tym bardziej, że za pięć miesięcy miał przyjść na świat owoc ich wielkiej miłości.

Gdy Michał wraz z narzeczoną wracał do Polski, stało przed nim trudne zadanie, musiał wyrobić dla ukochanej fałszywe dokumenty. Większą część drogi przejechali pociągiem. Na jednym z polskich dworców okradli ich szabrownicy. Skradziono im dokumenty i niewielki bagaż. Po wielu trudach podróży w końcu dotarli do miasta Choszczna, skąd na pieszo udali się do pobliskiej wsi Radlice. W tej spokojnej okolicy postanowili się osiedlić. Michał znalazł tu pracę i został kowalem. W Radlicach 21 września 1945 roku przyszedł na świat poczęty w Rostocku ich pierwszy syn – Henryk.

Po roku pobytu w Radlicach Michał wraz z rodziną przeprowadził się do Radunia. Była to niewielka rolnicza wieś, w której potrzebowano kowala.

Michał otrzymał mały dom, warsztat kowalski oraz działkę rzemieślniczą o areale 1,74 ha. Dom był w złym stanie. Aby można było w nim zamieszkać, należało włożyć w niego dużo pracy. Zalegało w nim błoto, był zdewastowany, brudny i przesiąknięty wilgocią. Przez pewien czas zamieszkiwali w nim żołnierze Armii Czerwonej. W pobliżu stał kościół, który wcześniej służył za wojskowy szpital. Mimo wielu codziennych problemów i niedogodności, pomalutko ich życie zaczynało się układać. Stanowili jedność, prawdziwą rodzinę. Michał nie zapomniał o matce i ojcu, często odwiedzał rodzinne strony i w miarę swoich możliwości pomagał rodzicom. Podarował im nawet dwa konie wraz z furmanką, którą sam wcześniej dostał z tak zwanego przydziału, aby mógł nią dojeżdżać do pracy.

Michał wielokrotnie opowiadał o swoim ojcu, który był utalentowanym muzykiem i potrafił bez czytania nut grać na wielu instrumentach. Kilka lat po wojnie podarował swoje przedwojenne dudy znanemu Chórowi Chłopców i Męskiemu Filharmonii Poznańskiej „Poznańskie Słowiki”, a skrzypce oddał Michałowi, ten zaś wiele lat później przekazał je wnuczce Bogdanowi, synowi Henryka, który był jedynym dziedzicem nazwiska Szczuraszek.

W 1946 roku Michał postanowił w rodzinnych stronach wziąć z ukochaną ślub kościelny. W tym samym roku – 31 października na świat przyszło ich drugie dziecko – Danuta. Tymczasem Jewgonjia stawiała czoło trudnościom dnia codziennego, musiała nauczyć się żyć w obcym kraju. Często zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy swoją rodzinę... Czasami była bardzo przygnębiona i smutna, ale wiedziała, że podjęła słuszną decyzję i musi, a raczej chce zostać w Polsce – kraju ukochanego, aby dobrze wychować i wykształcić swoje dzieci. To pragnienie stanowiło teraz sens jej życia, to tu była teraz jej rodzina.

Michał udzielał się społecznie, często przebywał w towarzystwie wielu ludzi, między innymi milicjantów, i szybko potrafił zdobyć zaufanie. Dzięki wielu wpływom zdobył dokumenty z fikcyjną tożsamością dla ukochanej. Od tego momentu jego żona nazywała się Eugenia Jankowiak, córka nieżyjących Jana i Marii. Rodzina Szczuraszków w końcu czuła się bezpiecznie i zaczęła nowe życie, które przypieczętowała sformalizowaniem swojego związku. 6 grudnia 1946 roku Michał Szczuraszek i Eugenia Jankowiak (Jewgonjia Bileńko) wzięli długo oczekiwany ślub cywilny.

Niedługo potem Eugenia Szczuraszek zaczęła nauczać języka rosyjskiego w raduńskiej szkole. Jednak któryś z niezyczliwych sąsiadów doniósł na nią i władze odebrały jej dokumenty. Michał zmuszony został do zapisania się do partii i dzięki koneksjom swoich towarzyszy ponownie załatwił żonie kolejny fałszywy dowód tożsamości. Było to wielkie poświęcenie z jego strony, ponieważ w zamian za taką pomoc oczekiwano od niego współpracy. Między innymi domagano się donosów na sąsiadów, jednak Michał potrafił być lojalny wobec współmieszkańców wsi i dostarczał jedynie mało znaczące informacje. Nigdy nie zaszkodził żadnemu z mieszkańców Radunia.

W kolejnych latach swego życia pracował nadal jako kowal, a na świat przychodziły dzieci: Ferdynand, Alfreda, która zmarła po 3 miesiącach, Andrzej i Wioletta. Eugenia zajmowała się wychowywaniem dzieci, pomagała im w nauce, wzorowo prowadziła dom i niewielkie gospodarstwo otrzymane po przyjeździe do Radunia. Rodzina wiodła w miarę spokojne i skromne życie.

W 1961 roku Michał rozpoczął pracę w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Smoleniu, gdzie pracował do 1965 roku. W międzyczasie pełnił funkcję przewodniczącego Rady Gromadzkiej. Udzielał się społecznie i z zaangażowaniem poświęcał się mieszkańcom, niosąc pomoc tym, którzy jej najbardziej potrzebowali. W tym czasie jego żona prowadziła sklep spożywczy w Raduniu, a Michał zatrudniony został na stanowisku nauczyciela Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Choszczynie, w której uczył młodzież swojego wyuczonego zawodu – kowalstwa. Po 22 latach pracy odszedł na emeryturę. Był lubianym i docenianym działaczem. Uchwałą Rady Państwa z dnia 25 września 1974 roku został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. Otrzymał również 5 sierpnia 1987 roku Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Został również odznaczony medalem za zasługi dla miasta Choszczno oraz województwa gorzowskiego.

Eugenia przez całe swoje życie rozmyślała o swojej matce i bracie, którzy pozostali w Związku Radzieckim. Sama bała się tam pojechać, mimo tego, że dzieci proponowały jej odwiedzenie rodzinnych stron. Ona jednak lękała

się, że jej fałszywe dokumenty będą podstawą do aresztowania i zatrzymania w ZSRR już na zawsze. Mogliby ją też wysłać do kolonii karnej, tak jak jej ojca, którego dawniej niesłusznie uznano za szpiega. Dzięki życzliwej znajomej, która pojechała na Ukrainę, dowiedziała się, że jej matka i brat żyją.

Kiedy jej mama wzięła do ręki zdjęcie, na którym była Eugenia, od razu ją poznała i powiedziała: „Это моя дочь Женя”. Od tego momentu Eugenia korespondowała ze swoją rodziną, pomagała jej w tym najmłodsza córka Wioletta. Na zaproszenie Eugenii do Polski przyjechała jej bratowa z synem. Eugenia miała do niej żal, ponieważ ta sprzedała pamiątkowy pierścionek matki, który miała jej w darze przekazać. Wkrótce potem nadszedł list z wiadomością, że ukochana mama umarła. Żenia udała się do swojego pokoju i tam w ciszy długo opłakiwała jej śmierć. Zaraz po tym wydarzeniu na zawsze urwał się kontakt z rodziną z ZSRR.

Eugenia do ostatnich swoich dni wiodła spokojne i szczęśliwe życie, była otoczona szacunkiem i miłością bliskich. Razem z nimi mieszkała ich najmłodsza córka Wioletta, która opiekowała się rodzicami.

Michał i Eugenia Szczuraszek przeżyli ze sobą 61 lat, doczekali się 10 wnuków i 7 prawnuków. Po długiej chorobie 10 kwietnia 2002 roku umarła Eugenia, przeżywszy 80 lat. Po roku, 28 września, w wieku 84 lat odszedł Michał Szczuraszek.

Kamila

Michał Szczuraszek i Eugenia Jankowiak (Jewgonjia Bileńko) są moimi pradziadkami. Mój tato Radosław jest synem ich najstarszej córki Danuty.

Oceniając ich poczynania z perspektywy czasu, z całym przekonaniem mogę stwierdzić, że są oni moimi bohaterami. Mimo wielkiego cierpienia, jakiego zaznali w czasach młodości, najpierw przez okupację niemiecką, a później przez stalinowskie rządy, dzielnie stawiali temu czoło. Obozowa miłość, siła i determinacja pomogły im przetrwać wojenne zawieruchy. Dla nas wojna skończyła się w 1945 roku, dla nich walka dopiero się zaczęła. Czy rzekoma kradzież dokumentów w czasie powrotu do domu nie była konspiracją...? Pradziadek Michał zrobił to, co uważał w danym momencie za najsluszniejsze. Musiał naprawdę wiele poświęcić, aby zapewnić bezpieczeństwo swojej ukochanej Żeni i dzieciom.

Najważniejszymi wartościami dla Michała były Miłość i Rodzina. „Talizman miłości” – obozowa laurka, która przetrwała do dziś, była wyznacznikiem ich życia.

Prababcia Eugenia w moich wspomnieniach na zawsze pozostanie osobą spokojną, opanowaną i bardzo skrytą. Musiała nosić w sobie ciężar tajemnicy, której tak naprawdę nikomu całkowicie nie wyjawiała.

Zastanawiam się, o czym tak często rozmyślała? Czy kiedykolwiek żałowała, że opuściła na zawsze swoją ojczyznę i rodzinę? Być może nachodziły ją takie myśli...

Ja jednak wiem, że tu w Polsce była szczęśliwa i tu był jej prawdziwy dom. Wiem też, że na pewno była bardzo, ale to bardzo przez wszystkich kochana.

■ ROK 2015

„Dziedzictwo utracone – dziedzictwo ocalone”

*Tajemnica mego istnienia
tli się na drogach przeszłości
w popiołach wygasłych gwiazd.
Kogo zastępuję?
Kto mnie zastąpi?*

z wiersza *Tysiąc „dlaczego”* Eliasza Rajzmana
(1906–1975), szczecińskiego poety narodowości żydowskiej tworzącego w języku jidysz



Nagrody i wyróżnienie przyznane w kategorii gimnazja:

I nagroda za pracę „O trzech duchach z kołbackiego klasztoru” dla Jakuba Palusa z Zespołu Szkół w Kołbaczu (opiekun: Ewa Pietruszka)

II nagroda za pracę „Był sobie Polak i Niemiec” dla Weroniki Wrzesińskiej z Zespołu Szkół w Kołbaczu (opiekun: Ewa Pietruszka)

III nagrody nie przyznano

wyróżnienie za (szczególne) walory literackie za pracę „Pamiętaj...” dla Natalii Rusoľ z Gimnazjum nr 34 w Szczecinie (opiekunowie: Dorota Kopciewicz, Agnieszka Kachniarz)

Nagrody przyznane w kategorii szkoły ponadgimnazjalne:

I nagroda za pracę „Wizyta” dla Adrianny Gryczyńskiej z I Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Kołobrzegu (opiekun: Joanna Nienałtowska)

II nagroda za pracę „Wieczysta przysięga Marty” dla Marty Stypin z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych im. Pamięci Ofiar Terroryzmu 11 Września 2001 Roku w Kaliszu Pomorskim (opiekunowie: Aleksandra Radecka, Maciej Rydzewski)

III nagroda za pracę „Ocalić od zapomnienia...” dla Olgi Stawickiej z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych im. Czesława Miłosza w Gryficach (opiekun: Małgorzata Rusin)

Jakub Palus

godło: „Cysters”

O trzech duchach z kołbackiego klasztoru

Duch opata

Nad taflą Miedwia pojawiają się pierwsze zorze budzącego się dnia. Niebo zalewa różowa poświata, a gwiazdy tracą swój blask. Z porannej mgły stopniowo wyłaniają się kształty potężnych murów cysterskiego klasztoru.

Kogut w gospodarskich zabudowaniach daje sygnał, że braciszki powinni wstać, przecież minęła już godzina druga. Z cel zakonników dochodzą odgłosy porannego pacierza. Jedni zaspani robią znak krzyża i szepczą: *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen.* Tylko u opata słyszeć już: *Pater noster, qui es in caelis...* Daje przykład cystersom, żeby dzień rozpocząć bogobożnie i zgodnie z regułą zakonną, a ona nakazywała im bycie wiernym idei św. Bernarda z Clairvaux, który nakazywał żyć zgodnie z maksymą: *Ora et labora.* Zupełnie nie wiem, jak się tu znalazłem. Jeszcze przed chwilą, jako turysta, zwiedzałem ten klasztor razem z rodziną, a teraz... Jak to możliwe? Przecież mnichów nie ma w kołbackim klasztorze od XVI wieku...

Po odmówieniu modlitwy braciszki zabierają się do swoich prac. Widzę, jak jeden z nich toczy ogromną beczkę piwa do wozu, który zawiezie ją na dwór książęcy. Inni zaś w skryptorium przepisują obszerne księgi, w ogrodzie zbierają zioła, będą z nich lekarstwa. Praca pochlania mnichom bardzo dużo czasu, dopiero o godzinie 8:00 odprawiana jest msza święta.

Nagle spostrzegłem wjeżdżający przez bramę wóz pełen ryb.

– Ej, otwórzcie bramy! Sieje na stół opata – radośnie zawiadomił resztę mnichów brat Albert. – Nasz opat uwielbia te ryby – powiedział do mnie jeden z braciszków. – Oddałby chyba swoją duszę za nie – dodał ściszym głosem.

I wtedy przypomniałem sobie legendę o opacie i rybie siei, opowiadaną mi przez mojego nauczyciela.

Nastała godzina 15:00, to już czas na nieszpory. Widzę mnichów z zaangażowaniem szykujących się do wieczornej modlitwy. Po niej ponownie wracają do pracy. Ze zdziwieniem przyglądam się pracowitości cystersów. Gdy praca dobiega końca, mają trochę czasu dla siebie.

W końcu księżyc wyłonił się zza chmur – jego blask oświetlił cały wirydarz. Godzina 19:00. Wszyscy bracia zakonni szykują się do snu i ja również udaję się do wskazanej przez braciszka celi. Po 18-godzinnym dniu pracy i modlitw cystersi kładą się spać, aby móc wstać znowu o godzinie 2:00.

Właśnie w tej chwili ocknąłem się z zamyślenia. Okazało się, że przez dłuższy czas wpatruję się w jeden z obrazów, znajdujący się w Galerii Cysterskiej, która powstała w spichlerzu w dawnej nawie kościoła.

Duch PRL-u

W końcu lato, pora żniw. Słysząc już warkot starych kombajnów „workowców” na polu pszenicy. Dyrektor kołbackiego PGR-u uroczyście rozpoczął zbiory uliczną defiladą. Na przodzie dumnie pomykają nowiutki, czerwone Bizony, za nimi, jakby nieco zawstydzone, stare Vistule. Z zainteresowaniem oglądałem to wielkie wydarzenie. Po zakończeniu żniw, po zebraniu ostatniego kłosa, odbywało się spotkanie z załogą, po czym siadano wkoło na snopkach i świętowano. Po zebraniu plonów, ziarno wędrowało do spichlerza, który niegdyś był nawą kościelną. Kurz zboża osiada wszędzie, na starych belkach i gotyckich okienkach. Huk maszyn podających tegoroczne zbiory do nawy klasztoru miesza się z przekleństwami pracujących tu ludzi, są zmęczeni i bardzo brudni. Nie wiem, czy są świadomi, że dawno temu w tym miejscu rozbrzmiewały śpiewy gregoriańskie, nie wiem, czy się modlili, ale bernardyńskie *labora* wypełniali sumiennie.

Gdy spacerowałem po uliczkach, doszły mnie słuchy, że Kołbacz nie tylko na Pomorzu, ale i w całym kraju jako jeden z pierwszych, wprowadził przemysłowe metody produkcji zwierzęcej i nazywany był pierwszą w kraju „fabryką mięsa”, a sama miejscowość „agromiastem”. Dokładnie nie widziałem, co to oznacza, ale brzmiało to naprawdę imponująco. Dowiedziałem się też, że aby dostać mleko, należało rano przyjść do zakładu i tam ludzie otrzymywali je za darmo!

Upał niemiłosierny, zachciało mi się pić. Poszedłem do pobliskiego sklepu. Kiedy stałem w kolejce, zauważyłem opustoszałe półki sklepowe. Zdziwiony byłem bardzo, że w sklepie nie dostanę nawet wody mineralnej, nie wspominając o coca-coli. To nie do pomyślenia. Zrezygnowany opuściłem sklep.

Duch terażniejszości

Jest godzina 17:00. Tłum z niecierpliwością oczekuje otwarcia wystawy „Życie w kolektywie”. Robi się duże zamieszanie. Staram się znaleźć miejsce dla siebie. Przedemną ogromne drzwi prowadzące do Galerii Cysterskiej w Kołbaczu. To szczególne miejsce, ponieważ niegdyś służyło jako spichlerz, a jeszcze wcześniej było nawą kościoła cysterskiego.

Wszedłem do środka. Długie strome schody prowadziły do miejsca wystawy. Mieszkańcy, wchodząc do galerii, byli bardzo zdziwieni, bo znali tę przestrzeń jedynie jako spichlerz, w którym jeszcze do połowy lat 90. sami pracowali. Jakby czuli jeszcze dawny zapach pszenicy, żyta, kukurydzy i pamiętali ten kurz, to ciepło, które dawniej towarzyszyło im przy pracy w dawnym spichlerzu. Miejsce, w którym leżało zboże, zamieniło się w galerię sztuki! Wystawa, którą wszyscy zobaczyli była niezwykła, bo jej bohaterami byli sami mieszkańcy Kołbacza.

Archiwalne fotografie przypominały czasy PRL-u. Nagle tłum zamilkł. Organizator imprezy krótką przedmową wprowadził uczestników w tematykę wystawy. Pierwsze zdjęcie, jakie zobaczyłem, przedstawiało trzech kombajnistów w czasie żniw. Rozpoznałem jednego z nich – był to mój 70-letni sąsiad. Właśnie stał obok mnie i z uśmiechem pokazywał zdjęcie swoim wnukom. Z fotografii patrzy na mnie młody, silny mężczyzna, który miał nie więcej niż 30 lat. Takim chwilom służą wystawy w kołbackiej „Galerii Spichlerz”. Obejrzałem już zdjęcia ukazujące życie cystersów z klasztoru w Jędrzejowie, pewnie podobnie wyglądało to 700 lat temu w Kołbaczu, bo reguła *Ora et labora* nadal obowiązuje. Teraz poznaję czasy młodości mojego dziadka, a wszystko dzięki wystawom w pocysterskiej galerii, a do tego okraszone wspaniałymi koncertami.

Po zakończeniu imprezy wróciłem do domu zamyślony. Poczułem, że moja mała miejscowość jest naprawdę wyjątkowa. Patrząc na dawny klasztor, na stodołę gotycką (która nadal jest użytkowana przez miejscowy zakład rolny) i na współczesne czasy ze wspaniałe zaopatrzonymi pięcioma sklepami, widzę ogrom historii, której wcześniej nie potrafiłem dostrzec. Kołbacz jest miejscem fascynującym, a jego duchy wciąż zachęcają do odkrywania.

Adrianna Gryczyńska

godło: „Koniczynka”

Wizyta

Nigdy nie przypuszczałam, że przyjdzie taki dzień, kiedy moja pewność co do tego, jak odpowiadać na pytanie: kim jesteś? zostanie zachwiana i przywrócona na nowo w całkowicie innym wymiarze.

Do tej pory nie miałam z tym najmniejszego problemu. Mam na imię Adrianna, mieszkam w okolicach Karlina, jestem Polką i Europejką, uczennicą, lubię jeść frytki, pić cytrynową ice tea i czytać książki – tyle zawsze mogłam o sobie powiedzieć, wszystko to było prawdą. No właśnie: było.

To znaczy – formalnie wciąż jest. Formalnie nic się nie zmieniło. Wciąż mam na imię Adrianna, wciąż mieszkam w Karlinie, wciąż jestem lubiącą frytki, mrożoną herbatę i czytanie książek Polką, Europejką oraz uczennicą. Wszystko tak samo, a jednak inaczej; widziane przez inny pryzmat, przez powiększające szkło faktów, o których dowiedziałam się niedawno, w niecodziennych okolicznościach i... chyba trochę za późno.

Ale po kolei. Był ciepły majowy dzień. Po powrocie ze szkoły zjadłam obiad, przebrałam się w sportowe spodnie i zaciągnęłam psa na spacer. Przechodziliśmy obok sklepu, stawku, kościoła i starego cmentarza, którego punktem charakterystycznym była płacząca wierzba rozłożona nad ogromnym głazem ozdobionym napisami w niemieckim gotyku. Napisy upamiętniały rzekomo spoczywającego tam oficera armii hitlerowskiej. Rzekomo, bo w sumie nie wiadomo, czy był to rzeczywiście grób, czy tylko symboliczny pomnik – jakoś nikt nie zadał sobie nigdy trudu, żeby to sprawdzić, a przynajmniej ja nic o tym nie wiedziałam.

Zazwyczaj stary cmentarz był zupełnie pusty, no chyba że ktoś z zarządców gminy przypomniał sobie akurat, że warto by go nieco uporządkować, skosić trawę przynajmniej, naprawić zardzewiałą bramę. Dziś jednak przed wejściem

stał duży, czarny mercedes na niemieckich tablicach rejestracyjnych. Widok Niemców nie jest w naszych okolicach niczym zaskakującym – przyjeżdżają tu często potomkowie dawnych mieszkańców, oglądają domy albo miejsca, gdzie jeszcze kilkadziesiąt lat temu spali, gotowali, jedli, żyli po prostu ich przodkowie, przechadzają się coraz piękniejszymi uliczkami miasteczka i wiejskimi szlakami, próbując dopasować to, co widzą, do tego, co na temat tych miejsc powiedzieli im dziadkowie i babcie.

Nigdy nie bałam się Niemców. Niemcy, tak jak Polacy, to po prostu ludzie – myślałam. A bywało u nas inaczej. Dziadkowie, ba, nawet rodzice moich kolegów i koleżanek opowiadali często, że któregoś dnia przyjedzie do nas gruby Hans i wszystko zabierze, bo to wszystko jego, a nie nasze, że my to tak naprawdę zabraliśmy, ukradliśmy i kiedyś ktoś się upomni o zwrot „zagrabionego mienia”. Nie do końca rozumiałam, o co w tym chodzi. Na lekcjach historii dowiadywałam się pewnych szczegółów, które sprawę rozjaśniały, ale nie potrafiłam sobie mimo tego odpowiedzieć na pytanie, dlaczego powinnam bać się Niemców. Więc się nie bałam. Nie bałam się tak ogólnie i nie bałam się tych tutaj, stojących na cmentarzu, dwudziestoparoletnich, kobiety i mężczyzny, pochylonych nad ogromnym głazem ozdobionym napisami w niemieckim gotyku. Nie bałam się na tyle, że kiedy zauważyli mnie, podeszli i zapytali po niemiecku, czy mówię w ich języku, od razu odpowiedziałam:

– Oczywiście. W czym mogę pomóc?

Niemieckiego uczyłam się zaledwie od kilku lat, ale porozumiewałam się w nim znakomicie. Co dziwne, nigdy nie odbierałam go jako języka zupełnie obcego. Nawet nie chodziło o to, że miałam z nim kontakt praktycznie od dziecka (rodzice mówili po niemiecku biegle, podobnie sąsiedzi), ale bardziej o to, że traktowałam go – nie wiem, na skutek czego – jako kolejny język ojczysty. Gdzieś w podświadomości niemiecki był dla mnie drugim polskim.

– Szukamy drogi do miejscowości, do której przynależą te tereny – odpowiedział on, przystojny, dobrze ubrany i na pierwszy rzut oka sympatyczny człowiek.

– Mamy, to znaczy wydaje mi się, że mamy, tam dalekich, hmm..., krewnych. Chcemy ich odwiedzić.

O, zasiał we mnie ciekawość. Przecież to moja miejscowość, znam tu wszystkich, znam wobec tego bez wątpienia również ich krewnych. Już chciałam zapytać o ich nazwisko, lecz w ostatnim momencie powstrzymałam się. Nie miałam zamiaru wyjść na kogoś wścibskiego, postanowiłam więc po prostu wskazać najszybszy dojazd i poczekać na rozwój sytuacji. Może sami powiedzą, o kogo chodzi.

– Musicie państwo pojechać tą polną drogą jakieś pół kilometra, a potem skręcić w prawo – odpowiedziałam. – Chyba że chcecie zostawić samochód i pójść pieszo, wtedy zamiast w prawo, skręćcie w lewo. Da się przejść, są tam piękne widoki, ale samochodem nie da rady.

– Dziękujemy, będziemy jechać autem – wtrąciła ona, ładna brunetka o brązowych oczach i zniewalającym uśmiechu.

– W takim razie musicie skręcić w prawo i dojechać do drogi asfaltowej. Na skrzyżowaniu z drogą asfaltową pojedziecie w prawo i dojedziecie do stacji benzynowej. Tuż za stacją znajduje się wąska dróżka kamienna. Możecie w nią skręcić, po dwóch minutach będziecie na miejscu. Tak będzie najszybciej.

– Dziękujemy, tak właśnie zrobimy. Zależy nam na czasie. Czekaliśmy na ten dzień dość długo. A jeśli wziąć pod uwagę dziadków narzeczonej – tu wskazał na swoją towarzyszkę – to czekaliśmy na ten dzień bardzo długo.

– Tak – zaśmiała się ona. – Jakieś siedemdziesiąt lat.

Też się zaśmiałam.

– W takim razie życzę powodzenia – powiedziałam.

Mężczyzna i kobieta podziękowali, ona uściśliła mi dłoń. Poszli do samochodu, a ja przyciągnęłam bliżej psa i skierowałam się w stronę domu. Kątem oka dostrzegłam, jak goście z Niemiec wsiadają do mercedesa i powoli ruszają. Kiedy mnie mijali, on zatrząbił, a ona pomachała przez szybę. Odmachnęłam.

Ciekawe, do kogo przyjechali, kogo tu szukają. I po co stali przed grobem, czy też pomnikiem, niemieckiego oficera? Hermann Muller, tak się nazywał. Oberleutnant Hermann Muller. Zmarł w niejasnych okolicznościach 4 marca 1945 roku, po tym, jak do Karlina dotarł rozkaz o ewakuacji ludności cywilnej z powodu marszu Rosjan na miasto. Domniemywano, tak przynajmniej mówił kiedyś nauczyciel historii, że Muller zginął od radzieckiej kuli, ale nigdy nie udało się nikomu przekonująco tego uzasadnić.

Czyżby Muller był jakimś przodkiem tej pary? A może po prostu, szukając swoich krewnych, przypadkiem natknęli się na ten cmentarz, zobaczyli gotyckie napisy na kamieniu i zatrzymali się, żeby sprawdzić, jaki to ich rodak spoczywa w tym miejscu? Trudno stwierdzić. Aczkolwiek zapewne nie pozostanie to zbyt długo tajemnicą – wkrótce wszystkiego się dowiem, nasza miejscowość jest przecież wystarczająco mała, aby obieg informacji był szybki i perfekcyjny.

Wracając do domu, wstąpiłam jeszcze do sklepu i zapukałam do Anki, najlepszej kumpeli. Drzwi otworzyła mi mama Anki i już od progu uprzejmie doniosła:

– No, a ty tutaj? Co tu robisz? Przecież chyba macie jakichś gości. Było u nas dwoje Niemców, młodzi tacy, dobrym samochodem przyjechali. Pytali o waszą

rodzinę. To znaczy nie o waszą – rzucali nazwiskami ludzi, którzy już dawno nie żyją. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że to wy jesteście w linii prostej ich najbliższymi potomkami i to o was musi chodzić.

Zrobiłam wielkie oczy.

– Spotkałam ich dzisiaj – odpowiedziałam. – Pytali o drogę, ale nie myślałam, że szukają akurat nas...

– Hmm... Nie wiem, czy na pewno was, byli tu tylko pięć minut, zadawali różne pytania. Podyskutowaliśmy i odesłałam ich do twojego ojca, bo tylko on przyszedł mi na myśl. Tym Niemcom musiało chodzić o niego.

– Wie pani co, to w takim razie może ja przyjdę do Anki później. Powie pani, że musiałam szybko biec do domu. Do widzenia!

Odwrociłam się na pięcie i rzeczywiście biegłam. Mimo że do domu miałam stąd tylko jakieś trzysta metrów, kawałek prostej, dwa zakręty i już, to nie mogłam iść spacerkiem. Coś mi podpowiadało, że w moim domu, w mojej kuchni albo w pokoju gościnnym dzieją się rzeczy ważne, rzeczy, które zmieniają moje życie.

Kiedy tylko zobaczyłam dom, potwierdziły się słowa mamy Ani. Przed drzwiami stał zaparkowany czarny mercedes – ten sam, którego widziałam przed kilkudziesięcioma minutami obok cmentarza. Nieśmiało weszłam do środka.

Już z korytarza słyszałam, że w kuchni wrzało. Atmosfera rozmowy daleka była od przyjacielskiej. Goście z Niemiec i mama wyraźnie kłócili się. Bałam się wejść dalej. Stałam i słuchałam, coraz bardziej osłupiała, głosów mamy, taty i przyjezdnych:

– Nieprawda, nie macie racji, to są wszystko jakieś bzdurne wymysły – twierdziła mama.

– Właśnie, legendy miejskie, nic więcej. Wiedzielibyśmy o tym, a tak, to tylko złośliwi ludzie tak twierdzili, nigdy nie dawaliśmy temu wiary – wtórował ojciec.

– Ale – ripostował damski głos – w mojej, hmm..., naszej właściwie, rodzinie było podobnie. Też tylko półśłówka. Ani dziadkowie, ani rodzice nie chcieli się do tego przyznać. A jednak widziałam listy. My chcemy tylko poznać prawdę...

– Prawda jest taka, że jest tak, jak jest i powinniśmy to zostawić – zawyrokował ojciec.

– Właśnie – zgodziła się matka. – Po co rozdrapywać jakieś stare rany i jątrzyć?

– Żeby wiedzieć o sobie więcej – odpowiedział męski głos. – Michaela po prostu chciałyby wiedzieć, co się dzieje z jej dalekimi krewnymi, jeżeli prawdą w ogóle jest, że ich ma. Niedługo bierzemy ślub i postanowiliśmy wspólnie, że sprawdzimy, czy to, o czym się w jej rodzinie przebąkuje od pokoleń, o czym mówią poukrywane dokumenty, jest faktem. Żeby nasze dzieci wiedziały, kim są,

kim są naprawdę, kim byli ich przodkowie w burzliwym czasie wojny. A wy nie macie dzieci?

– Mamy córkę – powiedziała krótko matka.

– No właśnie. I nie chcielibyście, żeby ona dowiedziała się, kim jest?

– A kim niby jest? – oburzył się ojciec. – Jest naszym dzieckiem, wnuczką naszych rodziców. Jest Polką z krwi i kości, jak to się u nas mówi – Polką z dziada pradziada. Co więcej może o sobie wiedzieć?

– I w tym właśnie sęk, że „z dziada pradziada” być może niekoniecznie – odezwała się kobieta. – Tylko tyle chcielibyśmy jej przekazać. Chcielibyśmy to sprawdzić. Być może się mylimy, wtedy po prostu przeprosimy.

– Wie pani, nam zupełnie na tym nie zależy. Nie wiem, co chcieliście osiągnąć, przyjeżdżając tutaj, ale wam się to nie udało. Żegnamy – ojciec był nad wyraz stanowczy, takiej stanowczości w jego głosie jeszcze nigdy nie słyszałam.

– Rozumiemy, nie mamy zamiaru się narzucać. Widzieliśmy grób pradziadka, to i tak dużo. Jeżeli nie jesteście jeszcze państwo gotowi na rozmowę o przeszłości, to w porządku, rozumiemy to. Mamy nadzieję, że kiedyś to się zmieni. Nie będziemy już przeszkadzać. Do widzenia. Chodźmy, Thomas.

Drgnęłam. Nie do końca wszystko rozumiałam, ale rozmowa dotyczyła także mnie, więc nie mogłam tego tak zostawić, nie mogłam pozwolić im wyjść. Szybko odpięłam psa od smyczy i weszłam do kuchni.

– Dzień dobry – wydukałam tylko.

Wszyscy zdziwili się moją obecnością. Rodzice – tym, że jestem i że zaraz namieszam (bo dobrze znali mój charakter), goście – że ja, córka ludzi, z którymi rozmawiali, jestem tą samą dziewczyną, która wskazała im drogę do tego domu.

– O, cześć – powiedział mężczyzna. – A więc znów się spotykamy. Mam na imię Thomas, a to jest Michaela – wskazał na kobietę.

– Adrianna – powiedziałam.

– Cześć – uśmiechnęła się Michaela.

– Znacie się już? – zdziwił się ojciec.

– Tak, spotkaliśmy się przy starym cmentarzu – wyjaśnił Thomas, a następnie spojrzał na mnie. – Niestety, musimy już iść.

– Nie! – wykrzyknęłam. – Słyszałam część waszej rozmowy. O co właściwie chodzi? Mówiliście, że szukacie swoich krewnych...

– O nic – starała się uciąć matka. – Państwo nas z kimś zwyczajnie pomylili, szukali kogoś innego, ale nie możemy im za bardzo pomóc...

– Jeśli się pomyliliśmy, to przepraszamy – wtrąciła Michaela – ale jeśli nie, to jesteśmy, Adrianno, bardzo dalekimi kuzynkami.

– Kuzynkami? – Moje zdziwienie sięgało zenitu.

– Bzdury! – oburzył się ojciec. – Żadnymi kuzynkami nie jesteście. Szanowni państwo, niech państwo zajmą się swoimi sprawami, proszę, tam są drzwi, do widzenia.

– Tato – zaczęłam – może pozwolisz, żeby państwo wyjaśnili mi, o co chodzi?

– To niepotrzebne. Nie ma o czym mówić.

– Ale mi na tym zależy. Może chodzi o coś ważnego, o coś, co powinnam wiedzieć?

– Zapewniam cię, córeczko, że nie.

– A mogę sama o tym zdecydować? Jestem już prawie dorosła. Możecie dać Thomasowi i Michaeli pięć minut, żebyśmy sobie w spokoju porozmawiali? Żeby powiedzieli mi to, co wam?

– Widzi pan, jak córce na tym zależy – uśmiechnął się Thomas.

– Ale mnie nie zależy, mojej żonie również – tata był nieugięty. – Prawda, kochanie?

– Sama już nie wiem... – zawahała się matka. – A może los po prostu tak chciał? Oni do nas sami przyjechali, nie zrobiliśmy nic w kierunku, żeby się z nimi spotkać. Jeśli teraz ich wyrzucimy, możemy być pewni, że Ada i tak kiedyś nawiąże z nimi kontakt. I być może dowie się tego, co, muszę to powiedzieć, pewnie jest prawdą. I będzie miała do nas pretensje, że ją okłamaliśmy.

– Tak – potwierdziłam szybko. – Już wiem, że chcę poznać prawdę, czegokolwiek ona dotyczy. I ją poznam. Jeśli nie teraz, to w przyszłości.

Ojciec zasępił się. Popatrzył po kolei na wszystkich zebranych i westchnął ciężko.

– Dobrze – rzekł. – Niech tak będzie. Usiądźmy.

Na stole stały szklanki z ledwo rozpoczętą, zimną już, kawą. Thomas pociągnął z filiżanki spory łyk i spojrzał mi w oczy.

– Nazywam się Thomas Angerer. A to – wskazał na narzeczoną – jest Michaela Muller, prawnuczka porucznika Hermanna Mullera, który spoczywa na lokalnym cmentarzu.

– Jasne – powiedziałam. Ta informacja nie zrobiła na mnie większego wrażenia.

– Mój pradziadek – Michaela przejęła inicjatywę – był dowódcą oddziału Wehrmachtu stacjonującego w pobliżu podczas wojny. W styczniu 1945 wydano rozkaz ewakuacji Karlina. Rozkaz dotarł dopiero w marcu, kiedy na jakiegokolwiek ruchy wojskowe było już praktycznie za późno.

– Tak, wiem o tym z lekcji w szkole – przerwałam. – Pana Mullera zabiło wojsko rosyjskie.

– Ech... Wciąż tak tutaj mówią? W naszych opowieściach rodzinnych wygląda to trochę inaczej...

– Niby jak?

– Pradziadek zostawił w Niemczech żonę, moją prababcie. Jak długo mógł, tak długo ukrywał, że jego żona ma pochodzenie żydowskie. Kiedy wszystko wyszło na jaw, Gestapo wydało na moją prababcie wyrok śmierci. Wyrok wykonano od razu. Podobny wyrok wydano na pradiadka, ale odroczonego na prośbę wysokich rangą oficerów Wehrmachtu – sytuacja na froncie była trudna, a doświadczenie Hermanna było zbyt duże, aby tracić człowieka. Hermann wiedział jednak, że kiedyś zostanie zabity i że już nigdy nie wróci do Niemiec. W dodatku nigdy nie był ideowym zwolennikiem Hitlera: po prostu kochał wojsko i wojnę. Kiedy Niemcy wyraźnie zaczęli przegrywać, pradiadek zaczął się zastanawiać, jak ułożyć sobie życie po wojnie. Wiedział, że nie może tu zostać jako oficer niemiecki, choć tego tak naprawdę chciał, nawet za cenę więzienia. Ale nie za cenę życia – i dlatego pomimo całego wstydu i żalu, postanowił zdezerterować. Jako że był człowiekiem wykształconym i znał język francuski, stwierdził, że mógłby udawać w oczach Rosjan i Polaków francuskiego jeńca, jednego ze 150, których jeszcze w 1940 roku przywieziono do Karlina. W międzyczasie związał się z Polką, co utrzymywał w tajemnicy. Sprawa wyszła dopiero, kiedy Polka zaszła w ciążę i urodziła dziecko. W szeregach wojsk niemieckich szeptano, że to dziecko Hermanna, ale nie było na to dowodów. Dowody znalazły się dopiero na początku 1945 roku – ale wtedy nie było już czasu na sąd wojskowy nad pradiadkiem. Kiedy w okolice przybyły wojska rosyjskie i Wehrmacht zaczął się w panice wycofywać, lokalni dowódcy wojskowi postanowili wykonać na Hermannie zawieszony wyrok śmierci, co usprawiedliwiali również tym, że w pokoju pradiadka znaleziono fałszywe dokumenty na francuskie nazwisko, co wyraźnie wskazywało na możliwą dezercję. Nie wiadomo, jak zginął Hermann. Możliwe, że od strzału w tył głowy, możliwe, że zabito go w sposób bardziej okrutny. Nie wiadomo też, jak zginęła Polka, z którą miał romans i gdzie znajdują się ich ciała. Po egzekucji Wehrmacht donosił, że oberleutnant Hermann Muller zginął w Karlinie podczas walk z Rosjanami i został pochowany na lokalnym cmentarzu – wciąż przecież żywa była hitlerowska propaganda o niezłomnych, dzielnych żołnierzach, którzy nigdy nie dopuszczają się zrad i dezercji.

– A co z dzieckiem?... – spytałam.

– Właśnie, i tutaj dochodzimy do sedna tej historii. Dziecko udało się ocalić, przed śmiercią partnerka Hermanna oddała je pod opiekę swojej siostrze, wyja-

wiając, kim jest to dziecko, ale prosząc jednocześnie, żeby nigdy nie dowiedziało się ono prawdy o swoim pochodzeniu. Tym dzieckiem była Irena Zimecka.

– Ależ to moja babcia!

Wszyscy zamilkli.

– Właśnie – po upływie dobrej minuty zaczęła Michaela. – Prośba twojej prababci nie została spełniona. Opiekunka twojej babci już po wojnie skontaktowała się z bratem Hermanna, który po śmierci mojej prababci opiekował jego synem, a moim dziadkiem, Peterem. Wspólnie doszli do wniosku, że o tych faktach należy zapomnieć. Dziś Peter już nie żyje.

– Moja babcia również...

– Ale kiedy jeszcze żyli, kontaktowali się ze sobą kilka razy. Mam tu w torbie listy od Ireny do Petera, listy – to chyba nie ulega wątpliwości – od siostry do przyrodniego brata. Pewnie gdzieś u was znajdują się jakieś listy zwrotne.

Spojrzałam na ojca. Siedział z głową schowaną w dłoniach.

– Tak, trzymam je schowane w piwnicy – powiedział tylko.

– Z tych listów wynika, że i Irena, i Peter jakoś ułożyli sobie życie. Że Peter miał syna, Patricka, mojego ojca, a Irena — syna Jacka.

– Mojego ojca! – krzyknęłam i spojrzałam na tatę, który wciąż zakrywał twarz rękoma.

– Tak. Jesteś prawnuczką Hermanna Mullera. Ja też nią jestem. A pan – wskazała na ojca – jest jego wnukiem.

– Tato?... – wyjąkałam.

– Tak, córeczko – westchnął ojciec i spojrzał mi w oczy. – To wszystko jest prawda. Nie chcieliśmy o tym mówić. To trudny temat dla nas, to trudny temat dla naszych sąsiadów, dla Polaków w ogóle. Moja babcia miała dziecko z Niemcem, ba, z niemieckim żołnierzem! Wiesz, jak ludzie wytykali ją palcami? Jak wytykali palcami moją mamę? A wiesz, jak koledzy mówili na mnie w szkole? Szwabski bękart. A przecież, do cholery, z Niemcami mam tyle wspólnego, że jakiś tam procent mojej krwi jest procentem germańskim! Nic więcej. Dziecko, ja ci chciałem tego oszczędzić. Chciałem, żebyś ty żyła inaczej, żebyś nie miała takich problemów, jakich doświadczyłem ja, jakich doświadczyła cała nasza rodzina.

– Wiem, tato... Rozumiem. I jestem ci za to wdzięczna. Ale dzisiaj czasy są inne. Jesteśmy w Unii, młodzi ludzie z Polski i Niemiec nie patrzą na siebie przez pryzmat wojny. Patrzą przez pryzmat przyszłości. Michaelo, a więc jesteśmy dalekimi kuzynkami?

– Tak – zaśmiała się Michaela. – A twoi rodzice to moi ciotka i wujek w drugiej linii.

– A twoi rodzice – to moje bardzo dalekie wujostwo?

– Tak. Ojciec, jak już mówiłam, ma na imię Patrick. A matka – Lena.

Znów zapadła cisza. Zastanawiałam się nad tym, czego się przed chwilą dowiedziałam. O moich pradziadkach ze strony ojca w domu nie mówiło się wiele – tyle tylko, że zginęli w czasie wojny. Wielu ludzi wtedy zginęło, zwłaszcza tutaj, więc było to dla mnie w pewnym sensie naturalne. Dlatego nigdy nie zgłębiałam tematu. Teraz wszystko stało się jasne: moja babcia i mój ojciec w jakiejś części byli Niemcami. W jakiejś części Niemką byłam także ja.

– Mam propozycję – powiedział nagle Thomas, wstając z krzesła. — Jedźmy jeszcze raz na cmentarz, odwiedzmy grób pradziadka Michaeli. Michaeli i Ady – poprawił się.

– Tak, jedźmy – głosem pełnym zadumy zgodził się ojciec.

Droga minęła bardzo szybko. Wysiedliśmy przed cmentarną bramą i w milczeniu stanęliśmy przed grobem Hermanna Mullera. Przechodziłam tędy wiele razy, wiele razy patrzyłam na wielki głaz ozdobiony niemieckim gotykiem, ale nigdy nie przypuszczałam, że ten głaz jest fragmentem mnie, że w jakimś sensie on jest mój. Że patrząc na niego, patrzę na własną tożsamość, na własne dziedzictwo, na własną przeszłość i... własne jutro. Teraz już wiem.

■ ROK 2016

„Pamięć miejsc i ludzi”

Jest się takim, jak miejsce, w którym się jest.

Zofia Nałkowska (1884–1954), *Granica*



Nagroda i wyróżnienia przyznane w kategorii gimnazja:

I nagroda za pracę:

„Filizanka” dla Igi Sulikowskiej z Gimnazjum nr 16 w Szczecinie (opiekun:
Wioleta Świtała)

II i III nagrody nie przyznano

4 wyróżnienia za prace:

„Jest się takim, jak miejsce, w którym się jest” dla Wiktorii Lewandowskiej
z Gimnazjum im. Marii Skłodowskiej-Curie w Kaliszu Pomorskim
(opiekun: Beata Rosentreter)

bez tytułu dla Weroniki Gargulińskiej z Gimnazjum nr 2 w Nowogardzie
(opiekun: Anna Nowosielska)

„Zaginiony Pradziadek” dla Katarzyny Kozłowskiej z Gimnazjum nr 1
im. Bohaterów Monte Cassino w Złocięncu (opiekun: Ewa Kilian)

„Wusterwitz” dla Wiktorii Murawieckiej z Gimnazjum Miejskiego nr 1
w Sławnie (opiekun: Grażyna Diak)

Nagrody przyznane w kategorii szkoły ponadgimnazjalne:

I nagroda za pracę:

„Zapomniany obóz pracy przymusowej w Jaraczewie” dla Marka Nowaka
z Zespołu Szkół nr 2 im. Noblistów Polskich w Choszcznie (opiekun:
Beata Zgorzelska)

II nagroda za pracę:

„...losy Pana Franciszka...” dla Nikoli Michałek z Zespołu Szkół
Ponadgimnazjalnych w Chojnie (opiekun: Edyta Krupa-Nadolny)

III nagrody nie przyznano

Iga Sulikowska

godło: „Filizanka”

Filizanka

Giesche – Fabryka Porcelany. Tu zaczyna się moja historia. Tu powstałam. Ja i wiele moich braci i siostr. Ozdobiona subtelnym złotym wzorkiem i błękitnymi kwiatkami trafiłam do ciemnego, czarnego pudełka z bardzo wąskimi przegródkami. I tak leżałam, czasem słysząc rozmowy ludzi na zewnątrz i czując delikatne trzęsienie, jakby pudełko było niesione. A potem rozmowy cichły, ruch zanikał. I tak trwaliśmy. Dziś wiem, że było to zaledwie parę tygodni, ale wtedy miałam wrażenie, że trwa to w nieskończoność. Aż nadszedł ten dzień, kiedy pudełko nagle się otworzyło. Zobaczyłam nad nim kobietę i mężczyznę.

– Myślisz, że Dalili się spodoba? – spytała kobieta z wyraźnym zainteresowaniem.

– Oczywiście, że tak – odparł mężczyzna.

W ten właśnie sposób znalazłam się w domu młodego, żydowskiego małżeństwa jako prezent ślubny. Położono mnie w kredensie, wypolerowaną i używano tylko od święta. Zza kryształowej szyby obserwowałam rozwój rodziny – dziadkowie starzeli się, młodzi poważnieli, a trójka ich dzieci dorastała w radości, miłości i szczęściu. Mijały kolejne lata, odmierzane uroczyście obchodzonymi świętami: Rosz ha-Szana, Jom Kippur, świętem Paschy. Widziałam, jak domownicy płakali za zmarłymi dziadkami. Obserwowałam, jak się kłócili, godzili i znowu obrażali na siebie o błahostki, jak dawali i dostawali prezenty, jak wyjeżdżali i wracali... Ich życie było moim życiem, mimo że nie brałam w nim czynnego udziału. Ojciec Uriasz prowadził zakład krawiecki, matka Dalila pomagała w prowadzeniu interesu, a szyć potrafiła nie gorzej od męża. Niekiedy zapraszała swoje klientki na herbatę, podając ją w naszym serwisie. Zwykle klientki były wytwornymi Niemkami. Opowiadały Dalili o swoich nowych sukienkach,

butach, plotkowały czy przekazywały wiadomości. Kobieta bardzo lubiła wizyty przyjaciółek. Mimo że zarobki rodziców nie były imponujące, ich dzieciom nigdy niczego nie brakowało, a najstarszą córkę, Rachelę, wypuścili z domu z całkiem sporym posagiem.

Nadszedł jednak czas ogólnego niepokoju. Dalila i Uriasz coraz częściej przebywali w domu, choć widać było, że nie sprawia im to najmniejszej przyjemności. Zmizernieli, schudli, ubyło im energii. Dlaczego? Wciąż zadawałam sobie pytanie, co się dzieje? Dowiedziałam się już wkrótce, gdy zdołałam usłyszeć fragment rozmowy.

– „Juden weg!” – żaliła się Dalila, opowiadając jednej z zaprzyjaźnionych klientek o napisie, który pojawił się zeszłej nocy na zakładzie krawieckim jej męża. – Tak napisali!

– Cóż – odparła wtedy przyjaciółka. – Wygląda na to, że nie jesteście tu mile widziani. Niestety, i ja mam złe wieści, nie będę już korzystać z twoich usług.

– Ale dlaczego?

– Widzisz, kochana, jestem Niemką. Gerhard jest w partii, robi bajeczną karierę. Bardzo cenię twoje sukienki, ale ich szycie u Żydówki może nam zaszkodzić. Sama widzisz, jak się sprawy mają. Gerhard kategorycznie zabronił mi się z Tobą spotykać. Strach pomyśleć, co by było, gdyby ktoś nas razem zobaczył! Na waszym miejscu pomyślałabym o wyjeździe. Wybacz, pójdę już – kobieta odstawiła mnie na spodek, wcisnęła oniemiałej Dalili kilka banknotów i wyszła z domu.

Dalila była zrozpaczona. Wiele niemieckich klientek odeszło, a na żydowską klientelę nie mogli liczyć: społeczność żydowska nigdy nie była w Szczecinie zbyt liczna, a teraz wszystkim wiodło się coraz gorzej. Wieczorami przysiadawali z mężem w salonie i szeptem o czymś rozmawiali. Czasem zdołałam usłyszeć strzępki ich rozmów.

– A dzieci? Uriasz, zastanów się jeszcze! – powiedziała kobieta.

– Nie ma nad czym. Musimy uciekać. Do Palestyny najlepiej. Może być też Francja. Byle daleko stąd. Nic tu po nas. Z resztą zrozumiemy, musimy to zrobić właśnie dla dzieci. Z roku na rok jest ciężiej!

Dalila rozplakała się.

– A gdzie się skryjemy? Gdzie zamieszkamy? Nikogo tam nie mamy! Znasz przepisy, wszystko będziemy musieli tu zostawić, sprzedać za bezcen! Co z naszą pracą? Tak długo tutaj żyjemy, na wojnie walczyłeś u boku niemieckich żołnierzy, nie chcę się wyprowadzać!

– Nie wiem jeszcze, co z nami będzie na miejscu, ale na pewno jakoś sobie poradzimy.

– Zastanów się jeszcze, błagam – powiedziała Dalila, uspokajając się już trochę.
– To szaleństwo kiedyś się skończy. Mam już 40 lat, poszukajmy schronienia dla dzieci, a sami tu zostaniemy.

Uriasz wyszedł bez słowa. Kobieta siedziała jeszcze długo w salonie, wpatrując się w okno, po czym sama zdecydowała ułożyć się do snu.

I tak mijały dni, tygodnie, miesiące... Szykanowanie Żydów się nasilało, bojkotowano ich sklepy, zwalniano z posad, zabraniano wykonywania zawodu. Klótnie o wyjazd między członkami rodziny wciąż się pogłębiały. Uriasz składał kolejne podania o wizę. Jednak o zgodę na wyjazd było trudno, nikt nie chciał przyjmować ubogich uciekinierów, a oni nie mieli rodziny ani w Ameryce, ani w Palestynie. Wielu żydowskich znajomych Uriasza wyjeżdżało z Niemiec, pozostawiając majątek gromadzony od kilku pokoleń. Inni uważali, że to chwilowe kłopoty. Zresztą, czy to pierwszy raz prześladowano Żydów? Sytuacja się wkrótce uspokoi, rządy Hitlera nie będą trwać wiecznie!

Pewnej listopadowej nocy obudził mnie brzdęk tłuczonego szkła. Hordy młodocianych opryszków dewastowały okoliczne domy, pobito do nieprzytomności młodego mężczyznę, który próbował się im przeciwstawić. Wszystkie zakłady przy Breite StraÙe zdemolowano i okradziono. Fala nienawiści potoczyła się dalej, spłonęła synagoga, znieważono rabina. Nigdy nie widziałam, by Dalila tak się bała...

„Noc kryształowa” odcisnęła swoje piętno na domownikach. Rodzina żyła w cieniu strachu, szeptem powtarzano sobie coraz to bardziej niepokojące wieści: aresztowania, deportacje... Każdy szmer czy pukanie do drzwi były natychmiast sprawdzane. Widziałam jednak, że rodzice najbardziej bali się o swoje dzieci. Zakazywali im samotnego chodzenia po ulicy, zadzierania z sąsiadami. Stawali się niewidoczni, jakby nie mieli prawa istnieć. Agresywne i pełne nienawiści poglądy rozwydrzonej młodzieży urosły do rangi doktryny państwowej, prawo rasowe zdegradowało ich do ludzi już nawet nie drugiej, a najniższej kategorii. Z prowadzenia zakładu krawieckiego zupełnie zrezygnowali, okazjonalni klienci przychodzili do domu. Teraz już nawet Dalila nie miała wątpliwości, że trzeba wyemigrować, ale nie było to możliwe: liczbę wiz drastycznie ograniczono, a wkrótce w ogóle zabroniono Żydom opuszczać Rzeszę. W tym lęku trwali przez rok. Potem było jeszcze gorzej. Bo zaczęła się wojna.

Mimo pogłosek o rozpoczętych już walkach, Szczecin wciąż był jakby uśpiony. Słyszane czasem strzały cichły błyskawicznie. Z rozmów rodziny wynikało, że batalie prowadzone są w innych miastach, poza Rzeszą i zapewne nie będzie ich w Szczecinie. Dziś wiem, jak bardzo się mylili.

Trwała spokojna letnia noc, taka jak wiele innych. Domownicy jeszcze nie spali. Rozmawiali w salonie. Nagle za oknem rozległ się głośny warkot kilku samochodów, na klatce schodowej rozległ się przeraźliwy krzyk. Po chwili dołączyły do niego także odgłosy strzałów.

– Na strych, szybko! – krzyknął przerażony Uriasz.

Rodzina popędziła w stronę drzwi ukrytych za schodami na górę. Ojciec pobiegł do maleńkiej szafki na klucze przy drzwiach wejściowych i wyjął z niej klucz, po czym dopadł drzwiczek i zaczął je otwierać. Rodzina nie miała jednak szczęścia. Kiedy Uriasz mocował się z drzwiczkami, do domu wpadli dwaj gestapowcy.

– Macie pięć minut na spakowanie się i wyjście albo rozstrzelamy was w waszym własnym domu! – wrzasnął jeden z nich.

Matka, ojciec i ich nastoletnie dzieci wyszli z domu, zabierając z sobą naprędce spakowaną walizkę.

Do dziś nie wiem, co się z nimi stało. Czy przeżyli wojnę, czy zginęli w jej trakcie? Mogę podejrzewać jedynie, że przetrwali te pierwsze momenty aresztowania – zza otwartego okna nie było słyhać krzyków. Choć pewności nie mam, okno było wysoko, a ja leżałam do góry nogami, twarzą zwrócona w stronę głębi domu, który teraz był zaskakująco pusty. I nie chodziło tu o meble, bo ich było bez liku, a o samą atmosferę panującą we wnętrzu. Brakowało mi rodziny, która tu mieszkała. Wiedziałam jedno. Wiedziałam, że nigdy już ich nie zobaczę.

Tygodnie mijały mi tak powoli, jakby były latami. Nie miałam już kogo obserwować. Życie było dla mnie trudne i bardzo męczące. Wprawdzie mogłam przysłuchiwać się hukom na zewnątrz i wwąchiwać się w metaliczną woń krwi, dostającą się do domu przez okno, ale nie sprawiało mi to żadnej przyjemności. Czekałam, aż wojna się skończy i liczyłam na to, że wtedy do domu wprowadzi się jakaś nowa rodzina. Ale jak na złość, zgiełk nie chciał ucichnąć, woń krwi nie chciała zniknąć, a ja myślałam wówczas, że naloty będą trwały w nieskończoność.

Ale i wojna musiała się kiedyś skończyć. To był dzień, jeden dzień, a jednak tak decydujący o losach ziem. Huki ucichły, zapach zniknął, budynki przestały się walić. Z zewnątrz dolatywały jedynie lamenty, śmiechy albo rozmowy. Rozmowy. Ale nie były to już te same pogawędki, co wcześniej. Coś się zmieniło. Język. Niemiecki mieszał się z rosyjskim i polskim, który kojarzyłam z pierwszych dni mojego życia. Ludzie w fabryce się nim posługiwali! Rozumiałam go doskonale i teraz mogłam zająć się słuchaniem rozmów ludzi z zewnątrz. Mimo to, trochę nudziło mnie ciągle leżenie w jednej pozycji.

Nadszedł w końcu wieczór, podczas którego wszystko się zmieniło. Do domu weszli trzej obcy mi zupełnie mężczyźni. Mieli oni wielkie, brudne torby. Domyślałam się, że planują okraść opuszczone mieszkanie. I nie myliłam się. Panowie zaczęli zabierać co droższe rzeczy.

– Brać ten stolik? – spytał pozostałych jeden ze złodziei.

– A weź, zawsze będą z tego pieniądze – odparł mu drugi.

– A porcelanę?

Zaczęłam się bać. Czy ci ludzie planowali zabrać moją rodzinę? I mnie?

– Porcelana jest droga. Na pewno ktoś ją kupi.

Usłyszałam z salonu dźwięk tłuczonego naczyń. Któryś z mężczyzn wyraził się niecenzuralnie.

– Co ty sobie myślisz? Kto kupi serwis bez talerza?! – krzyczał ktoś w salonie.

– Sprzedamy na sztuki i po sprawie – powiedział inny głos.

Mężczyźni zebrali już widocznie porcelanę, bo kroki i kolejne odgłosy kłótni zaczęły rozbrzmiewać w innych częściach domu. Wtem odgłos topornych kroków jednego z mężczyzn zbliżył się w stronę kuchni. Przestraszyłam się. On mógł chcieć mnie zabrać i sprzedać!

– Chłopaki, tu jest jeszcze trochę tej porcelany! – mężczyzna podniósł mnie na wysokość swojej poprzeszywanej bliznami twarzy.

– To bierz!

I w ten właśnie sposób znalazłam się w ciemnym worku wraz z innymi artykułami skradzionymi z domu. Przez jakiś czas czułam trzęsienie – torba była niesiona. A później ktoś niedelikatnie uderzył workiem o ziemię.

– Dobra, patrzmy, co my tu mamy – zakomenderował jeden z mężczyzn, wyraźnie dowódca.

Złodzieje zaczęli wyjmować wszystko z worków i ustawiać na stole. Były tam sztuce, zasłony, obrusy, a nawet meble. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość zostało skradzione.

– Hmm, no dobrze, myślę, że możemy to sprzedać za całkiem niezłe pieniądze.

I z powrotem zapakowano wszystko do worków. Chwilę słyszałam jeszcze rozmowy, szabrownicy upychali nas w piwnicy zniszczonej kamienicy. Wkrótce rozmowy ucichły. Leżałam z innymi rzeczami w torbie, wdychając stęchły zapach dawno niesprzątej piwnicy. A potem zasnęłam. Na długo.

Obudził mnie zgiełk, gwar i głośne rozmowy. Okazało się, że ja i inne rzeczy leżeliśmy właśnie na skleconym z paru kawałków drewna stole. Dookoła było

więcej takich stoisk, a można było na nich kupić dosłownie wszystko: od podstawowych artykułów żywnościowych, poprzez ubrania aż po różne akcesoria wystroju domu. Jeden sprzedawca wystawiał nawet na licytację kanciasty samochód, którego nazywał „małym fiatem”. Alejkami targu przechadzały się tłumy ludzi, raz na jakiś czas przystając, aby obejrzeć oferowane produkty. Przy naszym stoliku też przystało parę osób, rozmawiali ze sprzedawcą, a potem odeszli, słysząc cenę. Myślałam, że nikt nas nie kupi, wylądujemy na śmietniku. Ale, niedługo później, przy stoisku zatrzymała się kobieta. Miała na sobie sukienkę w kwiaty i brązowe sandały. Włosy zaplotła w dość niechlujnego warkocza.

– W jakiej cenie ten serwis? – spytała uprzejmie.

– Serwis? – mężczyzna podniósł głowę znad gazety i podał cenę.

– Biorę – kobieta wyjęła portfel, zapłaciła i ostrożnie zapakowała nas do dużej torby.

Niosła nas bardzo długo, co pewien czas przystając, by z kimś porozmawiać albo obejrzeć jakiś artykuł na sprzedaż. W torbie umieściła także chleb, ocet i jakąś książkę. Gdy dotarliśmy do domu, umyła nas, delikatnie wytarła i włożyła do kredensu. Byłam już przyzwyczajona do mieszkania w takim miejscu, ale nie z paroma innymi serwisami! Oprócz nas – serwisu ze złotym wzorkiem i błękitnymi kwiatkami, leżały tam także: serwis z czerwonym wzorkiem azteckim, serwis w różowe różyczki, a także serwis z różnobarwnymi zawijasami. Co więcej, w salonie było kilka kredensów! W każdym widziałam porcelanę! Czy ta kobieta...?

– Widzi pan, zbieram porcelanę już parę lat – pani wprowadziła jakiegoś mężczyznę w garniturze. – Nie jest to łatwa praca. Wiadomo przecież, że serwisów nie sprzedaje się wszędzie. Jest to trudny do nabycia produkt, szczególnie w dzisiejszych czasach.

– Ma pani rację – przytaknął mężczyzna. – Naprawdę trudno zdobyć jakąkolwiek, choćby najzwyklejszą porcelanę.

– Tak... Kilka serwisów kupiłam na targu. Pan, jako prawdziwy znawca w tej dziedzinie, powinien coś o nich wiedzieć. Ja nie potrafię określić ani lat, w których one powstały, ani fabryk, z których pochodzą. Ten w niebieskie kwiaty nabyłam wczoraj na targu. Mógłby mi pan może coś o nim powiedzieć?

– Przecież to Giesche! Śląska fabryka porcelany! Rocznik... Szacuję, że... między 1910 a 1920...

– Czyli ta porcelana ma około 50 lat?

– Tak sądzę.

Kobieta wyglądała na bardzo szczęśliwą. Widocznie nie mogła uwierzyć, że na zwykłym targu udało jej się nabyć tak stary i wartościowy komplet.

Do dziś mieszkam u tej kobiety. Z niezmienną dumą pokazuje nas wszystkim znajomym, dzieciom, wnukom, a nawet przypadkowym ludziom, takim jak listonosz czy hydraulik. Widzi w nas jednak tylko piękno i delikatność, zachwyca się kunsztem wykonania i przezroczystością ścianek. Szkoda, że nigdy nie pozna Dalili i Uriasa, pierwszych właścicieli i ich tragicznego losu. Tak bardzo bym chciała wiedzieć, czy przeżyli.

Marek Nowak

godło: „Marek”

Zapomniany obóz pracy przymusowej w Jaraczewie

Gmina Dolice to piękne i malowniczo położone miejsce w województwie zachodniopomorskim. Ma ona bogatą historię i ogromny potencjał turystyczny. Możemy tu znaleźć niezwykle grobowce megalityczne z epoki neolitycznej, uroczy pałac murowany, neoklasycystyczny z przełomu XVIII i XIX wieku oraz ruiny zamku gotyckiego z pierwszej połowy XIV wieku. To wszystko otoczone XIX-wiecznym parkiem krajobrazowym. Obszar ten przez dłuższy czas zajmowały ludy słowiańskie, a Mieszko I przyłączył go do Państwa Polan. Później historia nieco się komplikuje.

To o czym musimy pamiętać, to fakt, iż całe Pomorze Zachodnie należało przez długi czas do Niemiec. Po wojnie, w wyniku decyzji konferencji poczdamskiej, tereny dzisiejszego województwa zachodniopomorskiego przyłączono do Polski. W 1990 roku granica wschodnia Niemiec została uznana ostatecznie przez obie strony na Odrze i Nysie. Zaraz po wojnie postanowiono, że tereny ponemieckie i zrujnowane tamtejsze miasta staną się dobrym źródłem surowców na odbudowę zniszczonej stolicy. Z samego Szczecina wywożono nie tylko cegły, ale całe drzewa z korzeniami, aby Warszawa mogła odżyć. W tym czasie obszar ten nazywany był „Dzikim Zachodem”. Jeszcze przez jakiś czas po wojnie, rozproszone niemieckie oddziały toczyły partyzancką walkę o te tereny, sabotując próby osiedlania się w tym regionie mieszkańców. Szabrownicy przeszukiwali puste domy i mieszkania, zabierając wszystko, co dawni mieszkańcy po sobie zostawili. Ludność z zajętej przez Rosjan, wschodniej części Polski stopniowo napływała na Ziemię Odzyskane, zajmowała opuszczone domy, choć nie raz się zdarzało, że natykała się w przyznanych mieszkaniach na „byłych” lokato-

rów. Jedną z takich repatriantek spotkałem w czasie swej podróży do Dobropola Pырzyckiego, gdzie w czasie wojny znajdował się niemiecki obóz pracy.

Niewiele się mówi o tym miejscu, trudno też odnaleźć jakiegokolwiek szczegółowe informacje. Nawet w IPN nie udało się znaleźć danych na temat przetrzymywanych tutaj robotników przymusowych. To, czego udało mi się dowiedzieć, to fakt, iż osada Jaraczewo, położona między Dobropolem a Płoszkowem, powstała w roku 1864. W tym czasie właścicielem całego majątku Dobropole (*Dobberphul*) był Ferdynand H.G. Rechholz. Wydzielił tę część majątku dla swojego najstarszego syna Friedricha Alberta Ferdinanda, który w tym samym roku zginął na wojnie z Danią. Na jego cześć przyczółek ten nazwano *Ferdinands-hof*. W 1871 roku folwark przeszedł na własność radcy ekonomicznego Karola Ernesta Rechholtza, znajdowały się tam wtedy 2 domy mieszkalne i 11 mieszkańców. Wedle kolejnych danych, jakie udało mi się uzyskać, w 1928 roku zamieszkiwało tam już tylko 7 osób. Ciężko ustalić, co przyczyniło się do tego, że w czasie wojny powstał tam obóz jeniecki.

Ciekawostką jest, że na początku II wojny światowej świeżo utworzone obozy pracy zasilane były głównie przez jeńców wojennych. Ponieważ większość mężczyzn otrzymała powołanie do wojska, brakowało rąk do pracy. Niemcy postanowili więc, że poszukają pracowników na terenach okupowanych. Zachęcano ludzi do przyjazdu do pracy w Niemczech, nawet oferowano im za to wynagrodzenie. Niemieckie Arbeitsamt, czyli agencje pracy, rozwieszały plakaty. Wywieszane były w większości polskich miast. Nie zyskały one jednak większego odzewu. Dość szybko rozniosła się wieść, że ludzie trzymani są tam w strasznych warunkach, nie mają co jeść i muszą pracować ponad siły. Dlatego też Rzesza zaczęła wysyłać wezwania do pracy dla osób widniejących w gminnych spisach jako bezrobotne, rozpoczęto łapanie na ulicach miast i tym sposobem około 10% polskiej ludności znalazło się w obozach pracy przymusowej na terenie Niemiec.

Każdy obóz był inny, w jednych traktowano ludzi w miarę dobrze i tam ludzie mogli mówić o wielkim szczęściu, mieli bowiem świadomość, jak funkcjonują inne tego typu placówki. Wielu jeńców przenoszonych było z innych miejsc, więc informacja wciąż krążyła między ludźmi. Tym gorszym miejscem na pewno można nazwać Jaraczewo. Ładowali tu głównie więźniowie, którzy sprawiali kłopoty okolicznym gospodarzom. Był to obóz karny, gdzie zsyłano wyjątkowo uciążliwych, przymusowych robotników rolnych z pobliskich majątków. Wspólnie przebywali tutaj jeńcy polscy i francuscy. Możliwe też, iż był to jeden ze stalagów, gdzie więziono szeregowych żołnierzy i podoficerów. Z takich miejsc ludzie nie wychodzili raczej żywi. W okolicy odnaleziono masowe groby

osób, które padły ofiarą tego przerażającego systemu. Mogiły te po wojnie rozkopano, a znalezione tam ciała przeniesiono na cmentarz w Stargardzie. Z informacji uzyskanych od okolicznych mieszkańców wiem, że w Dobropolu znajdował się cmentarz niemiecki, gdzie chowano na wydzielonej części również Rosjan. Inne przekazy wspominają o tym, jak pozbywano się tych najbardziej uciążliwych więźniów. Najprawdopodobniej w obozie był specjalny hak, na którym wieszano każdego, kto próbował się przeciwstawić rozkazom zarządców.

W okolicy znajdowały się dwie inne posiadłości, w których najprawdopodobniej pracowali jaraczewscy robotnicy przymusowi. Cały obóz otoczony był drutem kolczastym, obiekt więzienny wzniesiono na usypanym wzniesieniu, budynek, w którym przebywali zarządcy, liczył sobie dwa piętra i był w całości podpiwniczony. Około 50 m od obozu znajdowała się studnia głębinowa, z której czerpano wodę dla kilkudziesięciu jeńców. Warunki bytowe były najprawdopodobniej takie, jak w każdym innym obozie. Bardzo ciężka, fizyczna praca w pobliskim lesie przy wycince drzew lub na okolicznych polach. Brak poszanowania godności i jakiegokolwiek intymności w pomieszczeniach, gdzie więźniowie spali na kilkupiętrowych pryczach. Niewielkie racje żywnościowe, które nie pozwalały się najeść, a jedynie przetrwać trochę dłużej, dopełniały tragizmu tego miejsca. I tutaj też mogę przytoczyć zasłyszane historie, o tym, jak te racje wyglądały. Co wieczór, na kolację, po całodziennej ciężkiej pracy, więźniom przysługiwał posiłek. „Uczta” ta składała się zwykle z kromki chleba i miski „cienkiej” zupy, o mięsie można sobie było tylko pomarzyć. Jeśli któryś z robotników nie wywiązywał się w ciągu dnia ze swoich obowiązków, mógł zostać ukarany głodówką. Nie mówi się o tym, ale w czasie wojny sami Niemcy mieli przyznawane kupony żywnościowe i nie przelewało im się, chociaż dla nich jednak były te racje nieco większe, bardziej apetyczne i kaloryczne.

Każdy robotnik przymusowy musiał być oznakowany, tak, aby w razie napotkania takowego na drodze, Niemiec wiedział z kim ma do czynienia. Tak jak Żydzi musieli nosić na ramieniu Gwiazdę Dawida, tak polscy pracownicy zmuszani byli do naszywania na swojej odzieży literki „P”. Jeśli ktoś nie nosił w widocznym miejscu takiej „Petki”, karany był grzywną, ale gdy złapano taką osobę kolejny raz, również mogła wylądować w obozie karnym takim jak Jaraczewo. Musimy pamiętać o tym, że oznakowanie to było czysto informacyjne. Dla Niemców, w momencie zajęcia Polski, jej obywatele uzyskali status *staatenlos*, czyli byli bezpaństwowcami. Tylko dla celów urzędowych, w karcie pracy, dopisywano narodowość takiego jeńca. W późniejszym okresie, kiedy Rzesza zaatakowała Rosję, a Żydzi zostali eksterminowani, większość jeńców nosiła naszywki

z napisem *Ost*, co podkreślało, że pochodzą oni ze wschodu. Z relacji mieszkańców Dobropola wiem, że po wojnie, w opuszczonych budynkach obozowych, leżało dużo porozrzucanej odzieży. Nie były to typowe pasiaki, jakie mamy okazję oglądać chociażby w Oświęcimiu, nie udało mi się jednak ustalić, czy wyróżniały się one jakimikolwiek oznakowaniami.

Jedynym pocieszeniem dla tamtejszych jeńców był fakt, że tereny nieurbani-zowane nie były celem alianckich nalotów. Nikomu nie opłacało się bombardować terenów o małym znaczeniu taktycznym. W okolicy nie było ani ważnego węzła komunikacyjnego, ani celów militarnych. Nie było też rozwiniętego przemysłu, jak w niedalekim Szczecinie, który ucierpiał znacznie w wyniku nalotów dywanowych w sierpniu 1944 roku. Bombardowania te pochłonęły życie wielu jeńców, którzy nie mieli bezpiecznych schronień na tę okoliczność.

Końcówka wojny była wyjątkowo trudna dla jaraczewskich jeńców. Niemcy ostatkiem sił próbowali powstrzymać Rosjan w trakcie marszu na Berlin. Okolice Stargardu były świadkiem Operacji Sonnenwende, mającej na celu odparcie nadchodzącej ze wschodu armii Żukowa. Skutkiem tych walk było przesunięcie linii frontu o kilkanaście kilometrów i utwierdzenie przeciwnika w konieczności likwidacji armii niemieckiej na Pomorzu. W tym właśnie czasie, najprawdopodobniej w połowie lutego 1945 roku, zdecydowano o likwidacji obozu i nakazano zabrać wszystkich jeńców w kierunku Prenzlau. Tych, którzy przeżyli w obozie, czekał teraz zabójczy marsz w jedną z najzimniejszych zim XX stulecia.

Po wojnie zaczęli się na te tereny zjeżdżać Polacy ze wschodu. Udało mi się porozmawiać z jedną z pionierek, pochodzącą z Puław, zamieszkującą do dziś Dobropole Pyrzyckie. Jako dziecko wraz z rodzicami i rodzeństwem wysłana została do pracy na roli u bogatego właściciela ziemskiego w Magdeburgu. Na szczęście warunki tam nie były zbyt ciężkie, dzięki czemu całą rodziną udało im się powrócić do wyzwolonej Polski. W przejmujący sposób opowiedziała mi historię tego miejsca w okresie powojennym. Jej mąż był najprawdopodobniej jednym z pierwszych repatriantów, którzy osiedlili się w tej okolicy. Przyjechał tam w marcu 1946 roku. Miałem okazję usłyszeć, jak znajomi, zapoznani na robotach u „bauera”, zaproponowali rodzinie mojej rozmówczyni, aby osiedlili się w poobozowym budynku. Jednakże ze strachu przed Rosjanami zrezygnowali z tego pomysłu. Jako dziecko przychodziła ona do folwarku i miała okazję oglądać zabudowania tam się znajdujące.

Do lat 60. gospodarstwo było przez kogoś zamieszkałe, później opustoszało. Jednak i tej okolicy nie ominęło szabrownictwo. Ludzie rozebrali budynki dla kamienia, do rozbudowy okolicznych wiosek. Musimy zrozumieć, że nikt

w tamtym okresie nie liczył się z historią i tego typu działania były całkowicie naturalne. Poszukując informacji w internecie natknąłem się na wiele wzmianek o obozach, które uległy zniszczeniu i zapomnieniu. Ludzie unikali miejsc, które były świadkiem ogromu cierpienia i niesprawiedliwości, jakie niosła ze sobą wojna. Większość dokumentów została utajniona bądź zniszczona, a wszelkie zabudowania rozebrane lub doprowadzone do ruiny.

Interesuje mnie historia II wojny światowej, dlatego też postanowiłem zająć się tematem zapomnianego obozu w Jaraczewie. Jest to również historia mojego regionu, który jest bardzo bogaty w takie niezwykle, zapomniane i omijane przez turystów miejsca. Pracę tę oparłem głównie na wywiadzie przeprowadzonym z okolicznymi mieszkańcami, którzy przybyli na te tereny niedługo po wojnie. Poszukując dodatkowych informacji skontaktowałem się także z IPN, który jednak nie posiadał zbyt wielu danych. Sam udałem się na miejsce, aby dokładniej zapoznać się z terenem oraz lokalizacją opisywanych obiektów. Z przekazów ustnych uzyskałem również szczegóły dotyczące ewakuacji ludzi z obozu i emocji wiążących się z nadciągającym ze wschodu frontem. Część wiadomości uzupełniłem dzięki zasobom internetu.

Spotkanie z moimi rozmówcami było dla mnie bardzo ważną i pouczającą lekcją. Uświadomiło mi to, jak ważne jest dbanie o spuściznę naszych przodków i przywracanie pamięci wydarzeń z dawnych lat. Dlatego zdecydowałem się zainteresować terenem, na którym znajdował się obóz jeszcze dokładniej i chciałbym rozpocząć prace wykopaliskowe na jego obszarze. Planuję odnaleźć tam więcej dowodów, świadczących o obecności polskich robotników przymusowych oraz uzyskać jak najwięcej informacji związanych z tym zapomnianym miejscem.

■ ROK 2017

„Smaki dziedzictwa”

*Rozkrzewiające się bujnie
zdania.*

*Ich sens,
pożywny owoc.*

Helena Raszka (1930–2016),
poetka szczecińska, *Kiełkowanie*



Nagroda i wyróżnienie przyznane w kategorii gimnazja:

nagroda za pracę:

„Groszek »Wolnego Strzelca«” dla Tatiany Kierkosz z Zespołu Szkół
Plastycznych w Koszalinie (opiekun: Zenon Kachnicz)

wyróżnienie za pracę:

„Moje smaki dziedzictwa” dla Oliwiera Szwałka z Gimnazjum
im. Mieszka I w Cedyni (opiekun: Jadwiga Martyka)

Nagroda i wyróżnienie przyznane w kategorii szkoły ponadgimnazjalne:

nagroda za pracę:

„Smaki dziedzictwa” dla Marka Nowaka z Zespołu Szkół nr 2 im. Noblistów
Polskich w Choszczynie (opiekun: Beata Zgorzelska)

wyróżnienie za pracę:

„Co trzeba zrobić człowiekowi, aby aż tak krzyczał?...” dla Kornelii Gil
z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych w Chojnie (opiekun: Danuta Perz)

Tatiana Kierkosz

godło: „SŁOWIANKA”

Groszek „Wolnego strzelca”

Dźwięk.

Budzę się.

Otwieram oczy.

Szybko zamykam je, po chwili znowu otwieram powieki.

Wciąż widzę to samo – brudną, śmierdzącą celę. Nie podoba mi się to. Obrót, zmiana pozycji i cicha modlitwa o minutkę snu, nie dają żadnego efektu.

Opieram się łokciem o więzienną pryczę.

Zapach stęchlizny dochodzi do moich nozdrzy. Kicham.

Staram się zlokalizować źródło dźwięku, który mnie obudził.

Widzę talerz, na nim groszek i jakiś skrawek papieru. Rzucam się na jedzenie jak wariat. Nawet nie spoglądam na kartkę.

Groszek? Dali mi zielony groszek! Nie papkę, nie jakieś inne śmierdzące żarcie, a groszek? Z ilości napływających emocji i wspomnień zaczynam płakać. Ostatni raz jadłem zielony groszek...

Październik, 1945 rok

– Co masz? – woła do mnie wiecznie głodny Czesiek Gajewski, który jeszcze nie zdążył do końca wyjść z sali.

Niestety, dziś w moim tornistrze była jedynie sucha, na wpół zjedzona bułka, niedokończona ze śniadania, którą pospiesznie spakowałem, wychodząc z domu. Zaspaliśmy. Moje błagalne spojrzenie, proszące o pomoc, powędrowało ku chłopakom.

Szczęśliwie zadzwoniono na lekcję, więc mogłem zostawić pytanie bez odpowiedzi, chociaż czułem, że zostanie mi ono zadane ponownie. Ruszyliśmy do klasy.

Lubiłem korytarze mojego liceum. Lubiłem moich kolegów. Wprawdzie byłem nowy w Białogardzie, zaledwie dwa tygodnie temu zacząłem naukę z lekkim opóźnieniem, ale poznałem i pokochałem to miasto. Szybko też zaprzyjaźniłem się z chłopakami. Oni podobnie jak i ja, byli negatywnie nastawieni do już panoszącej się władzy komunistycznej, którą sarkastycznie nazywaliśmy „wyzwolicielami”.

Lekcja zaczęła się, my zdążyliśmy na styk przed belfrem, który tradycyjnie zaczął od szybkiej powtórki poprzedniego tematu, a dopiero potem zajął się sprawami bieżącymi. Słowo klucz: nowa lektura.

Wypożyczając lekturę w pobliskiej bibliotece, nasz wzrok przyciągnęła mała, leżąca na jednej z ostatnich półek książka o intrygującym tytule *Chłopczy z Placu Broni*. Zainteresowani wypożyczyliśmy i tę.

Postanowiliśmy, że wyjątkowo nie będziemy się nią wymieniać i czytać na zmianę, ale że przeczytamy ją razem. By móc spokojnie zająć się tajemniczą powieścią trzeba było znaleźć ustronne i ciche miejsce. Propozycja Ignasia Stachowa-Tracza dotycząca lasu nieopodal Kisielic nie spotkała się z dezaprobatą, więc w sobotę następnego ranka byliśmy już na miejscu.

Przywitał nas nietypowy widok uśmiechniętego Ignacego, trzymającego w ręku strączki groszku – w samym środku października.

Chociaż groszek ten był stary i gorzki, tamtego dnia smakował nam wyjątkowo. Smak groszku wplótł się w magię książki z najniższej półki i towarzyszył mi już zawsze.

To właśnie tamtego dnia, po parokrotnym przeczytaniu historii tamtych chłopców nasze plany w wyrażeniu sprzeciwu komunistom stały się realne. Zainspirowani *Chłopcami z Placu Broni* stworzyliśmy organizację, która miała walczyć z władzą komunistyczną i podobnie jak bohaterowie książki nazwaliśmy ją „Zbieracze Kitu”.

Pomimo wewnętrznych trudności z opanowaniem się, postanawiam jeść groszek powoli. Tak jak kiedyś. Jeden po drugim. Delektować się. Groszek smakuje tak samo staro i gorzko. Ale teraz jest gorzej. Są kraty, jest głód, jest ból, są łzy i jest cisza – martwa cisza. W tym jakże krótkim momencie pełnym wspomnień, moim ukojeniem są malutkie, prymitywne zielone ziarenka.

Tak naprawdę nie myśleliśmy wtedy o jakiejś działalności przeciwko władzy komunistycznej. Po prostu chcieliśmy bardziej się zaprzyjaźnić, zacieśnić braterskie więzi, zacząć wspierać się, pomagać sobie w nauce.

Na spotkania „Zbieraczy” przychodzili tylko Ci zaufani: Ignas Stachow-Tracz, Czesiek Gajewski, Stasiu Maultz i Zbyszek Siergiej.

– Każdy z nas powinien zaopatrzyć się w broń – zaproponował Ignacy pewnego listopadowego popołudnia.

Nie każdy podszedł do tego z takim entuzjazmem i przekonaniem, co on sam, ale coś prawdy w tym było...

– Ja coś tam mam – kontynuował. – Teraz trzeba pomyśleć, co z wami chłopaki!

Po chwili każdy z nas wymyślał coraz to nowsze, różniące się od siebie rozwiązania. Uzgodniliśmy jedno i to było pewne – dozbroić się możemy jedynie poprzez rozbrojenie żołnierzy sowieckich stacjonujących w mieście. Już teraz mogą zdradzić, że podjęliśmy kilka prób, bez rezultatu. Ale my się nie zniechęcaliśmy, a wręcz zaczęliśmy iść do przodu...

1 maja, 1946 rok

– Czy tobie do reszty odbiło?! – krzyk mamy połączony z jej morderczym spojrzeniem nie był dobrą kombinacją na to ciepłe popołudnie.

– ?!

– Czy ty wiesz, jakie to może pociągnąć za sobą konsekwencje? To szczyt idiotyzmu! Czemu do diaska uciekliście!?

– Dobrze wiesz, czemu... – odpowiadam, a wyraz jej twarzy momentalnie łagodnieje. Siada powoli na krześle i ukrywa twarz w dłoniach.

– Wiem, ale głupota waszego wyczynu jest nie do pojęcia. To są inne czasy Tadziu, teraz... trzeba być ciszej...

Problem polegał na tym, że ja nie potrafiłem, albo zwyczajnie nie chciałem, być cicho. Dobrze zrobiliśmy, odmawiając udziału w obchodach święta 1 Maja. Demonstracyjnie wyszliśmy wtedy z miejsca zbiórki tuż przed pochodem.

Schowaliśmy się w miejscu spotkań „Zbieraczy”. Wszyscy, bez wyjątku, jawnie sprzeciwiliśmy się. I tak naprawdę to było nasze pierwsze małe zwycięstwo, po którym czuliśmy wewnętrzną siłę.

Przez kolejne dwie godziny spacerowaliśmy po lesie, wyśmiewając się z ludzi, którzy zostali w mieście, z min nauczycieli, gdy widzieli, jak wychodzimy.

Tata wchodzi do domu i zdejmuje buty, mamrocząc cicho pod nosem. Wrócił ze spotkania z dyrektorem szkoły, w którym zapewne brali udział ojcowie reszty „Zbieraczy”. Był zły. Ale jeszcze do końca nie wiedziałem, czy zły na mnie, czy na szkołę?

– Od dziś, ty i twoi koledzy nie chodzicie już do szkoły. Zostaliście usunięci – tata usiadł obok mamy. Wtedy zobaczyłem w nich po prostu rodziców, którzy martwią się o przyszłość swojego dziecka. Ja chociaż miałem ochotę przytulić mamę i powiedzieć jej, że wszystko gra, po prostu... wyszedłem i zostawiłem ich samych w małym pokoiku sypialnianym. Gdy po przeszło półgodzinnym spacerze wróciłem, mama była tak samo posępna.

– Mamo, jest dobrze – uśmiechnąłem się do niej, a ona tylko skinęła głową w stronę drzwi kuchni, zza których dochodziły mnie szmery rozmowy. Cichutko je uchylilem, a moim oczom ukazali się wszyscy ojcowie „Zbieraczy”. Debatowali na temat tego, co się stało i jak nas ratować.

Już następnego ranka my – „Zbieracze Kitu” staraliśmy się zrozumieć nasze położenie. Szybko doszliśmy do wniosku, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Postanowiliśmy nie zaprzętać sobie głowy szkołą i zająć się czymś naprawdę ważnym. Jakiegokolwiek poddanie się nie wchodziło w grę.

Wieczorem przegłosowaliśmy propozycję Stasia: wyjechania na południe w celu odnalezienia leśnego oddziału antykomunistycznego. Wszyscy byliśmy za. Zaplanowaliśmy, że wyjedziemy za dwa tygodnie. Do wyjazdu nie doszło. Naszym dzielnym rodzicom udało się przekonać radę pedagogiczną, żebyśmy wrócili do szkoły. Tak więc po tygodniu przerwy wróciliśmy do nauki, ale nie zamierzaliśmy zaprzestać walki z komuną.

Chociaż bardzo się staram, groszku drastycznie ubywa.

Liczę ziarenka.

Zostały 32 ziarenka. Poprawka 31. Przetykam groszek z numerem 32.

Smak „trzydziestki dwójki” miesza mi w głowie. Przygnębienie, gorycz z bardzo daleko ukrytą nutką natury. Zapewne uczucie tej nutki spowodowane jest przez moje niedożywienie. Nieważne.

Ważna jest skłonność moja do nieopanowania pokusy.

W mojej głowie ciągłe echo: 31, 31, 31... Zobacz jak smakuje 31...

Odwracam się... Nie działa... Nadal słyszę... Pragnę... Wiem, że chcę... 31... 31... 31...

4 maja, 1946 rok

– O rany! Milicja! Uwaga, chłopaki – milicja! – dobiega nas stłumiony przez drzewa głos Staśka. Jego słowa są tak niewiarygodne, że z początku żaden z nas nie reaguje. Zatrzymaliśmy się. Sztywni, nieruchomi z obawy, że nasz oddech zostanie wykryty, czekaliśmy na przebieg wydarzeń. Z trwogą wertowaliśmy wzrokiem każdy krzak, każdą gałąź.

Z każdą chwilą nadzieja rosła, a w naszych głowach szalało masę pytań: Żart? Przesłuszenie? Kłamstwo? Prawda?

Z transu wybił nas biegnący na oślep, przerażony Stasiu, który z pewnością uciekał z warty, którą niecałe dwie minuty spokojnie pełnił. Pomimo zamieszania zauważyłem w jego oczach strach. Czysty, namacalny, prawdziwy, zaraźliwy.

Bez większego zastanowienia zaczęliśmy uciekać. Chować się za drzewa. W dosłownie sekundę po przybiegnięciu wartownika dało się zauważyć czapki milicjantów, a potem ich samych. Było ich trzech – dwóch młodszych, chudszych i jeden starszy, grubszy. Poprawka: ...dużo grubszy.

Oczywistym był fakt, że tym pierwszym milicjantom gonienie nas przychodziło znacznie łatwiej. Zawodowo wręcz biegali pomiędzy drzewami i krzewami. Starszogrubszy przebierał zaś nóżkami niczym głodny kogut. Parokrotnie potknął się o wystające korzenie i gałęzie, a jego sadło podczas ruchu dumnie trzepotało na wietrze. Zważywszy jednakże na nasze tragiczne wręcz położenie, nie było nam w ogóle do śmiechu.

Adrenalina dodała nam skrzydeł i siły do ucieczki. Niestety. Nie na długo. Powoli wszystko zaczęło się obracać przeciwko nam. Milicjanci (nie licząc starszogrubszego), zdawało się, wcale nie byli zmęczeni.

Siły opuszczały mnie w fatalnie szybkim tempie. Płuca powoli zaczęły się buntować. Nogi odmawiały posłuszeństwa. Pchnięty ostatnimi siłami skręcam za drzewo. Opierając się o nie bezwładnie, siadam na ziemię. Oddychanie sprawia mi wiele bólu i wysiłku. Dyszę.

Przez tę jakże krótką chwilę odpoczynku przez moją głowę przechodziła setka myśli, setka pytań:

Czy to na pewno był dobry pomysł, ćwiczyć strzelanie z broni palnej? Czy nie zorganizowaliśmy tego za blisko Białogardu? Czy nie powinniśmy pójść ćwiczyć dalej w las? Kto wezwał służby? Czy pomimo bluz i kołnierzy zakrywających twarze ktokolwiek nas rozpoznał? Co będzie jak nas dorwą?

Młodszychudsi przebiegają tuż obok mojego drzewa. Wstrzymuję oddech. Ale oni nie patrzą za bardzo, co dzieje się wokół nich. Po prostu mieli cel: gonić tych, co uciekali. Nie przeszukiwali więc krzaków i konarów drzew.

Starłem się uspokoić ciało. Starłem się uspokoić siebie samego, gdyż w środku byłem w rozpacz i rozsypce. Starłem się zmobilizować do dalszej walki. Wiedziałem, że skoro młodzi tędy przebiegli, to niebawem zjawi się tu

również starszogrubszy. Sięgnąłem do kieszeni od spodni po broń. Pomimo że miałem naboje w drugiej kieszeni, pistoletu nie załadowałem. Zamiarem moim nie było zabójstwo, a porządne przestraszenie.

Usłyszałem szelest liści i łamanie gałęzi. Z pewnością był to – ten trzeci – ten spasiony kogut. Byłem gotów. Ustawiłem się w groźnej pozie. Dokładniej zakryłem twarz, a wystające fragmenty skóry umazałem błotem. Wzięłem głęboki oddech...

– Ty! – mówię, starając się warczeć i zniżyć głos tak, by ten nie mógł mnie rozpoznać. – Spróbuj się ruszyć, a odstrzelę ci łeb!

Nie byłem przekonany do skuteczności tego jakże ambitnego planu, więc można sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy ten zamarł w bezruchu.

– P-p-proszę... s-p-p-p-spokojnie... Nie-e-e-e strze-e-e-e-elaj – błagał zrozpaczony. Nawet trochę go pożałowałem. Ale trochę.

– Oddawaj broń! – nakazałem. – Dobrze. A teraz zawołaj tych swoich, ale bez żadnych pochopnych ruchów.

W tym momencie głowa Czeška wyłoniła się z gęstego krzaku leszczyny. Na widok milicjanta skulonego u moich stóp – on głupieje. Nie wiedząc, co ma zrobić delikatnie się cofnął i zasłonił twarz małą gałązką. Nie uciekł.

– No słyszałeś! – postanowiłem dokończyć, to co zacząłem. – Wołaj tych swoich! Tylko szybko!

Z niemałą trudnością starszogrubszy czterokrotnie zagwizdał po swoich młodszych kompanów, którzy przybiegli do niego w niewiarygodnie szybkim tempie. Zdezorientowani patrzyli to na mnie, to na koguta, to na mnie, to na koguta. Wkrótce cała trójka poddała się. A my całą ekipą „Zbieraczy” uciekliśmy do domu.

Dopiero dwa tygodnie później zorganizowaliśmy nieoficjalne posiedzenie w moim pokoju. Woleliśmy nie ryzykować i nie spotykać się więcej w lesie ani w Kisielicach, ani w Białogardzie.

31. ziarenka już nie ma. Tak samo z 30. i 29.

Wiem, że zawałem sprawę, zjadając je. Czuję się jak małe dziecko nieumiejące odmówić sobie cukierka.

Zdejmuję skarpetę. Brudną, starą skarpetę. Z czystej desperacji pozostały groszek wysypuję właśnie tam. Zawijazuję otwór, tak by coś mogło mnie powstrzymać przed zjedzeniem zapasów na kolejny dzień.

Rozglądam się po celi. Już nie wiem, ile tu jestem... Miesiąc? Może dwa? Nawet nie wiem, gdzie jestem. Ciągłe mnie przewożą. Straciłem rachubę. Straciłem poczucie

czasu. Wstaję i dopiero teraz zauważam kartkę, na którą wcześniej zupełnie nie miałem czasu. Podnoszę ją...

Przerwa naszych działań trwała niecałe trzy miesiące. Po tym czasie Czesiek zwołał nas na kolejne spotkanie. Jedni z nas chcieli, drudzy mniej, ale na zebraniu byliśmy w komplecie, plus Rysiu Pszczółkowski z czwartej klasy.

Jak się okazało Czesiu razem z „Pszczółką” mają kontakt z oddziałem zbrojnym z powiatu ostrowskiego o dźwięcznej nazwie „Młot”, a my dawni „Zbieracze” mieliśmy propozycję współpracy z nimi!

Nasze zadanie było pozornie proste: mieliśmy gromadzić broń na wypadek III wojny światowej. Oczywiście zgodziliśmy się i jeszcze tego samego dnia zostaliśmy zaprzysiężeni pod nazwą „Stowarzyszenie Obrońców Ojczyzny”.

Treść kartki:

Dziś widzenie.

Treść myśli: Niemożliwe.

Z początku szło nam nieźle. Jeden z nas znalazł karabin, drugi jakiś moździerz, inny znalazł pistolet. Cała artyleria przechowywana była przez naszego magazyniera broni i amunicji, a zarazem jedynej dziewczyny w kompani SOO – Bogusi Janus. Niestety, nasza praca nie posuwała się bardzo do przodu, więc ponownie zarządziliśmy przerwę, aż do...

Grudzień, 1946 rok

– A więc?! – głos „Pszczółki” gubił się wśród naszych.

Właśnie trwały obrady w sprawie kolejnej organizacji antykomunistycznej, a nasze spory dotyczyły jej nazwy. Na to spotkanie przyszli wszyscy, ale to naprawdę wszyscy, którym nie bałem się zaufać. Przyszli: Ignacy Tracz-Stachow, Zdzisław Szymański, Czesław Gajewski, Zbigniew Siergiej, Zdzisław Janus, Stanisław Maultz, Andrzej Łuciov, Jan Pawlik, Jerzy Górowski, Alfred Bronisz i Adam Milewski.

– Wolni Strzelcy! – ktoś rzucił, a po chwili odezwały się głosy popierające propozycję.

– A więc „Wolni Strzelcy”! – krzyknął „Pszczółka”, tak głośno, że tym razem usłyszeliśmy bez wyjątku. Janek zaklaskał, co grupa szybko podchwyciła i już pięć sekund później klaskaliśmy wszyscy. Niestety, miła atmosfera szybko się wypaliła z powodu siarczystego mrozu. Rozeszliśmy się więc do domów.

Nasze zadanie był takie same jak poprzednio: składowanie broni. Podjęliśmy zatem kilka prób jej zdobycia, poprzez rozbrownienie sowieckich żołnierzy, ale prawda jest taka, że z braku odwagi nie uzyskaliśmy pozytywnych rezultatów.

Widzenie...

Tak długo czekałem na widok znajomej twarzy i osoby, która nie będzie chciała mnie skatować...

Tak długo czekałem na to, by po prostu popatrzeć w oczy, w nie nienawistne oczy.

Tak długo czekałem na to, by znów poczuć się człowiekiem.

Tak długo czekałem na wieści o chłopakach.

5 marca, 1947 rok

– Ej? Nic wam nie jest? – podbiegam do Ryśka, Cześka, Zdziśka i Ignacego, którzy właśnie wracali z kolejnej akcji. Najczęściej kończyło się przyniesieniem do bazy małego pistoletu bądź szczyryka. Wracający byli zawsze dumni ze swoich łowów. Tym razem było inaczej. Cała czwórka miała strach w oczach.

– Zabiłem go – powiedział Ignasz. Płakał. – Strzeliłem. Musiałem...

Spojrzałem pytająco na resztę.

– Ech... – westchnął „Pszczółka”. – Bo patrz, spacerowaliśmy w pobliżu koszar Rusków. Każdy miał przy sobie broń. W pewnym momencie zauważyliśmy idącego w naszą stronę sowieckiego oficera. Podeszliśmy do niego z wyjętą już bronią. Rozkazałem żołnierzowi podnieść ręce do góry, lecz ten sięgnął ręką do kabury.

– Ten tutaj – kiwnął na Ignacego – najprawdopodobniej uratował nam życie. Wystrzelił. Sowiet padł. Kiedy go przeszukiwaliśmy, Czesiek natrafił na dokumenty. Włodzimierz Nowak. Tadek, czy ty to rozumiesz? Polak. Był Polakiem służącym w armii sowieckiej. Zginął z rąk polskiego młodzieżowego podziemia. Rezultatem tej akcji były nasze aresztowania przeprowadzone przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Białogardzie.

15 marca, 1947 rok

Aresztowano i postawiono w stan oskarżenia 12 osób, w tym 9 uczniów. Oskarżonym zarzucono czynny udział w tajnej organizacji antypaństwowej, której celem było obalenie przemocą ustroju państwa polskiego. Niektórym z nas postawiono zarzut posiadania broni i udział w zastrzeleniu oficera Armii Czerwonej. Już od pierwszego dnia aresztu byliśmy bici i szykanowani. Trzy-

mani w zatłoczonych, małych celach bez okien, usychaliśmy z głodu i pragnienia. By nagłośnić sprawę władze postanowiły, aby nasz proces miał charakter pokazowy.

Najgorszym momentem było przejście w konwoju, byliśmy prowadzeni przez około 20 umundurowanych funkcjonariuszy UBP ulicami Białogardu z aresztu do budynku, gdzie mieścił się sąd. Trzymaliśmy w rękach broń, która znajdowała się na wyposażeniu „Wolnych Strzelców”.

To nie było tak, że żalowaliśmy. Podczas pochodu staraliśmy się zachować godność, ale uniemożliwiał nam to tłum, a bardziej spojrzenia niektórych z ludzi w nim stojących. To były spojrzenia pełne pogardy i nienawiści.

– Patrz, jak idą bandyci – powiedziała jedna kobieta do swojego dziecka. – Tylko uważaj! Ich nie można dotykać! – złapała synka za ramię, gdy ten ciekawsko się nam przyglądał.

To właśnie ta chwila poruszyła mnie najbardziej. Bandyci. To krótkie słowo sprawiło mi tyle bólu.

– Mamo! – krzyczę. Zauważa mnie. Delikatny uśmiech. Smutek w oczach. Tak wygląda moja mama podczas pierwszego naszego widzenia.

Rozprawa sądowa odbyła się przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Białogardzie w dniach 2 i 3 kwietnia 1947 roku. Oskarżeni zostali: Ryszard Pszczołkowski, Ignacy Stachow-Tracz, Zdzisław Szymański, Lesław Gajewski, Zbigniew Siergiejski, Zdzisław Janus, Stanisław Maultz, Jan Pawlik, Andrzej Łuciwski, Jerzy Górowski, Alfred Bronicz i Adam Milewski.

Sąd uznał wszystkich oskarżonych winnymi i skazał na pozbawienie wolności: Ryszarda Pszczołkowskiego na 12 lat więzienia, Ignacego Stachowa-Tracza na 10 lat, Zdzisława Szymańskiego – 10 lat, Czesława Gajewskiego – 6 lat, Zbigniewa Siergiejskiego – 2 lata, Zdzisława Janusa – 6 lat, Stanisława Maultza – 1 rok z warunkowym zawieszeniem kary na 3 lata, Andrzeja Łuciwskiego – 1 rok więzienia z zawieszeniem kary na 2 lata, Jana Pawlika – 2 lata więzienia z zawieszenia kary na 3 lata, Jerzego Górowskiego – 6 miesięcy więzienia z zawieszeniem kary na 2 lata, Alfreda Bronisza – 1 rok więzienia z zawieszeniem kary na 2 lata, Adama Milewskiego – 3 lata więzienia, którą darowano mu na mocy amnestii. W toku rozprawy nie przesłuchano Czeška Nadolnego, którego miejsce zamieszkania nie było znane PUBP, później skorzystał z amnestii i ujawnił się sam.

Rodzice skazanych zwrócili się do prezydenta Bolesława Bieruta z prośbą o ulaskawienie. Odbyła się też 27 czerwca 1947 roku rewizja przed Najwyższym

Sądem Wojskowym. Prezydent RP nie udzielił odpowiedzi na prośby rodziców, a sąd rewizję oddalił.

Wszyscy skazani na odbycie kary zostali początkowo osadzeni w więzieniu w Koszalinie. 22 września 1947 roku o godz. 19:00 przewiezieni zostali do zakładu karnego we Wronkach. Później przenoszani byli do różnych więzień i obozów pracy na terenie całej Polski.

1955 rok

Minęło 8 lat.

Jest lato.

Drzwi otwierają się. Pomimo późnego popołudnia słońce razi mnie niemiłosiernie. Stawiam pierwszy, a zaraz potem drugi krok. Brama od razu zamyka się. Odwracam głowę.

Dziwnie się czuję. Odwykłem od wolności.

Ruszam przed siebie.

Nie wiem dokładnie, gdzie jestem. Wiem za to, gdzie mnie nie będzie.

Każdy wdech świeżego powietrza sprawia mi przyjemność. Każdy dźwięk niespokrewniony z więzieniem jest dla mnie ukojeniem. Każdy zapach niemający nic wspólnego z niewolą jest dla mnie finezją.

Śmieję się. Śmieję się na środku ulicy jak szalony.

Ludzie oglądają się za mną – za uśmiechniętym człowiekiem, idącym w szmatach z brudnym tobołkiem na plecach.

Nagle zauważam znajomą twarz. Podchodzę bliżej.

Na jednym ze schodków starej kamienicy siedzi Bogusia. Widzi mnie. Idzie. Przytula.

– No Tadek, teraz wszystko się ułoży – uśmiecha się, wkłada dłonie do kieszonki, po chwili wyjmując dwa strączki zielonego groszku.

– Masz. – mówi.

W mojej głowie koła zataczają jednocześnie szok i wzruszenie. Pocieram oczy, żeby nie być babą i nie płakać. Po chwili coś zaczynam rozumieć. Ja nigdy nie przestałem być Wolnym Strzelcem. Byłem, jestem i zawsze będę Wolnym Strzelcem. Może to głupie, ale uświadomiło mi to małe warzywko zwane groszkiem.

O tym, że sprawa prowadzona przeciwko członkom organizacji „Wolni Strzelcy” miała podłoże polityczne, świadczą wydane w latach 90. XX wieku przez Sąd Wojewódzki w Szczecinie postanowienia o unieważnieniu wyroków.

Jeszcze jedno. Kim jest Tadeusz?

To fikcyjna postać, która w oparciu o prawdziwe zdarzenia podjęła próbę pokazania patriotycznej grupy młodych chłopców, którzy nie godzili się na narzuconą, nową okupację Polski, tym razem sowiecką.

A może jednak jestem jednym z nich?

Marek Nowak

godło: „ZS 9812”

Smaki dziedzictwa

W celu zapoznania się z dziedzictwem kulinarnym Pomorza Zachodniego przez wiele godzin sprawdzałem w internecie lokalne gospodarstwa w poszukiwaniu takiego, które spełni moje oczekiwania. Zaskoczyło mnie, jak wiele gospodarstw agroturystycznych kultywuje tradycyjną kuchnię i przekazuje przepisy z pokolenia na pokolenie. Moje zainteresowanie wzbudziło szczególnie jedno miejsce – gospodarstwo agroturystyczne „Kalina” w Komorzu. Skontaktowałem się więc z właścicielami, którzy wyrazili zgodę na udział w moim projekcie poświęconym tradycyjnym potrawom Pojezierza Drawskiego.

W otoczeniu Drawskiego Parku Krajobrazowego, nad jednym z najczystszych i najpiękniejszych jezior na Pomorzu, wśród liściastych lasów, skrywa się maleńka wieś, licząca sobie około 30 mieszkańców. W chłodny, kwietniowy weekend udałem się na miejsce. Powitany zostałem serdecznie przez Pana Kazimierza Kalińczaka i jego żonę Jolantę, którzy oprowadzili mnie po swoim domu i przepięknym ogrodzie oraz podzielili się ze mną sekretami swoich sukcesów.

W trakcie zwiedzania dowiedziałem się kilku ciekawostek o samej wsi, jak i lokalnych tradycjach. Pan Kazimierz pochodzi z Komorza i zdecydował się tam powrócić po latach, aby otworzyć gospodarstwo agroturystyczne. Nie ma mu się co dziwić, okolica jest niezwykle urokliwa, lokalna stadnina koni, przejrzysta woda w pobliskim jeziorze Komorze, liczne szlaki kajakarskie, jak i piesze czy rowerowe, przyciągają turystów. Dlatego też „Kalina” od 2005 roku daje im szansę poczuć smaki tradycji i odpocząć od miejskiego zgiełku. Duży ponemiecki budynek z 1928 roku przystosowany został dla gości. Oprócz ładnie wykończonych pokoi z łazienkami, mają oni dostęp do biblioteki i ogromnego salonu z kominkiem, gdzie również przy wspólnym stole mogą konsumować

posiłki i dzielić się wrażeniami z właścicielami, którzy zawsze są do ich dyspozycji i chętnie rozmawiają z przyjezdnymi. Te wspólne posiłki same w sobie są już tradycją i wyrazem kulinarnej pasji naszych gospodarzy. Będąc na miejscu, miałem okazję skosztować różnorodnych produktów zarówno domowych, jak i dostarczanych przez okolicznych wytwórców.

To, co wyróżnia ten ośrodek to dbałość o jak najbardziej naturalne pochodzenie składników serwowanych dań. Pieczywo podawane gościom wypiekane jest w sposób tradycyjny, razowy chleb koprzywieński to jeden z produktów regionalnych. Jego produkcję rozpoczęto na terenie Koprzywna tuż po wojnie, gdy w okolicy zaczęła osiedlać się ludność polska. Kobiety przesiedlone ze wschodu wymieniały się przepisami i udoskonalały je.

Zasadnicze znaczenie w procesie przygotowywania ciasta miała (oczywiście poza umiejętnościami gospodyni) dzieża, wykonana z klepek spojonych obręczą, szersza nieco u dołu niż u góry, czasem na nóżkach... Podobno najlepsze wyrabiano z dębowego drzewa, a jeżeli było o nie trudno, dawano chociaż dwie klepki dębowe. Na pozostałe nadawało się każde drzewo, byle suche i nieżywiczne.

Ważne też jest, aby przy jego produkcji wykorzystać odpowiednie proporcje drewna iglastego i liściastego, które nadają kolor i aromat wypiekowi. W smaku lekko słonawy, delikatny, posypany z wierzchu otrębami żytnimi, bez konserwantów i innych dodatków smakowych jest naprawdę smakowitą alternatywą dla produktów kupowanych w sklepach.

Aby produkt został uznany za tradycyjny, musi spełniać określone wymogi, należy przygotowywać go w sposób, w jaki przyrzadzali go pierwsi wytwórcy, trzymać się receptury, która musi mieć co najmniej 25 lat. Produkt taki należy zgłosić do marszałka województwa, który po weryfikacji przesyła go do ministerstwa rolnictwa, gdzie podejmowana jest decyzja o wpisaniu na listę. Obecnie województwo zachodniopomorskie może się poszczycić 40 produktami tradycyjnymi, wśród których widnieją takie specjały jak paprykarz szczeciński, kapusta kiszona z beczki oraz krówka szczecińska.

Region ten ma bardzo bogatą tradycję bartniczą, już w 1565 roku w miejscowości Drahim, czyli obecnym Starym Drawsku znajdowało się 11 pasiek. To od starej nazwy tej miejscowości wywodzą się popularne miody drahimskie. W roku 2006 zostały one wpisane na listę produktów tradycyjnych Polskiej Izby Produktu Regionalnego i Lokalnego, a w 2011 uznane przez Unię Europejską za produkt pod znakiem Chronione Oznaczenie Geograficzne. Jest to 5 rodzajów miodu: gryczany, rzepakowy, wrzosowy, lipowy oraz wielokwiatowy produkowanych wyłącznie na terenie gmin położonych na Pojezierzu Drawskim: Czaplinek,

Wierzchowo, Barwice, Borne Sulinowo oraz Nadleśnictwa Borne Sulinowo. Katalog przysmaków regionalnych *Trzy znaki smaku* tak opisuje te produkty: *Miód drahimski ma postać płynną (jest to tzw. patoka) kremowaną lub skryształowaną (krupiec). W miodzie mogą występować niewielkie ilości spadzi, której obecność nie może jednak zmieniać smaku, zapachu lub cech charakterystycznych miodu. [...] W miodzie tym występują także pyłki unikatowych roślin reliktowych i endemicznych z regionu.* Gdy otwieramy słoiczek, zapach przypomina nam miejsce, z którego produkt pochodzi. Tak też jest w przypadku miodu produkowanego przez Państwa Kalińczaków w ich pasiece. Wykorzystują go między innymi przy wypieku tradycyjnych pierników i pierniczków.

Ciekawą tradycję mają również jeziorowe ogórki kiszone z Jeziora Ogórkowego w Kaliszu Pomorskim. Od kilkunastu lat miasto raz do roku zamienia się w światową stolicę ogórka. Organizowany jest Jarmark Ogórkowy, na którym skosztować można zarówno ogórki kiszone, zupę ogórkową, mizerię i inne dania przygotowane na bazie tego surowca. Tradycją jest zatapianie w jeziorze dębowych beczek z ogórkami kiszonymi i wyławianie tych zatopionych rok wcześniej. Tak jak za dawnych lat, gdy w mieście funkcjonowała przetwórnia owocowo-warzywna, a zatopione beczki trzymane były od 3 do 24 miesięcy pod wodą, aby nadać wyjątkowy smak kiszonym w ten sposób ogórkom. Od 2008 roku ogórki z Jeziora Ogórkowego wpisane są na Listę Produktów Tradycyjnych Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Innym pomorskim produktem jest ogórek kołobrzeski. Jego tradycja sięga już VII, VIII wieku, kiedy to w okolicach Kołobrzegu odkryto źródła solankowe. Receptura przekazywana była z pokolenia na pokolenie, produkty wykorzystywane przy jego wyrobie również hodowane są ekologicznie. Czosnek, chrzan i koper, w połączeniu z solanką, w zależności od czasu fermentacji nadają ogórkom niepowtarzalny smak i zapach. Te produkty również goszczą na stołach ośrodka „Kalina”.

Okoliczne lasy są idealnym miejscem na grzybobranie. Znane w całym regionie z wyjątkowo obfitych wysypów grzybów, również dostarczają produktów do przyrządzania domowych potraw i przetworów. Tradycyjnym produktem będą tu grzyby marynowane z szyszką. Ich produkcję rozpoczęto już w roku 1955. Aby zmienić dość ostry posmak octu, do zalewy dodawano miodu i zielone szyszki sosnowe, które nadawały potrawie wyjątkowy aromat. Jagody, borówki, brusznica również urozmaicają i wzbogacają potrawy. Może już nie tak tradycyjne dla tego regionu kurki duszone na maśle czy też zupa z tychże grzybów cieszą podniebienia gości. Kaczki z żurawiną z okolicznych lasów czy jabłkami z ogrodu, zupy takie jak rosół czy barszcz ukraiński, pierogi, knedle, zrazy – tra-

dycyjne dania kuchni polskiej serwowane w gospodarstwie sprawiły, iż zostało ono włączone do sieci Dziedzictwo Kulinarne Pomorze Zachodnie, podlegającego Europejskiej Sieci Dziedzictwa Kulinarne.

Oczywiście goście mają okazję skosztować jaj od „szczęśliwych kur”, karmionych tylko mieszanką zbóż i swojskich twarogów. Ogród poza pięknym terenem wypoczynkowym, gdzie nad krystalicznie czystym strumieniem można urządzić sobie grilla, jest też miejscem hodowli roślin, wykorzystywanych do przyrządzania posiłków. Mamy tam więc różne gatunki sałat, rzodkiewki, marchewki, pomidorów, fasoli, buraków i wiele innych. Wszystko rośnie na naturalnych nawozach, a owoce służą do wypieku ciast, którymi każdego dnia gospodarze raczą swoich gości. Robią też z nich soki i kompoty, a także syropy lecznicze z mniszka lekarskiego, z kwiatów bzu czarnego czy też z liści mięty. Przy domu znajduje się również zielnik. Wszystkie produkty wykorzystywane do przyrządzania posiłków pochodzą od sprawdzonych, lokalnych dostawców, są ekologiczne i przede wszystkim bardzo smaczne.

Udało mi się poznać jeden z rodzinnych przepisów, którym właściciele podzieliли się ze mną w czasie wizyty.

Składniki:

2 kg czarnych porzeczek ekologicznych,
600 g cukru.

Przygotowanie:

Porzeczki myjemy, oczyszczamy, umieszczamy w dużym płaskim rondlu, zasypujemy 200 g cukru i odstawiamy na 1 godzinę, aż puszcza sok. Następnie dodajemy resztę cukru i całość smażymy na małym ogniu przez kilkanaście minut. Podczas smażenia delikatnie mieszamy drewnianą łyżką. Na drugi dzień znów smażymy około 20 minut, aż dżem otrzyma wymaganą konsystencję. Gorący dżem przekładamy do suchych, wyparzonych słoiczków, szczelnie zakręcamy i pasteryzujemy 10–15 minut.

Jak widać, przepis ten nie jest trudny, a miałem okazję skosztować i dżem jest naprawdę przepyszny. Gospodarze zdradzili mi, iż do produkcji dżemów zakupują czarne i czerwone porzeczki z Gospodarstwa Ekologicznego Jarosława Sendrowicza z Wierzchowa Złocienieckiego. A ponieważ ich produkt cieszył się dużym powodzeniem wśród gości, zajmują się jego promocją na targach i jarmarkach, jak choćby „Agro Pomerania” w Barzkowicach.

Kolejnym produktem serwowanym przez naszych gospodarzy jest sielawa wędzona w całości. Ryba ta należy do gatunku łososiowatych i jest bardzo wymagająca. Zamieszkuje tylko czyste, głębokie i chłodne jeziora o twardym dnie,

spotykana jest głównie w zlewisku Morza Bałtyckiego i jest bardzo ceniona przez rybaków i konsumentów z uwagi na białe, smaczne mięso. Pobliskie jezioro Komorze od wieków jest siedliskiem wielu gatunków ryb, ale z uwagi na swe walory, określane jest mianem sielawowego, gdyż właśnie ta ryba upodobała sobie warunki w nim panujące. Wiedzę o tym, jak przyrządzać sielawę Polacy wynieśli od Niemców, żyjących na Pojezierzu Drawskim od pokoleń, z którymi mieli okazję przez pewien czas pracować wspólnie. Odpowiedni proces wędzenia nadaje potrawie niepowtarzalny smak, nagrodzony w konkursie „Nasze Kulinarne Dziedzictwo – Smaki Regionów 2012” w Opolu.

Tradycyjne dania „jak u mamy” są doceniane przez turystów przybywających do ośrodka, aby odpocząć od miejskiego zgiełku i skosztować smaków lokalnej kultury. Dlatego też „Kalina” wyróżniona została dwukrotnie: w 2008 roku zajmując III, a w 2014 II miejsce w konkursie „Agro-Eko-Turystyczne Zielone Lato” w kategorii gospodarstwo rolne. Dzięki aktywnej działalności propagują oni zdrowy, ekologiczny styl życia, ale także budują pozytywny wizerunek wsi wśród turystów z kraju i zagranicy. W ramach atrakcji organizują plenery i wernisáže malarskie, współpracują z Kołem Gospodyń Wiejskich.

Bardzo się cieszę z możliwości zapoznania się z lokalną kulturą i tradycją kulinarną, którą dał mi ten konkurs. Dotychczas nie posiadałem zbyt dużej wiedzy dotyczącej lokalnych specjałów i nie przykładałem zbyt dużej wagi do sposobów ich wytwarzania. Teraz już wiem, iż istnieje ogromna różnica między żywnością produkowaną na skalę masową, a regionalnymi produktami tradycyjnymi, które nie tylko są dużo zdrowsze, ale przede wszystkim smaczniejsze niż te dostępne zazwyczaj w sklepach. Miłe przyjęcie przez gospodarzy odwiedzanego przeze mnie ośrodka sprawiło, że jeszcze nie raz chętnie powrócę do smaków skosztowanych przeze mnie potraw, jak i w urokliwą okolicę jeziora i wsi Komorze.

■ ROK 2018

„Sąsiedztwo”

Bardziej boli zły sąsiad niżli rany.

Florian Szary (I poł. XIV w.),
legendarny protoplasta rodu Zamoyskich

Więc patrzymy na siebie

i pytamy się wzajem:

Czy pamiętasz?

Pamiętam.

Pamiętam.

Eliasz Rajzman (1906–1975),

Miasto rozległe



Nagrody przyznane w kategorii szkoły podstawowe i gimnazja:

Dwie równorzędne I nagrody za prace:

„Róża, czyli jak zostałam detektywem przeszłości” dla Amelii

Krzyżanowskiej z Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej I st. w Szczecinie
(opiekun: Monika Gapińska)

„Strumiańskie sąsiedztwo” dla Wojciecha Mizgalskiego ze Szkoły

Podstawowej nr 55 w Szczecinie (opiekun: Zofia Pióro)

Dwie równorzędne II nagrody za prace:

„Sąsiedztwo niejedno ma imię” dla Michaliny Wałęckiej z Gimnazjum 34

w Szczecinie (opiekun: Agnieszka Kachniarz)

„Zagadkowy sąsiad” dla Pawła Szyllera z Gimnazjum 34 w Szczecinie

(opiekun: Ewa Bajko-Jasińska)

III nagrody nie przyznano

Nagroda w kategorii szkoły ponadgimnazjalne:

Nagroda zespołowa za pracę „Wspomnienia naszych bliskich...”

dla

Darii Czerniakowskiej, Doroty Dziergas, Bartka Góralskiego, Karola

Komaszyna, Tycjana Kozdry, Grzegorza Kuballka, Nikoli Kuballek,

Anny Malcher, Mateusza Mielczarka, Maćka Olearczyka, Marcina

Szostaka, Joanny Tkacz, Moniki Wypych ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-

-Wychowawczego w Chojnie (opiekunowie: Andrzej Krywalewicz, Katarzyna Sławińska, Beata Zduńczyk, Małgorzata Ożarowska)

Amelia Krzyżanowska

godło: „Buba”

Róża, czyli jak zostałam detektywem przeszłości

Nazwałam ją Róża. Pewnie miała inaczej na imię – może Helga, Getruda albo Heidi. Tylko takie niemieckie imiona przychodziły mi do głowy. Ale Róża brzmi ładniej, po polsku i po niemiecku – Róża i Rose. Ciekawe, czy Róża miała pokój w tym samym miejscu, gdzie ja. A może była najmłodsza z rodzeństwa i dostała ten najmniejszy, gdzie z trudem mieści się teraz biurko taty, regał i mój rower.

Kiedy mama zarządziła remont kuchni, nikomu nie przyszło do głowy, że to będzie początek fantastycznej przygody i podróży w czasie. Przynajmniej dla mnie. Ale od początku.

Mieszkam na Niebuszewie. To szczecińska dzielnica. Moi rodzice kupili tu mieszkanie krótko przed tym, jak się urodziłam – na ulicy Reja. Kiedyś, podczas wizyty w Muzeum Narodowym w ratuszu, na dawnym planie Szczecina z lat 30. ubiegłego wieku, wtedy jeszcze niemieckiego miasta, odkryłam, że moja ulica nazywała się – do 1945 roku – Hamburger StraÙe.

– To Niemcy już wtedy znali hamburgery? – zdziwiłam się. – Myślałam, że to danie amerykańskie.

– Głuptasie, nazwa pochodzi od miasta Hamburg. Zobacz, ulica Heleny, gdzie mieszka babcia, nazywała się kiedyś Bremen StraÙe. Pewnie od nazwy miasta Brema – wyjaśnił mi tata, pokazując palcem na planie Stettina.

– Ooo, ulica cioci Basi – Lutniana, nazywała się kiedyś Mozart StraÙe. Ale ładnie! A tu była ulica Gutenberga – ekscytowałam się, bo plan przedwojennego Szczecina stał się źródłem interesujących wiadomości.

Wkrótce czekały mnie jeszcze ciekawsze odkrycia. Podczas remontu kuchni rodzice zdecydowali, że trzeba wyciąć dolną część wbudowanej w ścianę spiżarki – takiej szafy z otworami na dwór, dzięki czemu działała w zimie jak lodówka i można było tu trzymać nawet mięso. Chcieli tu zmieścić zmywarkę. Co prawda, tata trochę oponował, że „spiżarka Niemca przeżyła” i że szkoda ją dewastować, ale w końcu kawałek spiżarki został wycięty. Wtedy właśnie okazało się, że na spodzie deska nieco się obruszyła. Kiedy tata poszedł do przedpokoju w poszukiwaniu młotka i gwoździ, odchyliłam nieco deskę. Lubiłam filmy, w których bohaterowie znajdowali w tajemniczych zakamarkach ukryte skarby, zatem wyobraźnia podpowiadała mi, że może są tam jakieś diamenty albo złota biżuteria, oczywiście, własność mieszkających przed wojną Niemców. Jakież było moje zdziwienie, gdy grzebiąc pod deską, wyczułam palcami gruby papier. Okazało się, że były tam dwa czarno-białe, przyżółkłe zdjęcia. Na pierwszej fotografii widniała mała dziewczynka, może dwuletnia, w sukience na ramiączkach. Miała krótkie włosy i trochę wyglądała jak chłopiec. Zdjęcie było zrobione chyba w jakimś zakładzie fotograficznym, bo dziewczynka sztywno siedziała na krześle obłożonym futerkiem, a obok stał koń na biegunach. Widać było, że to fotografia pozowana. Podobnie jak druga – tu był mężczyzna, elegancko ubrany, raczej brunet (ale trudno stwierdzić na czarno-białym zdjęciu), a obok niego dziewczynka uczesana w dwa warkoczki, ubrana w sukienkę przed kolana z jasnym kołnierzykiem i trzema guzikami pod szyją.

– Ile ona może mieć tu lat? – zastanawiałam się. – Pewnie osiem albo dziewięć.

– Raczej tyle co ty teraz, trzynastcie albo czternaście. Zobacz, że sięga do ramienia taty. Zupełnie, jak ty – przekonywała mama.

– Ale jest przecież tak dziecinnie ubrana – zdziwiłam się.

– Taka była dawniej moda.

Z przejściem spjrzałam na tył zdjęcia, licząc, że znajdę tam imiona i nazwisko dawnych mieszkańców naszego mieszkania (byłam przekonana, iż nikt inny, by przecież nie schował w tak dziwnym miejscu swoich zdjęć), ale znalazłam tylko odręcznie napisane jedno słowo – Rose.

– Róża? Co to znaczy? – nie kryłam rozczarowania.

– Może to imię tej dziewczynki? – zastanowiła się mama.

Rodzice dalej remontowali kuchnię, a ja postanowiłam sprawdzić, kim mogli być – Róża (bo tak nazwałam dziewczynę ze zdjęcia) i jej tata. W internecie

wyszukałam zeskanowaną szczecińską książkę adresową (*Stettiner Adressbuch*) z 1943 roku, której druga część zawiera nazwiska mieszkańców uporządkowane według ulic i dzielnic. Znalazłam zatem informację, że w mieszkaniu mojej babci mieszkała pani Schmidt, wdowa, a miała za sąsiadów urzędnika i księgowego. W książce adresowej nie było mojej ulicy – Hamburger StraÙe. Tak, jakby w 1943 roku nasza kamienica w ogóle nie istniała. Przeszukałam strona po stronie i... nic. Tymczasem wiem, bo znalazłam w książce o Niebuszewie, że kwartał ulic – Reja, Heleny, Karpińskiego i Orzeszkowej powstał w latach 30. XX wieku.

– Kiedyś sąsiadka z dołu mówiła mi, że na naszej ulicy były mieszkania pracowników niemieckiej fabryki zbrojeniowej. Może dlatego nie ma ich danych w książce adresowej, bo to była jakaś tajna fabryka – zastanawiał się tata. – To były czasy wojny, czasem dane ważnych pracowników były utajniane. Zresztą, idź do sąsiadki, zdaje się, że ona przyjechała do Szczecina już w 1945 roku. Może wie coś więcej o dawnych lokatorach.

Okazało się, że nasza sąsiadka, pani Leokadia, jest skarbnicą wiedzy o czasach powojennych. Przyjechała do Szczecina ze Stanisławowa na Ukrainie w lipcu 1945 roku.

– W Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym przy ulicy Augusta, teraz to Małopolska, dostaliśmy z rodziną przydział na jeden pokój w dużym mieszkaniu na ulicy Słowackiego – pani Leokadia zaczęła snuć swoją opowieść. – Kiedy przyszedliśmy tam, nawet mi się spodobało, choć wszędzie było brudno, walały się połamane meble, jakieś resztki rozebranych pieców leżały przed wejściem do kamienicy. Zauroczyły mnie jednak przedogródki przed każdą klatką, wyobrażałam sobie, jak pięknie tu będzie, jak posadzę kwiaty. Ale życie we wspólnym mieszkaniu było ciężkie. Sąsiedzi zza ściany zajmowali się handlem, a właściwie szabrownictwem. Podobno okradali wille na Pogodnie i sprzedawali co się dało. W trzecim pokoju było małżeństwo. Kobieta miała krótko ostrzyżone włosy, była wychudzona i bardzo blada, choć był środek lata. Do Szczecina przyszła na piechotę z obozu w Sachsenhausen. Miała koszmary senne i w nocy często budziły mnie jej krzyki. Czwarty pokój był zamknięty, mówiono, że wprowadzi się tam radziecki oficer, ale nigdy go nie widziałam. Przyjaciółka mojej siostry, która była Żydówką, zaproponowała nam przeprowadzkę do jej kamienicy przy ulicy Hamburger StraÙe – wtedy jeszcze tabliczka z niemiecką nazwą wisiała nad wejściem do klatki.

Pani Leokadia opowiedziała mi, jak miała się wprowadzić do sąsiedniej klatki, ale tam już wszystkie mieszkania były zajęte – w kilku zamieszkały żydowskie rodziny, w innych ciągle mieszkali Niemcy.

– Język jidysz mieszał się z niemieckim, a że te języki są do siebie podobne, sąsiedzi się jakoś dogadywali ze sobą. Nie było waśni, wszyscy się szanowali i wspierali, bo wieczorami kręcili się szabrownicy – mówiła pani Leokadia. – Taki młody Żyd, który przyjechał aż z Kazachstanu, zakochał się w Niemce. Ale ona wyjechała z rodzicami do Greifswaldu. Chyba właśnie jesienią 1945 roku na murach i płotach powieszono obwieszczenie prezydenta Szczecina, naszego, polskiego prezydenta – Piotra Zaremby, że Niemcy mogą pojechać do Greifswaldu specjalnymi pociągami z dworca Niebuszewo. Za darmo. No i ta Niemka wyjechała. Słyszałam, że w latach 80. przyjechała zobaczyć swoje stare mieszkanie i odwiedzić dawnych sąsiadów z 1945 roku. Ale nikogo z nich nie było. Wyjechali do Izraela w 1968 roku, kiedy Żydzi masowo wyjeżdżali z Polski. Wtedy zamiast paszportu otrzymywali dokumenty podróży ważne tylko w jedną stronę bez możliwości powrotu. Z kolei przyjaciółka mojej siostry uciekła do Francji, podczas koncertów z jakimś zespołem muzycznym, też w latach 60.

Jak wynikało z opowieści pani Leokadii, mieszkania w klatce długo stały puste po 1945 roku, bo ewentualnych nowych mieszkańców odstraszał namalowany farbą napis na budynku: TYFUS. Pani Leokadia postanowiła zaryzykować i się tu jednak wprowadzić, wraz z siostrą i ojcem, do trzypokojowego mieszkania na parterze. Wtedy było zajęte tylko mieszkanie na ostatnim piętrze – była tam kobieta z dwojgiem dzieci, która po zaledwie kilku miesiącach przeprowadziła się, nie wiadomo dlaczego, na pierwsze piętro. To były takie czasy, że można było wybierać sobie opuszczone mieszkania.

– Dla nas to było luksusowe mieszkanie z łazienką i ubikacją, z miejskim ogrzewaniem – wspominała sąsiadka podczas spotkania. Kiedy tu przyszedłam pierwszy raz, dziwnie się poczułam. Wyglądało tu tak, jakby mieszkańcy wyjechali na wczasy, zostawiając talerze po obiedzie na stole, a w szafie zimowe ubrania i poprasowane obrusy. Pamiętam ciemnoróżowy szlafrok z weluru, który został po poprzedniej lokatorce. Bardzo mi się podobał, ale najpierw nie miałam śmiałości go włożyć. Myślałam, co to będzie, jak wróci jego właścicielka i zastanie mnie w tym szlafroku. Nie wróciła.

– Pani Leokadio, czy wie pani, kto mógł mieszkać w tej kamienicy przed wojną? – dopytywałam starszą panią.

– Nie pamiętam, gdzie mi to mówiono, może to był listonosz – pani Leokadia na chwilę przerwała. – Podobno mieszkali tu wysoko postawieni pracownicy fabryki amunicji.

Mówiono, że ewakuowano ich w głąb Niemiec już w 1944 roku. Ale nie wierzę w to, bo moje mieszkanie w lipcu 1945 roku wyglądało na opuszczone zale-

dwie kilka miesięcy wcześniej. Nawet nie było tu bardzo brudno, porównując do mieszkania na Słowackiego, gdzie pluskwy były nawet pod tapetą na ścianach. Z mebli, co prawda, zostały przy Reja tylko stół i wielka szafa, bo resztę ukradli pewnie szabrownicy. Ale poza tym, czuło się tu obecność poprzednich lokatorów.

Pani Leokadia okazała się skarbnicą wiedzy, ale o pierwszej powojennej lokatorce mojego mieszkania wiedziała niewiele. Była to bardzo małomówna kobieta, która przyjechała do powojennego Szczecina z Warszawy. Mówiono, że jest lekarką i że brała udział w Powstaniu Warszawskim. Podobno pracowała tam w szpitalu polowym, a podczas powstania wyszła za mąż.

– Mieszkała w naszej kamienicy z dwojgiem dzieci. Nigdy nie było tu jej męża. Może jej mąż zginął podczas wojny? – zastanawiała się pani Leokadia. – W powstaniu ta sąsiadka nosiła pseudonim Róża. O tym dowiedziałam się już po tym, jak ta lekarka po zaledwie dwóch latach wyjechała do Słupska. Podobno ukrywała się przed Urzędem Bezpieczeństwa.

Płotkowano, że dzieci nie są jej, ale uratowała je z płonącego budynku w Warszawie i zabrała do Szczecina. Nie wiem, czy to wszystko prawda, bo ta kobieta nie utrzymywała żadnych kontaktów z sąsiadami, robiła wrażenie, jakby się czegoś bała, nie pozwalała nawet dzieciom wychodzić na podwórko – skończyła swoją opowieść pani Leokadia, a ja nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam: dwie Róże w moim mieszkaniu!

Znaleziona fotografia Róży i jej taty nie dawała mi spokoju. Zastanawiałam się, jak to było, kiedy bombardowano Szczecin? Najpierw w 1940 roku, potem choćby 20 kwietnia 1943 w dniu urodzin Adolfa Hitlera, kiedy na miasto spadło 782 tony bomb. No i w 1944 roku – wtedy były naloty dywanowe, przeprowadzone przez lotnictwo brytyjskie RAF i amerykański USAAF. Te ostatnie objęły nie tylko Stare Miasto i Pomorzany, ale też Niebuszewo. Trudno mi sobie nawet wyobrazić, co czuła wtedy Róża, jak bardzo się bała. Pewnie wtulała się wtedy mocno w ramiona rodziców. No właśnie, na zdjęciu znalezionym w spizarcie nie ma mamy dziewczynki.

– Co się z nią stało? Może zmarła na tyfus? – zastanawiałam się. – Podobno po zakończeniu wojny w Szczecinie dziennie nawet kilkuset Niemców umierało na tę właśnie chorobę.

Ciekawość zaprowadziła mnie do czytelni Książnicy Pomorskiej w Szczecinie. Tam znalazłam mnóstwo opisów tego, jak wyglądało życie szczecinian podczas wojny i zaraz po niej. Głód i śmierć z głodu – to był największy problem tamtych

czasów. Głodowali wszyscy Polacy, którzy masowo zjeżdżali na Ziemię Odzyskane z Kresów, z centrum kraju, uciekinierzy z Warszawy, a także Niemcy – ci, którzy czekali na możliwość wyjazdu w głąb swojego kraju, ci, którzy nie mogli uwierzyć w to, że ich Stettin przestanie należeć do Rzeszy oraz ci, którzy uciekli z Prus Wschodnich i całego Pomorza. W 1945 roku polski Szczecin zamieszkiwało ponad 80 000 Niemców (w większości przyjezdnych z innych rejonów kraju) oraz zaledwie z 1500 Polaków.

W lutym 1946 roku zaczęła się tu akcja przesiedleńcza ludności niemieckiej pod nazwą „Jaskółka”. W pierwszym okresie przesiedlania miały być wywożone osoby w dobrym stanie zdrowia – z transportu wyłączono osoby wymagające szpitalnego leczenia, kobiety od 6 tygodnia ciąży i do 6 tygodni po porodzie, osoby znajdujące się w zakładach opiekuńczych dla umysłowo chorych oraz w więzieniach.

Patrząc na fotografię Róży, byłam ciekawa, kiedy ona wyjechała do Niemiec – czy w 1944 roku, jak sugerowała pani Leokadia, czy zaraz po wojnie, czy może wraz z akcją przesiedleńczą „Jaskółka” w 1946 roku? Gdzie wyjechała? Do Greifswaldu czy jeszcze dalej? A jeśli zginęła podczas nalotów na Szczecin? Kim była malutka dziewczynka na drugim zdjęciu, bo z pewnością nie przypominała Róży? Czy to była siostra Róży, czy zginęła w trakcie bombardowań razem z mamą? Pytań miałam jeszcze tak wiele... Ot, choćby w jakiej szkole uczyła się Róża? W przedwojennym Szczecinie wszystkie szkoły podzielone były na szkoły dla chłopców i dla dziewcząt. Zwykle cyfrą nieparzystą określona była placówka męska, a parzystą – żeńska. Szkoły posiadały oficjalne urzędowe nazwy, najczęściej pochodzące od ulicy, przy której leżały.

Czy Róża chodziła do Elysium Schule przy obecnej ulicy Niemcewicza? Miałyby bardzo blisko z domu – zastanawiałam się... – Czy chodziła do Konzerthausu na koncerty, tam gdzie teraz jest Filharmonia im. M. Karłowicza? A może fascynowało ją kino? W Szczecinie przed wojną filmy można było obejrzeć m.in. w hali „Urania” przy obecnej ulicy Starzyńskiego (teraz w jej miejscu jest cerkiew św. Mikołaja) albo w „Ufa-Palast” przy al. Niepodległości, gdzie otwarto w 1929 roku kino na 1250 osób (zostało zbombardowane podczas nalotów w 1944 roku). Pewnie Róża lubiła, jak to dziewczyna, chodzić na zakupy. Może kupowała sukienki w „Familien Kaufhaus”, a jej tata drogie garnitury w sklepie firmowym fabryki odzieży męskiej rodziny Feldbergów, cenionej marki przed wojną (ich sklepy były również w Berlinie).

Po kilku tygodniach od rozpoczęcia mojego „śledztwa przeszłości” pani Leokadia zmarła. Po pogrzebie sąsiadki poznałam jej córkę, panią Helenę.

– Mama dużo o tobie opowiadała. Mówiła, że interesujesz się historią naszej kamienicy, usłyszałam od pani Heleny podczas spotkania, jakie zorganizowała dla sąsiadów na kilka dni po pogrzebie w mieszkaniu swojej mamy. – Ciekawa jestem, co dzieje się z kobietą, która kiedyś mieszkała tam, gdzie ty teraz z rodzicami, ale zaraz po wojnie. Mojej mamie, co prawda, mieszały się na starość czasy współczesne z dawnymi, ale mówiła mi, że zapomniała ci o czymś wspomnieć. Opowiadała, że kiedyś dziewczynka z pierwszego piętra pomogła jej wnieść do mieszkania ciężkie zakupy. Mama zapytała ją, jak ma na imię i do której chodzi klasy. Wtedy usłyszała zdanie złożone z wymieszanych słów – polskich i niemieckich. Zrozumiała tylko, że dziewczynka mieszka na pierwszym piętrze. A na koniec jej imię: Róża.

– Ja mieszkam na pierwszym piętrze! – zdziwiłam się.

– No tak, chodzi mi o dziewczynkę z waszego mieszkania – usłyszałam.

Wojciech Mizgalski

godło: „Benek”

Strumiańskie sąsiedztwo

Szczecin, kwiecień 2018

Moja mama, która wyszukuje w internecie informacje o różnych konkursach, przyniosła mi regulamin konkursu historyczno-literackiego „Sąsiedztwo”. Nie byłem tym zainteresowany, ale babcia powiedziała mi, że to wyjątkowy temat dla mnie, bo przecież mieszkam w Strumianach, a za płotem mojego domu jest dawny „Różowy Domek” państwa Joanny i Jana Kulmów.

Zaczęliśmy szukać kontaktu z panią Joanną Kulmową, chciałem przeprowadzić z nią wywiad. Niestety, strona internetowa była nieaktualna. Wysłałem list do Związku Pisarzy Polskich w Warszawie. Został przekazany pani Kulmowej, która odpisała, że poświęci mi czas po uroczystości dziewięćdziesięciolecia. Nie odpowiedziała. Nie wiedziałem co się stało. Zatelefonowaliśmy do pani dyrektor Szkoły Podstawowej w Komarowie im. Joanny Kulmowej i uzyskaliśmy informację, że uroczystość się nie odbyła z powodu choroby pana Jana. Pani dyrektor poradziła, aby skontaktować się z dziekanem Wydziału Humanistycznego dr hab. Urszulą Chęcińską, prof. US. Pani podarowała mi dwie pozycje: *Joanna Kulmowa. Doctor Honoris Causa Uniwersytetu Szczecińskiego* i swoją monografię *Poetka i paidia. O muzie dziecięcej Joanny Kulmowej*. Monografia jest bardzo obszerna i dla mnie za trudna, ale dzięki przypisom mogliśmy dotrzeć do materiałów, których ogromna ilość znajduje się w zbiorach specjalnych i czytelni czasopism Książnicy Pomorskiej.

Na podstawie uzyskanych informacji zacząłem szukać ludzi, którzy znali państwa Kulmów. Przeprowadziłem wywiad z moją mamą, panem Zbigniewem Smoczkiem i panią Anną Januszewską. Pojechałem też z mamą do Poczernina, zrobiłem zdjęcia kościoła, byłem na Mszy św., spotkałem się z księdzem pro-

boszczem i o dziwo, dostałem do wykorzystania *Kronikę Parafii pw. św. Michała Archanioła w Poczerninie* z lat 1976–1991. To kopalnia wiedzy o działalności państwa Kulmów w parafii. Są tam dokumenty i zdjęcia, z których mogłem skorzystać.

Nie wiedziałem dotąd, że wiersze Joanny Kulmowej umieszczane w podręcznikach do języka polskiego, napisała moja sąsiadka. Mam łatwość rymowania, napisałem kilka wierszy. Może strumiańska ziemia jest nimi przesiąknięta, a ja to odziedziczyłem? Gdybym znał pana Jana, może razem muzykowalibyśmy i mógłbym do nich mówić „ciociu” i „wujku”. Wiem, że jedni szybko osiągnęli ten przywilej, a inni musieli długo się starać, żeby go uzyskać. Znając „moje szczęście”, pewnie znalazłbym się w gronie tych drugich, choć potrafię być wytrwały, gdy mi na czymś zależy.

Dowiedziałem się, że państwo Kulmowie opuścili Warszawę w 1961 roku i zamieszkali w Strumianach w „Różowym Domku”, który według nadleśnictwa nadawał się wyłącznie na hodowlę bażantów. Mieszkali w nim do 1996 roku. Z Warszawy przywieźli koty, psy same do nich przyszły, dołączyły jaskółki, hodowane przez pana Jana, ryby i inne zwierzęta. Zaczęli od posadzenia drzewa, sosny strumiańskiej. *Drzewo, chleb i słowo – trzy moje ziemskie świętości*, pisze poetka.

Ile się wówczas działo w mojej wsi! Zasięg działalności państwa Kulmów był jednak większy. Obejmował dziesięć wsi, należących do parafii pod wezwaniem św. Michała Archanioła, czyli: Małkocin, Sowno, Przemocze, Storkówko, Poczernin, Warchlino, Bogów, Smogolice, Strumiany, Wielichówko.

W stanie wojennym Pan Jan Kulma został organistą w kościele w Poczerninie. W styczniu 1982 roku założył chór parafialny, śpiewało w nim na początku czternaście pań z Sowna i Poczernina.

Na początku czerwca 1982 roku troje dzieci (Kasia, Lidka i Tomek Wojtyrowie) poprosiło pana Kulmę, aby je przygotował do zaśpiewania piosenek na imieniny księdza proboszcza Piotra Kozieła. Nauczyły się dwóch piosenek: *Dla Ciebie* (tekst Joanny Kulmowej, muzyka Jana Kulmy) i *Sterniku Świętej Nawy* (tekst J. Kulmowej do muzyki Mozarta). To stało się zaczątkiem chóru dziecięcego. Próby odbywały się w kolejnych wsiach, co powodowało, że pan Jan był zajęty codziennie. Po raz pierwszy chór parafialny (dzieci i dorośli) zaśpiewał na Wielkanoc 1982 roku po łacinie *Regina coeli laetare*. Potem rozszerzył swój repertuar o siedemnastowieczne utwory z tekstami Joanny Kulmowej oraz pieśni *Gaude Mater Polonia*, *Chrystus Vincit*, *Bogurodzica*, *Witaj majowa jutrzeńko* (z nowym religijnym tekstem J. Kulmowej), a także dzieła z muzyką pisaną przez Jana Kulmę, niektóre wykonywane w polifonii czterogłosowej.

Chór towarzyszył wszystkim świętom w parafii, śpiewał na niedzielnych Mszach św., a także pielgrzymował do miast, które były ważne za względów religijnych i związane z historią państwa polskiego: Warszawy, Gniezna, Poznania, Krakowa, Częstochowy, Kalwarii Zebrzydowskiej itd. Pan Jan Kulma tak o tym opowiadał: *Śpiewaliśmy w katedrach w Gnieźnie, w Poznaniu, w najstarszym kościele Warszawy u Panny Marii na Starym Mieście, co roku jesteśmy na Jasnej Górze, gdzie mamy swoją Mszę św. w Kaplicy. Ostatnio w lipcu byliśmy w Krakowie, śpiewaliśmy w Kościele Mariackim, u franciszkanów, na Skalce, która jest pod wezwaniem św. Michała, tak jak nasza parafia, więc śpiewaliśmy tam hymn do św. Michała ze słowami Joanny i moją muzyką i wreszcie – na Wawelu, gdzie odbyła się nasza Msza św. za ojczyznę.*

Największym wydarzeniem dla społeczności parafii był wyjazd chóru 30 czerwca 1985 roku do Watykanu i występ przed Ojcem Świętym Janem Pawłem II. Wszystkie sprawy wizowe i dewizowe załatwiał pan Jan Kulma. *Stał 26 godzin pod ambasadą włoską i ponoć możemy jechać. Wyjazd [...] o bladym świecie (czwartek rano), a ja muszę jeszcze wyleżeć najnowszy atak nerek.*

Czytałem z ogromną ciekawością i wzruszeniem w kronice parafii dokładny opis pielgrzymki do Rzymu, która trwała od 30 czerwca do 9 lipca 1985 roku. Były też fragmenty śmieszne, gdy celnik włoski witał ich na granicy okrzykiem *Wojtyło! i Bonek*. A oto wypisane z kroniki fragmenty tego wydarzenia: *3 lipca wstaliśmy o 6:00. Trzeba było zrobić próbę, bo mamy dziś śpiewać przed Ojcem Świętym (środkowa audiencja generalna). W repertuarze mieliśmy 17 utworów, trwających po 3–4 minut. O godz. 8:00 byliśmy już na placu przy Bazylice. Po kontroli zostaliśmy wprowadzeni do jednego z sektorów, gdzie były pielgrzymki z Polski, żeby się rozgrzać, zaczęliśmy od razu śpiewać, a choć bez mikrofonu, słychać nas było na całym wielkim placu. Pojawił się wówczas ojciec Hero i wprowadził nas do pierwszego sektora, tuż przy tronie papieskim. O godz. 9:00 na plac wjechał Ojciec Święty. Zaczęliśmy śpiewać: „Daj Boże pokój i zdrowie papieżowi Janowi Pawłowi”. Ojciec święty zawołał: „Skąd jesteście?”. Pani Górską, choć była zapłakana, jak wszyscy, udzieliła Ojcu Świętemu informacji, że z Polski, parafia Poczernin. Potem zaczęła się audiencja. [...] Kiedy papież wymienił naszą pielgrzymkę – natychmiast wstaliśmy z podniesionymi wysoko krzyżami i zaśpiewaliśmy „Chrystus vincit”. Choć śpiewaliśmy bez mikrofonu – papież usłyszał i zażartował: „Z Polski przyjechali, a śpiewają po łacinie”. Po audiencji Ojciec Święty zatrzymał się przy nas. Dotykaliśmy Go, wciskaliśmy mu nasze znaczki, całowaliśmy po rękach. A On nas głaskał po głowach, dotykał naszych ramion, pocałował Arka i Pawła. Rozmawiał z panem Kulmą, potem przeszedł do chorych. Śpiewaliśmy mu cały czas, w nagrodę za to*

jeszcze raz podszedł do nas, jeszcze raz pobłogosławił i odjechał swoim papieskim samochodem. [...] Potem otrzymaliśmy zaproszenie do apartamentów Ojca świętego na godzinę 18:00. [...] Umyśliśmy się, przebraliśmy, wystroili, jak na największą galę i poszliśmy na spotkanie z papieżem. Wprowadzono nas na najwyższe piętro do Sali audiencyjnej i powiedziano, że będziemy śpiewać w czasie audiencji. Ojciec Święty przywitał wszystkich, potem ludzie podchodzili do niego, a myśmy śpiewali. Wszystko po kolei, od początku do końca. Potem, gdy już wszyscy wyszli, zostaliśmy na chwilę sami. My – Chór Wiejski z Poczernina i On – Jan Paweł II. Porozmawiał z państwem Kulmami, nas pobłogosławił i było po wszystkim. [...] 6 lipca od rana szykowaliśmy się już do powrotu. Rano odebraliśmy zdjęcia z audiencji prywatnej. Państwo Kulmowie byli potem w Radio Watykańskim, gdzie udzielili wywiadu na temat naszego chóru i pielgrzymki. Po obiedzie o godzinie 17:00 mieliśmy w Rzymie ostatnią Mszę św. Była w kościele księży Palotynów, którzy nas gościli. Dziękowaliśmy im modlitwą i śpiewem. Cały kościół, pełen Włochów, spontanicznie reagował oklaskami. Na zakończenie zaśpiewaliśmy „Boże coś Polskę”, a ks. Paweł Rzempotuch, który odprawiał Mszę św. płakał ze wzruszenia. On mówi po włosku, jak Włoch, jest z pochodzenia Amerykaninem, a jego babcia była Polką. I ta „babcia” – to chyba jedyne słowo, które ks. Paweł zna po polsku.

Chórzyści i parafianie zawsze przygotowywali odpust na św. Michała, 29 września. Wówczas społeczność szczególnie się integrowała i nikt się nie dziwił, że w Strumianach, Poczerninie można było w końcu września spotkać: Andrzeja Wajdę, Ernesta Bryla, Jacka Federowicza, Stanisława Misakowskiego, Adriannę Godlewską-Młynarską, Joannę Kulmowa, Ernest Bryl i Stanisław Misakowski czytali swoją poezję w sali pełnej ludzi. [...] Wiersze własne, które mówiła Joanna Kulmowa, przeplatane były rozważaniami stacji drogi krzyżowej, prowadzonej niegdyś przez ks. Jerzego Popiełuszkę. Otwarto również wystawę fotograficzną z pielgrzymki do Ojca Świętego, a także wystawę prac plastycznych dzieci i młodzieży. [...] Kulminacyjnym punktem odpustu była premiera widowiska religijnego „Arka Imć Pana Noego”. Tekst napisała Joanna Kulmowa, muzykę Jan Kulma. Wykonały go dzieci z Sowna, Przemocza, Osiny i Płoni. Całość reżyserował Jan Kulma. Nie był to pierwszy spektakl zespołu. W grudniu 1982 roku wystawiono *Jaseltka* 82 pióra Joanny Kulmowej z muzyką Jana Kulmy, a w marcu 1983 roku tychże autorów oratorium *Gorzkie Żale Dzieci Chrystusowych*.

Arka – przedstawienie niezwykle barwne, żywe, było mocno związane z symboliką Arki-Kościola, miejsca schronienia, ratunku przed wszelkim złem. Nawiązywało do aktualnej sytuacji Polski. *Arkę* wystawiono też 17 listopada 1985 roku w kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu w czasie XI Tygodnia

Kultury Chrześcijańskiej. Po przedstawieniu państwo Joanna i Jan Kulmowie wraz z chórem i zespołem teatralnym, trzymając w rękę zapalone znicze, przeszli na grób ks. Jerzego Popiełuszki, przy którym odśpiewano *Anioł Pański*

Państwo Kulmowie robili ogromnie dużo dla dzieci ze Strumian i okolic. Dowiedziałem się tego z pracy Haliny Pytel-Kapanowskiej *Ich dzieci, zakon we dwoje: Chcieli mieć dzieci, ale jakoś nie wyszło. Tak się jednak stało, że odkąd osiedlili się w Strumianach, w ich domu zaczęło się pojawiać coraz więcej młodych ludzi. Tym, z którymi najbardziej się żyli, pozwolili mówić „ciociu” i „wujku”. To są ich dzieci, których nazbierało się aż 57. Każde ma przywilej odwiedzania „cioci” i „wujka”, nocowania w domu na skaju lasu. Joanna i Jan utrzymują ze wszystkimi stałe kontakty. Nic to, że dzieci rozsiane są po całym świecie i każde ma swoje życie.*

Pan Jan Kulma prowadził też parafialną szkółkę muzyczną. Wielkim jego sukcesem był dwunastoletni Paweł Frytek, który zdał egzamin do klasy siódmej jednej z najlepszych szkół muzycznych w Warszawie przy ul. Krasieńskiego. W kronice parafialnej znajduje się zaświadczenie, że Paweł Frytek ukończył prowadzony przez organistę Jana Kulmę II i III stopień wstępnego kursu nauki gry na organach i fortepianie z wynikiem celującym. Jestem absolwentem szkoły muzycznej I stopnia, analizowałem program tego kursu, też bym go zaliczył.

Państwo Kulmowie przygotowywali „swoje” dzieci do studiów aktorskich. Jednym z tych, którym pomogli dostać się do szkoły aktorskiej, była pani Anna Januszewska, od lat pracująca w Teatrze Współczesnym w Szczecinie. Pani Anna zgodziła się ze mną porozmawiać. Byłem bardzo podekscytowany spotkaniem z tą wspaniałą aktorką. Odbyło się ono 20 kwietnia 2018 roku o godzinie 18:00 na ławce przed Teatrem Współczesnym w piękne, słoneczne popołudnie. Pani Anna była bardzo zadowolona, że piszę pracę o Joannie Kulmowej. Opowiedziała mi, że Panią Kulmową poznała na Wałach Chrobrego w czasie targów książki, na których poetka miała swoje stoisko. Była wówczas po maturze. Wiedziała, że pani Kulmowa ukończyła szkołę aktorską i chciała uzyskać opinię, czy nadaje się, aby zostać aktorką. Pani Kulmowa zaprosiła ją do „Różowego Domku” i tam została przeegzaminowana przez panią Joannę i pana Jana z wiedzy przyrodniczej, humanistycznej, a nawet filozoficznej. Były też „studia” aktorskie, m.in. musiała krzyczeć z końca lasu, aby ją usłyszeli. Do szkoły aktorskiej dostała się bez problemu za pierwszym razem. Od tej pory utrzymywała i nadal utrzymuje serdeczny kontakt z „ciocią” i „wujkiem”. W Pani Kulmowej znalazła nie tylko nauczycielkę, ale i pokrewną duszę. Najpierw sama, a później z mężem odwiedzali państwa Kulmów. Spędzali wspólnie wakacje. Pan Kulma powiedział: *Grzesiu, mamy dwie wielkie żony*. Pani Anna uważa, że spotkanie z Kulmami pozosta-

wia niezapomniane wrażenie. Twierdzi też, że ta najwybitniejsza polska poetka jest nieznaną społeczństwu, a przecież jej wiersze są takie piękne. Powstała myśl, aby u nas w domu, w Strumianach obok „Różowego Domku”, odbyło się czytanie wierszy w gronie dawnych i nowych przyjaciół poetki. Może to się uda...

W sobotę 14 kwietnia rodzice zaprosili na obiad pana Zbigniewa Smoczka, urodzonego w 1956 roku w Żarnowie koło Goleniowa. Jego ojciec był nadleśniczym w Kliniskach, a matka kierowniczką szkoły. Jak opowiadał, Państwa Kulmów poznał, kiedy miał 6 lat, pani Joanna zbierała dla niego znaczki z listów. Była miłośniczką kotów, obserwował, jak malarz Duda Gracz malował jej portret z kotami. W „Różowym Domku” Pan Zbyszek bywał bardzo często; dwa, trzy razy w tygodniu w godzinach od 13:30 do 14:00. Pani Joanna miała wtedy czas wolny. Potem w liceum (jak twierdzi) był pierwszym czytelnikiem i recenzentem jej wierszy. Wówczas zaczął pisać swoje, wygrał trzy konkursy poetyckie. W 1981 roku napisał wiersz dla pani Joanny

Pomorze

Joannie Kulmowej

*Z tej gleby jestem
Od stóp do głowy
w nią idę odziany
Głosem słyszalnym
co dnia się staję
tych łąk tych pól
tych dróg jednym z wielu
Kamieniem
Jeżeli wrośniesz się
wkołasz się aż do serca
do szeptu Twojej ziemi
nie łatwo wymyją deszcze
takie słowo
Twoja myśl nie splowieje
Zostanie.*

Lipiec 1981

Moi rodzice kupili posiadłość w Strumianach, przylegającą do „Różowego Domku”, w 1992 roku. Pierwsze zamieszkały w Strumianach konie i psy, a mama w czasie budowy domu mieszkała w pokoju nad stajnią i doglądała

zwierząt. Konie i psy biegały po padoku, te psy to były piękne charty rosyjskie: Łowczy Carski i Kniahini. Mama poznała wówczas Państwa Kulmów. Pamięta przepiękny salon wypełniony obrazami, na środku którego stał wspaniały czarny fortepian. Nie zdawała sobie wówczas sprawy, z jak wybitnymi postaciami sąsiaduje.

Cieszę się, że wziąłem udział w konkursie „Sąsiedztwo”. Dowiedziałem się tyłu ciekawych rzeczy o jednej z największych pisarek polskich. Szkoda, że nie mogła odpisać mi na list. Miałbym wspaniałą pamiątkę. Wyślę, jak obiecałem pani Joannie kopię mojej pracy i poproszę o dedykację na załączonej karteczce. Może tym razem moja „Znakomita Sąsiadka” mi odpisze.

Daria Czerniakowska, Dorota Dziergas, Bartek Góralski, Karol Komaszyn, Tycjan Kozdra, Grzegorz Kuballek, Nikola Kuballek, Anna Malcher, Mateusz Mielczarek, Maciek Olearczyk, Marcin Szostak, Joanna Tkacz, Monika Wypych

godło: „Miłośnicy historii dawnego szpitala”

Wspomnienia naszych bliskich...

Jesteśmy uczniami Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Chojnie. Postanowiliśmy zapytać nasze babcie, dziadków, krewnych, sąsiadów i osoby, które mieszkają blisko nas o wspomnienia z czasów ich młodości. Interesują nas czasy przed wybuchem II wojny światowej, okres wojny, przyjazd na Ziemię Zachodnie i wspomnienia z lat powojennych. Nie ukrywamy, że tematyka naszej pracy wymagała dotarcia do osób starszych, pamiętających swoje dzieciństwo i sześć lat koszmarów wojennych. Podczas zdobywania cennych informacji od naszych rozmówców spotykaliśmy się co pewien czas w naszej grupie, aby dzielić się uzyskanymi wspomnieniami, które były po kilka razy głośno czytane, wymienialiśmy się również doświadczeniami z naszej pracy. Nasza grupa składa się z czternastu osób: ośmiu uczniów i czterech nauczycieli. Jesteśmy uczniami klas zawodowych. Tyle o nas.

Skoro zdecydowaliśmy się przybliżyć losy mieszkańców naszej małej ojczyzny, czujemy się zobowiązani opowiedzieć w kilku zdaniach o sobie i naszym najbliższym regionie. Ziemia Chojeńska, tak nazywa się obszar, na którym znajdują się wioski i miasteczka, w których mieszkamy. Najważniejszym miastem naszego regionu jest Chojna. Miasto zamieszkuje około 8000 mieszkańców. Nasza szkoła mieści się w budynkach przedwojennego szpitala. Tak, tak, w Chojnie do 1945 roku istniał szpital!

Większość z nas mieszka w internacie, który znajduje się obok szkoły. Kiloro z nas dojeżdża do szkoły autobusami i pociągami. W naszych miasteczkach,

wioskach, z których pochodzimy obok nas mieszkają nasi najbliżsi, krewni, sąsiedzi, znajomi. Każdy z nas dotarł do osoby, która szczęśliwie podzieliła się wspomnieniami ze swojego życia. Nasi rozmówcy pochodzą z różnych regionów przedwojennej Polski.

Pan Henryk z Chojny

Pan Henryk Barszczewski to długoletni nauczyciel chojeńskiego „ogólniaka”. Wspomnień pana Henryka wysłuchaliśmy w dniu 28 marca 2018 roku. Bohater naszej pierwszej opowieści przyjął nas w swoim mieszkaniu. Po przywitaniu poprosiliśmy o opowieść o dzieciństwie i okolicznościach, które zdecydowały o przyjeździe na Ziemię Szczecińską.

Urodziłem się w roku 1947, prawdopodobnie 23 kwietnia, ale zapisane mam 15 maja. Gdy przyjechałem do Polski, posiadałem trzy daty urodzenia. W roku 1957 odwiedziła nas moja ciocia Józefa Jarosz, z domu Barszczewska, z mężem. Pochodziła z tej samej wsi, gdzie mieszkaliśmy. Kilkanaście lat wcześniej, bo w 1941 roku, 2 lutego, ciocia została wywieziona z czwórką dzieci na Syberię. Tam przebywała sześć lat. Do Chojny przybyła pociągiem w 1946 roku wraz z wieloma Sybirakami. Tutaj zgromadziło się bardzo dużo Sybiraków. Matżonek cioci, a mój wujek, przebywał w tym czasie w Godkowie. Gdy dowiedział się, że jego żona i dzieci dotarli do pobliskiej Chojny, dotarł z Godkowa pieszo. Wracając do tragicznych wydarzeń z 1941 roku, droga na daleki wschód Rosji zakończyła się dla cioci i jej dzieci na stacji kolejowej Kwitok-Szeleptep, tam znajdowało się kilka wiosek m.in.: Żołotaja Gorka (Żłota Góra) i Udacznojaja, co znaczy w naszym języku w łagodnym tłumaczeniu miejscowość z sukcesami. Do czasu „wywózki”, do roku 1941, ciocia mieszkała w miejscowości, która nazywała się Zarubicze. Posiadała tam ziemię, którą uprawiała. Mężem jej został Piłsudczyk. Pewnej nocy przyjechali NKWD-iści, zdecydowanie zażądali opuszczenia domu. Przed domem stał już przygotowany wóz, ponieważ to było blisko naszej miejscowości, to w ogromnych zaspach śniegu jej ojciec i bracia przyglądali się, jak ciocia z dziećmi wsiadają na drewniany wóz. Matżonka (mojego wujka) wówczas w domu nie było.

Mój ojciec był takim rdzennym Polakiem. Nie uznawał obcych, nieproszonych gości. Po wojnie ojciec trzykrotnie wstępował i występował z kołchozu. Dopiero w roku 1949 został zmuszony do wstąpienia do kołchozu i po jakimś czasie został on koniuszym, znaczy chodził przy koniach. Wówczas nam się trochę polepszyło, ponieważ część siecunki, którą dawano się koniom rodzice przynosili do domu. Można było mieć krowę i chyba dwie świnie, owcę, kury, gęsi i kaczkę, ponieważ mój tata posiadał spore gospodarstwo po swoich rodzicach: 15 hektarów ziemi, 3 hektary lasu

i 2 hektary łąki. Gdy wstępował do kotchozu nie powiedział, że zdaje całość ziemi. Zdał 8,5 hektara. Szkoda mu było oddawać tego wszystkiego, ale został do tego zmuszony. W końcu się poddał.

Wracamy do roku 1957, kiedy przyjechała ciocia ze swoim mężem do swojego rodzinnego domu, do Baranowa. Ta wioska była świadkiem przemarszu wojsk rosyjskich, a później niemieckich, ponieważ przez Baranowo przebiegają ważne drogi. Zobaczyła, że my żyjemy o wiele gorzej niż przed wojną. Postanowiła, że w ramach repatriacji, która wówczas zaczynała „raczkować”, przyjedziemy do niej do Chojny. Ojciec ciągle myślał o tym, czy ma z naszej rodzinnej wsi, która znajdowała się 14 kilometrów od granicy z Polską, wyruszyć do nieznanego kraju. Z początku puszczali do kraju wszystkich Polaków i ludzi polskiego pochodzenia, pozwalali wyjeżdżać również ludziom do dalszych krewnych, którzy zamieszkiwali w granicach Polski. Mówiąc „polskiego pochodzenia” mam na myśli Polaków wyznania prawosławnego. Ponieważ w naszej wsi mieszkali Polacy katolicy, Polacy prawosławni, Rusini katolicy i Rusini prawosławni. To był taki swoisty „mętlik”. Po wojnie Rosjanie uporządkowali to, ponieważ oni wiedzieli najlepiej, jak sobie z tym złożonym problemem poradzić – uśmiecha się pan Henryk. Zdecydowali, że katolicy to Polacy, prawosławni to Rosjanie. To było takie dziwne, nienormalne. Ja miałem kolegów, którzy byli Polakami, ale prawosławnymi, oni pozostali. W roku 1958 zmieniły się przepisy, dotyczące wyjazdów Polaków „do ojczyzny” – mogły opuszczać teren ZSRR osoby, które wyjeżdżały do najbliższej rodziny. Mój tata mieścił się w tej kategorii i złożył wszystkie dokumenty w Grodnie. Czekał na swój wyjazd aż półtora roku. Rozpoczęła się wyprzedaż całego majątku. Dom wykupił kolega ojca, krowę sprzedali znajomym, jatówkę sprzedali rodzice bratu mojej mamy. Owce tata woził do Grodna. Kury, gęsi, kaczki, sieczkarnię sprzedał. W maju 1959 roku ostatnim transportem, który wyruszał do Polski z Polakami, wyjechaliśmy na podstawie takiego oto zaświadczenia. To jest tak. My niepełnoletni, czyli mój brat, moja siostra i ja jako Giennadij, zostaliśmy wpisani na jednym zaświadczeniu. Tata i pełnoletnia siostra otrzymali indywidualne zaświadczenia. Przyjechałem tu do Polski ze świadectwem ukończenia klasy piątej. Tam rok szkolny kończył się w maju. Świadectwo obejmowało oceny z trzech okresów z klasy piątej. Przyjechaliśmy do Chojny 15 maja 1959 roku. Jeszcze rok szkolny trwał. Moja ciocia była rezydentką, takim ludzkim „śwędem” postanowiła mnie zaprowadzić do szkoły. Posługiwałem się takim specyficznym językiem, który dzisiaj nazywa się „Trascianka” – nie polski, nie rosyjski, nie białoruski. Obejmował on słówka z języka polskiego, białoruskiego i kilka wyrazów rosyjskich, ale to kilka. Ciocia zaprowadziła mnie do dyrektora szkoły Mariana Sptawskiego (słynna postać

chojeńskiej oświaty) i wpisała na listę klasy piątej. Powstał problem, jakie mi nadać imię. Wpisano prawidłowe imię Henryk. Pochodziłem miesiąc i zdałem do szóstej klasy. Wielu nauczycieli podeszło do mnie z lekką litością. Jednak z niektórych przedmiotów byłem hen, hen... do przodu, z matematyki, fizyki, chemii. Tam poziom był dużo wyższy, nie było różnicy w poziomie nauczania pomiędzy szkołą na wsi i mieście. Nauczyciele realizowali program państwowy. Muszę szczerze powiedzieć, że moja wiedza odpowiadała wówczas poziomowi nauczania w polskiej szkole średniej. Zamieszkaliśmy w nowym zupełnie dla nas miejscu. Z początku miasto miało w planie wyremontować nam domek wolno stojący na ulicy Murarskiej. Przyszło ówczesne kierownictwo miasta i zdecydowało, że nie mogą tego zrobić, ponieważ koszty remontu są zbyt duże. Pewnie gdyby mój ojciec więcej coś znaczył, to by zrobili. Ale mój tata biedny człowiek, czyli po co, po co jemu osobny domek. Mieszkaliśmy „po rodzinach”. Mieszkalem u kuzyna całe trzy miesiące. W końcu na ulicy Klasztornej, gdzie obecnie znajduje się piekarnia otrzymaliśmy mieszkanie.

Tata Marcina

Marcin jest uczniem klasy III ZSZ, uczy się zawodu ogrodnika. Tata Marcina, pan Bolesław Sosiński, podzielił się swoimi wspomnieniami z dzieciństwa i młodości. Oto historia pana Bolesława, której wysłuchaliśmy w marcu 2018 roku:

Urodziłem się w 1949 roku w miejscowości Bolesław koło Olkusza, województwo śląskie. Miejscowość ta posiada bogate tradycje hutnicze związane z pozyskiwaniem cynku i ołowiu. Moi rodzice to Maria Sosińska, z domu Pasternak i Henryk Sosiński. Korzenie moje wywodzą się z miejscowości Góry Pińczowskie koło Pińczowa w województwie świętokrzyskim.

Mieszkaliśmy w latach 1950–1956 w Sosnowcu (woj. śląskie). Rodzice ciężko pracowali, nie mieliśmy w mieszkaniu bieżącej wody, toaleta znajdowała się na podwórku. Z okresu przedszkolnego zapamiętałem, że musieliśmy nosić czerwone chusty i oddawać część również (jak się później okazało) zbrodniarzom.

Moi rodzice wywodzą się z rodzin o tradycjach narodowych. Bracia mamy walczyli z okupantem w Batalionach Chłopskich w Republice Pińczowskiej, tak był nazywany powiat pińczowski podczas wojny. Przed II wojną światową bracia matki służyli w Korpusie Ochrony Pogranicza na Polesiu (granica wschodnia). Z tego tytułu, że bracia matki służyli w KOP, a później w Batalionach Chłopskich ramię w ramię z AK i z wizerunkiem Matki Boskiej na sztandarach, byliśmy szykanowani przez komunistów. Najbardziej utkwiał mi w pamięci fakt dyskryminacji, kiedy zachorowałem na zapalenie płuc, a wtedy skutecznym lekiem była penicylina, którą można było zakupić tylko na receptę i za zgodą sekretarza

partii komunistycznej. Zgody takiej nie dostaliśmy, ponieważ byliśmy na listach UB (Urząd Bezpieczeństwa) jako wrogowie ustroju komunistycznego. Bracia matki po II wojnie uciekli do Australii. Jednemu z nich się nie udało i został zastrzelony przez UB w Pińczowie, grobu nie odnaleziono. Trzech młodszych braci dotarło do Australii. Dziadek, matki ojciec, nie doczekał się powrotu synów, zmarł na serce w 1947 roku po jednym z przesłuchań dokonanych przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Wcześniej zarekwirowano mu majątek (konie, krowy), ziemie, które włączono do Spółdzielni Produkcyjnej. Babcia zmarła w 1953 roku, a my wyjechalśmy do Sosnowca. W samym Sosnowcu nie było zbyt dużo zniszczeń po wojnie. W 1956 roku wyjechalśmy na Ziemię Zachodnie do Nowej Soli. Rodzice podjęli pracę w nowosolskiej fabryce nici „Odra”. Lata 50. XX wieku wspominam bardzo niemiłe, często chodziłem głodny. Zapamiętałem, że w tym okresie często jedynym moim pragnieniem było, aby zjeść bułkę z masłem i wypić kubek ciepłego mleka. Pomimo szykan i trudności jakie stwarzali nam komuniści, rodzice nigdy nie wstąpili do partii komunistycznej. Byliśmy ludźmi drugiej kategorii. „Odwilż” dla nas nastąpiła dopiero po dojściu do władzy Władysława Gomułki. Wujkowie przysyłali paczki z Australii, które były przeglądane przez Urząd Kontroli Urzędu Bezpieczeństwa.

Nasza sytuacja materialna poprawiła się dopiero w roku 1970, gdy do władzy doszedł Edward Gierek. Wykształcenie zdobywałem, pracując i ucząc się jednocześnie.

W latach 80. zaangażowałem się w ruch związkowy, przez co straciłem pracę w kraju i pracowałem w Niemczech przez 4 lata od 1984 do 1988 roku. Pamiętam doskonale: mięso, cukier, mąka, benzyna na kartki, kolejki w sklepach AGD. Moim marzeniem było to, aby komunizm upadł i abym żył w wolnym kraju.

Pani Helena Kierul

Zdecydowaliśmy się zapytać naszego wieloletniego pracownika, panią Hełę Kierul, co zapamiętała ze swojego dzieciństwa. Warto podkreślić, że rodzice naszej rozmówczyni pochodzą z dawnych, przedwojennych kresów.

Mama pochodziła z Wileńszczyzny, tata z zachodniej Ukrainy, z okolic Kijowa. Rodzice mojego męża i starszy brat przybyli na Ziemię Zachodnie z młodej miejscowości Kierule. W tej rodzinnej wiosce rodziny mojego męża większość mieszkańców nosiło nazwisko Kierul. Wioska znajdowała się około 50 km na północ od Wilna. Wspominano, że blisko Kierul urodziła się Barbara Radziwiłłówna. Tereny rodzinne mojego matzronka przez długi okres należały do rodu Radziwiłłów. Gdy przybyli na Ziemię Szczecińską, zamieszkali „na polu” w pobliżu małego Drozdowa,

w pobliżu Jeziora Jeleńskiego. Otrzymali od UNRRY konia, krowę i kawał pola. Gospodarzyli sobie dobrze. Mama to bardzo dużo opowiadała o latach dzieciństwa i wojny. Dzieciństwo mamy w jej wspomnieniach to szkoła, pomoc rodzicom, czyli ciężka praca. Lekcje odbywały się w małej wiejskiej szkółce. Oni posługiwali się takim mieszanym językiem: „specyficznym wileńskim”. Gdy po wojnie zamieszkała w Jeleninie koło Chojny, to musiała ich mowa się odróżniać, skoro inni podśmiewali się. Później przyszedł czas wojny. Szczególnie mocno utkwiły mamie w pamięci łapanki w wioskach, które pozwalały najeźdźcom na zatrzymywanie dużej ilości przypadkowych osób. Różny był los zatrzymywanych. Zatrzymane ofiary były wywożone do obozów koncentracyjnych, ci, którzy mieli więcej szczęścia, byli zsyłani do przymusowej pracy. Poprzez łapanki okupanci wyłapywali ludność żydowską, przywódców ruchu oporu. Pozbywano się miejscowych, aby w ich domach mogli się osiedlać Niemcy. Mama, wspominając czas wojny, często wspomina do dzisiaj biedę, głód i partyzantkę. W oddziałach leśnych walczyli moi bracia, kuzyni, rówieśnicy dorosłych braci mojej mamy. Jedni przyłączali się do jednych, inni do innych oddziałów. Na takie decyzje wpływało wiele powodów.

Moi rodzice zapoznali się w Jeleninie. Zamieszkaliśmy w Godkowie Osiedlu. Wioska nasza to nie żadna „dziura” – uśmiecha się pani Hela. Budynki wzdłuż drogi wybudowane zostały w tym samym mniej więcej czasie, kiedy powstała droga kolejowa łącząca Szczecin i Wrocław. (Sprawdziliśmy, odcinek trasy pomiędzy Kostrzynem i Chojną został zbudowany w 1876 roku). Od tego czasu mieszkały tutaj rodziny niemieckich kolejarzy. Po 1945 roku w opuszczonych przez Niemców domach zamieszkałi polscy kolejarze wraz z rodzinami. W każdym domu łazienka, przed domem chlewik i ogródek. Nasz dom znajdował się naprzeciwko świetlicy. W Godkowie znajduje się zresztą do dzisiaj stacja kolejowa. W czasach mojego dzieciństwa był to duży węzeł kolejowy. Tutaj krzyżowały się dwie drogi kolejowe. Jedna z nich łączyła Szczecin i Kostrzyn, druga to chyba Stargard Szczeciński i Siekierki. Ta druga droga to została zaplanowana jako droga do Berlina. Budowa została zatrzymana w Siekierkach, tam została zbudowana ostatnia stacja przed Odrą. Na stacji kolejowej znajdowała się poczekalnia, kasa biletowa, bar, gdzie można było solidnie zjeść i ugasić swoje pragnienie. Do szkoły podstawowej w Jeleninie chodziłam przez pierwsze cztery lata, starsze klasy znajdowały się w szkole podstawowej w Godkowie. Tak, jak wspomniałam, w naszej wiosce mieszkały rodziny kolejarские, a co za tym idzie, podróże pociągami nic nie kosztowały. Po zakupy mieszkańcy najczęściej gromadnie udawali się pociągiem do Trzcinka-Zdroju. Skład pociągu ciągnięty był przez parowóz, w środku wagonów drewniane siedzenia. Z dużej stacji kolejowej w Trzcinku, na której również znajdował się bar przypominający restau-

rację, udawaliśmy się na rynek. Z tego okresu utkwił mi szczególnie smak dużego, okrągłego chleba, pachnącego i smacznego. Jak on pachniał i smakował. Posypywany był makiem. Utkwił mi w pamięci czas, kiedy oczekiwaliśmy na powrotny pociąg. Wtedy „większa połowa” chleba „znikała”. Gdy nastaty wakacje, to do pobliskiego Jelenina zjeżdżali się „miastowi” nad jezioro. Nad brzegiem jeziora wybudowano taki duży mostek. Dla miejscowych zaczynał się okres ciężkiej pracy w polu. Wyobraźcie sobie, miałam pięć lat i większość dnia spędzałam z bratem na łące, paśliśmy krowy. Tak już było co roku. Gdy chodziłam do szkoły, to już na zmianę chodziliśmy na pobliskie łąki. Codziennie po szkole do wieczora. Niedziela od rana do wieczora. No właśnie, gdy przychodziła niedziela, to pojawiał się nowy problem, kto z nas rano pójdzie z krowami tak, aby popołudnie było wolne. Do kościoła chodziliśmy w południe i później po obiedzie to była „laba”, biegano się do wieczora z innymi dziećmi „po wiosce”. Oczywiście był jeden warunek, że popołudnie będzie wolne. Gdy już byłam panią, to zmienił się wtedy kierunek podróży miejscowych po zakupy. Nie do Trzcina, a do Szczecina, do którego jeździły „nowoczesne” wagony z miękkimi siedzeniami. Dużo się wtedy zmieniło. Od dworca kolejowego udawaliśmy się w kierunku Domu Towarowego „Posejdon”. Tutaj często robiliśmy zakupy. Naprzeciwko domu towarowego znajdował się bar, gdzie poznałam i polubiłam smak zupy, tak zwanych „flaczków”. Kawatek drogi dalej znajdował się Bar „Ekstra”. Tutaj zapamiętałam smaczne zestawy ziemniaków purée ze zrazikami mielonymi w sosie i przeróżne kompoty z owoców. Szczególnie utkwily mi w pamięci powroty ze Szczecina. Obladowani, całą „zgrają”, oczekiwaliśmy na pociąg. Zawsze wtedy nieodłącznie towarzyszyły nam butki i pyszne parówki. Ile my tego wówczas zjadaliśmy. Wiecie co, gdybym teraz miała możliwość spróbowania tych parówek, to zjadłabym chyba każdą ilość – uśmiecha się do nas pani Hela.

Szczepan Siwiera

Podobnie jak tysiące innych Polaków, został przesiedlony na Ziemię Odzyskaną ze wschodu, z terenów dzisiejszej Ukrainy. Ten sędziwy mężczyzna od blisko 70 lat mieszka w miejscowości Rurka, oddalonej 4 km od Chojny. Pomimo sędziwego już wieku, dobrze pamięta okres wojny, która odcisnęła piętno na jego życiu. Poprosiliśmy pana Szczepana o podzielenie się swoimi wspomnieniami. Na spotkanie do domu naszego dostojnego rozmówcy udaliśmy się w pierwszy słoneczny dzień kwietnia. Musimy przyznać, że zaskoczyła nas dobra pamięć, serdeczność i wyjątkowe poczucie humoru pana Szczepana.

Urodziłem się w roku 1932 w miejscowości Uhrynów, powiat Podhajce, województwo Tarnopol – rozpoczyna swoją historię pan Siwiera (dziś to niewielka

miejsowość przy polsko-ukraińskiej granicy, oddalona od Lwowa nieco o ponad 120 km).

Nasza rodzina zamieszkiwała dom, mieliśmy ziemię, na której prowadzona była uprawa różnych warzyw. W tamtych czasach nie było wielkich maszyn rolniczych, rodzice musieli zebrane zboże młócić cepem, wszystko robili ręcznie, piekli nawet chleb. Nie było sklepów. Wieś, w której mieszkaliśmy, nie była mała, posiadała uliczki, ale bez nazw własnych. Na ulicy, przy której zamieszkiwałem, swoje gospodarstwa miało jeszcze około dwudziestu pięciu rodzin.

Dziś wieś liczy około 800 mieszkańców.

Nie mieliśmy kościoła tylko kaplicę rzymsko-katolicką, ale msze święte odbywały się bardzo rzadko. Mój tata chodził na msze do Podhajec, niedaleko nas był również kościół prawosławny. Przy kościele mieszkał mój wujek. Ojciec prowadził własną kuźnię, był kowalem, matka nigdzie nie pracowała, wychowywała dzieci. Miałem siedmioro rodzeństwa: najstarsza siostra Weronika urodziła się w 1923 roku, później byli Bronisława (1925), Józefa (1928), Stanisław (1930), Franciszka (1935), Michał (1939) i Piotr (1942).

Szkoły i różne ważne instytucje znajdowały się w mieście Podhajce, oddalonym od Uhrynowa o ponad 6 kilometrów.

Czas wolny spędzałem na podwórku, szwendając się tu i ówdzie, nie miałem zabawek, roweru, nie było słodyczy, jedynie jabłko można było „podwędzić” sąsiadowi. W Uhrynowie nie było szkoły. Polskie szkoły znajdowały się w Podhajcach i tam dochodziłem pieszo. Nie raz zdarzyło się, że w zimę saniami jechał Ukrainiec, nie dość, że nie wziął, to jeszcze batem przyłożył. Po raz pierwszy do szkoły poszedłem do drugiej klasy, na wschodzie ukończyłem jeszcze czwartą klasę. Życie było bardzo ubogie, ponieważ utrzymywaliśmy się z niewielkiej ilości gruntów, jakie posiadali rodzice. W naszej miejscowości po sąsiedzku mieszkali i Polacy i Ukraińcy.

Choć administracyjnie ziemie znajdowały się w granicach II Rzeczypospolitej, zamieszkiwała je zarówno ludność polska, jak i ukraińska. Wszyscy żyli w zgodzie. W 1939 roku Niemcy napadły na Polskę, czym rozpoczęła II wojnę światową.

Gdy wybuchła wojna, sytuacja życiowa pogorszyła się, powstał chaos i przyszedł strach, baliśmy się o swoje życie i co dalej będzie z nami. Do wojska powołany został mój brat Bronisław. Żołnierze niemieccy byli kilka razy w naszej wsi, zabrali wszystkie krowy mówiąc, że nie mają czym karmić żołnierzy.

Początkowo Niemcy mieli z ZSRR podpisany pakt o nieagresji. W czerwcu 1941 roku rozpoczęła się niemiecka operacja na froncie wschodnim, a na tere-

nach dzisiejszej Ukrainy utworzono niemiecką administrację. Na mieszkańców nakładano wysokie kontyngenty, czyli obowiązkowe dostawy na rzecz wojska.

W pobliżu nas był front, słycać było huk wybuchów i strzały. Każdy chował się, gdzie mógł. Pamiętam, jak kiedyś przywieziono wóz z martwymi niemieckimi żołnierzami, inni żołnierze pozbawili ich butów i osprzętu, szukali dokumentów. Nie chowali u nas tych ciał, musieli gdzieś dalej je wywozić.

Po agresji Niemiec na ZSRR, rozpoczęła się eksterminacja ludności żydowskiej. Po klęsce Niemiec w 1943 roku, w bitwie pod Stalingradem, ludność narodowości ukraińskiej rozważała wywalczenie niepodległości. W tym samym roku ukraińscy nacjonałiści rozpoczęli krwawe pogromy mające na celu eksterminację ludności polskiej.

Ukraińcy w okolicznych wsiach i miejscowościach wybijali, mordowali i głodzili Polaków. W mojej miejscowości Ukraińcy sprzeciwili się agresji, kazali nam opuścić domostwa i uciekać. Nie chcieli zabijać, ale w okolicznych wioskach trwały pogromy i mordy.

To nie była już groźba, tylko ostateczność. Wyjechaliśmy do Podhajec i tam czekaliśmy na wyjazd, jak długo tam byliśmy, to nie pamiętam. Stacja wyjazdów była w Kozowie, wagony były kryte, spaliśmy na workach. Wyjechałem pierwszym transportem do stacji Mikulczyce, tam nas wyładowano i czekaliśmy na dokończenie torów, by dojechać na zachód.

Uciekające rodziny mogły zabrać tylko to, co dały radę udźwignąć. Często były to drobne, niezbędne przedmioty codziennego użytku, jakieś zwierzę hodowlane, które mogłoby dawać pożywienie. Z Mikulczyc nie dostaliśmy już wagonów krytych, spaliśmy pod gołym niebem, wielu ludzi pomarło...

Spoglądając dziś na mapę, odległość pomiędzy Podhajcami a Rurką, czyli miejscowością, którą Szczepan Siwiera zamieszkuje dziś, to ponad 1100 kilometrów. W tamtych czasach linie kolejowe były w budowie, nie było ich zbyt dużo, taka podróż trwała często kilka miesięcy.

Ostatnim przystankiem było Lisie Pole. Po przyjeździe zostaliśmy wyładowani na łękę przy stacji. Ojciec zostawił nas tam i poszedł szukać dla nas domu. Dom znalazł w Rurce i osiedliliśmy się tam z rodziną. Jedyнным zwierzęciem, które przywieźliśmy ze sobą była krowa.

Rodzina Siwierów dotarła do miejscowości Rurka w gminie Chojna dokładnie 12 września 1945 roku, czyli blisko cztery miesiące po zakończeniu wojny.

Cały okres od wyjazdu z Uhrynowa byliśmy jak bezdomni, spaliśmy gdzie popadnie, nie mieliśmy zaopatrzenia. Do tej pory jestem pod wrażeniem, pełen podziwu dla swoich rodziców, jak zdotali nas wszystkich wyżywić przez tak długą podróż

i uchronić przed śmiercią. Owszem, odbiło się to na naszym zdrowiu fizycznym i psychicznym, bo to, co przeżyliśmy, pozostawia piętno na całe życie.

Ernesta Berezowska, z domu Zaradzka

Urodziłam się 20 lutego 1929 roku we wsi Hyżne jako trzecie z siedmiorga dzieci Marii (z domu Kawalec) i Władysława Zaradzkich. Żyło nam się dobrze. Najstarsza siostra Natalia, brat Jan i ja uczęszczaliśmy do szkoły. Chodziłam do pierwszej klasy. Rodzice postanowili wyjechać do Zaleszczyk, a dokładnie do wsi Smiętowa (kolonia), gdzie tato kupił dom i ziemię. Tam kontynuowaliśmy naukę aż do momentu wybuchu wojny. Kiedy wybuchła wojna, chodziłam do trzeciej klasy. Pamiętam, była niedziela, kiedy na Zaleszczyki zrzucono bomby (daty dokładnie nie pamiętam), ale pamiętam ludzi zwłaszcza młodych, którzy uciekali przez most do Rumunii (w Zaleszczykach była rumuńska granica). Z jednej strony Niemiec, z drugiej Sowieci i tak w obliczu wojny, strachu o najbliższych żyliśmy aż do momentu... Pamiętam dokładnie, 10 lutego 1940 roku, godzina 6 rano do okna zapukał sowiec, kazał tacie zabrać psa, bo ten ujadął, wszedł do domu, tatę pchnął na fotel, przystawił broń i sztylet, a mamie kazał zabrać dzieci i posadzić wszystkich na sanie. Było bardzo zimno, dużo śniegu i siarczysty mróz. Mama zdążyła zabrać pierzyny nic więcej, no i to, w co byliśmy ubrani. Najmłodsza siostra Janina miała 7 miesięcy, Stasia 2 lata, Zosia 3 lata, Kazia 6 lat, ja 10, brat Jan 12, a najstarsza siostra Natalia 15 lat. Nasza rodzina to jeszcze babcia i dziadek – Katarzyna i Michał Kawalec, oni wraz z nami doświadczyli okrucieństwa wojny, wywózki i Sybiru. Pamiętam, jak babcia zapytała sowiecia: – Dokąd nas wieziecie? – a ten odpowiedział – Nie będzie wam źle. Na saniach zawieźli nas do stacji Zwiniacz, tam stały wagony towarowe, do których nas załadowano. 70 ludzi w wagonie i prycze potrójne, na których spaliśmy. Okienka małe, ciemno, zimno i dziura w podłodze... Tak, tam szliśmy za potrzebą, oj...! Gdzieś po drodze pociąg zatrzymał się w Kijowie. Tutaj zatrzymali się, pół naszego transportu przesadzili w jeden wagon, zaś drugą część w drugi. Jednych na Syberię, w tym wagonie była między innymi cała moja rodzina, a drugi do Kazachstanu. Wieźli nas tak 5 dni, najpierw polską ziemią, później już w głąb Rosji o głodzie (kromka zmarzniętego chleba, a jak zatrzymali wagon, to dzieci jadły śnieg, dorośli ładowali go w co się da, żeby było się czego napić) i zimnie. Piątego dnia zaryczała sowiecka maszyna, tam nas przesadzono i jechaliśmy dalej. Raz zatrzymaliśmy się i wpuszczono nas do łaźni wszystkich razem kobiety, mężczyzn, dzieci. Jechaliśmy jeszcze dwie stacje. Kiedy zatrzymaliśmy się, podjechały samochody, takie nie kryte, mówili, że to amerykańskie. Nie wiem, nie pamiętam szczegółów, zapamiętałam, że wieźli nas w tajgę.

Nas dowieźli do Irkucka, a stamtąd do cerkwi. Każdy szukał sobie miejsca na betonie tak, aby mógł przetrwać. Byliśmy tam około tygodnia. Dawali zmarznięty chleb, niedużo, i herbatę (mało kto dostał herbatę). Pamiętam, jak tato łamał chleb, żeby wszyscy dostali (chwila przerwy – płacz). Z cerkwi z powrotem wsadzili nas na sanie i tak wieźli tajgą przez 3 tygodnie. Sanie wywracały się, dzieci umierały. Dowieźli nas na miejsce do Kalucza pod barak. Wszyscy, którzy dotarli zaśpiewali: „Przekłęte to Kalucze, za ledwo chleb połucze. Popije wody z Pojmy i hej, tam hej”. W naszym baraku mieszkało 17 rodzin. Przy ścianach po obu stronach prycze z drewna, pośrodku 3 deski, po których chodziliśmy. Zaatakowały nas tyfus i czerwonka, ludzie umierali. Na moich rękach umarła Janka, moja najmłodsza siostra. Mama zachorowała na cyngę, nie mogła chodzić, ale wyszła z tego. Wszyscy wróciliśmy oprócz Janki. No i zaczęło się życie w tajdze. Tata pracował, ścinał drzewa do momentu, kiedy konar przygniótł go, połamał mu żebra i złamał rękę. Nie mógł pójść już do takiej pracy, wystali go na stróża z tą połamaną ręką i żebrami. Na co dzień jedliśmy zupełnie ze zdechłych łosi (sachaty) i niedźwiedzi, to były tak zwane sowieckie specjalty. Dziennie dzieci niepracujące miały 20 dag chleba, pracujące 40 dag, dorośli pracujący 0,5 kg. Po chleb szło się 37 km raz w miesiącu, też szłam dla babci i dziadka przynieść, bo oni nie mieli siły. Wiosną było trochę lepiej, bo w tajdze rósł czosnek dziki, jagody i korzonki, jedliśmy tylko te czerwone. Blisko płynęła rzeka Pojma, to raz na jakiś czas złapało się jakąś rybę. Wtedy pod barakiem rozpalano się ognisko, kładło kawał żelastwa i tak piekło się ryby. Nie było zapatek, jak już ogień się rozpalilo, to tak podtrzymywało się, aby nie zagasł. Zaczęły zdychać konie, wówczas do zaprzęgu brali młode dziewczyny i one ciągały ścięte drzewa. W 1946 roku sowieci dali znać, że wyjeżdżamy do Polski. Zawieźli nas do kotchozu. Byliśmy tam przez tydzień, nocowaliśmy u ludzi, stamtąd zabrali nas wagonami do Kwitoku. Pamiętam, było to przed Wielkanocą, kiedy weszliśmy do wagonów cieszyliśmy się, bo było już ciepło, okna otwarte, jasno, otwarte drzwi, mniej ludzi. Zaopiekowali się nami Amerykanie, dali nam śledzie, mleko w puszkach, świeżą zupę. Przywieźli nas, jak mówili, na Ziemię Odzyskaną. Część ludzi wysiadła w Szczecinie, część w Godkowie, my w Trzcieńsku-Zdroju. Osiedliliśmy się w Rosnowie i tak do dziś. Kiedy przyjechalismy, większość domów była już zajęta, zostały takie bez drzwi, okien, w złym stanie, biednie było, trzeba było sobie radzić, a pomocy żadnej.

W tym miejscu kończą się wspomnienia naszych zacnych rozmówców, których wysłuchaliśmy. Jak najdokładniej staraliśmy się przelać na papier te bezcenne wspomnienia. Nasi rozmówcy podzielili się z nami swoimi przeżyciami.

Jesteśmy im wdzięczni, że pozostawili, nie tylko dla nas, część swojej historii. Dla nas szczególnie ważne jest to, że dzięki tym spotkaniom i późniejszym rozmowom jesteśmy bogatsi o wiedzę, w jaki sposób odbywało się przemieszczanie naszych rodaków, którzy, za sprawą kolei historii, poszukiwali swojej nowej, małej ojczyzny. Mamy świadomość, że w wielu domach, które przetrwały do dzisiaj, w wioskach i miasteczkach naszych rodzinnych stron, wcześniej toczyło się normalne życie, mieszkały inne rodziny. Po zakończeniu wojny przedstawiciele mocarstw podjęli decyzje, które zmieniły stary porządek.

Nadal będziemy spotykać się z osobami, które podzielią się z nami historiami swojego życia. Będziemy starali się skrupulatnie notować wysłuchane opowieści osób, o których możemy z całą pewnością powiedzieć, że są naszymi sąsiadami.

■ ROK 2019

„W drodze”

*Ile razem dróg przebytych?
Ile ścieżek przedeptanych?*

Konstanty Ildefons Gałczyński (1905–1953), *Pieśni*



Nagrody przyznane w kategorii szkoły podstawowe i gimnazja:

Dwie równorzędne I nagrody za prace:

„**Droga do historii**” dla **Dominiki Puzio** ze Szkoły Podstawowej nr 1 z Oddziałami Integracyjnymi w Kołobrzegu (opiekun: Anna Kuliś)

„**W drodze – czyli czteropokoleniowa podróż od wschodu do zachodu**” dla **Zofii Pich** ze Szkoły Podstawowej nr 23 w Szczecinie (opiekun: Małgorzata Kosiorek)

II nagrody nie przyznano

III nagroda za pracę:

„**Królewska pieczęć**” dla **Adrianny Lester** ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Gryfinie (opiekun: Magdalena Gazdecka-Goślinowska)

Nagrody w kategorii szkoły ponadgimnazjalne:

Dwie równorzędne I nagrody za prace:

„**Droga przez historię wsi Radaczewo**” dla **Julii Nalewskiej** z Zespołu Szkół nr 2 w Choszczynie (opiekun: Piotr Figas)

„**Droga ku wolności**” dla **Aleksandry Wyszczelskiej** z Liceum Ogólnokształcącego nr 1 w Stargardzie (opiekun: Joanna Stefańska)

wyróżnienie zespołowe za pracę „W drodze”

otrzymują:

Daria Czerniakowska, Patryk Dereń, Grzegorz Gawel, Tomasz Halikowski, Nikola Kuballek, Laura Mackiewicz, Anna Malcher, Marika Pietruszewska, Kamil Pitura ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Chojnie (opiekunowie: Andrzej Krywałewicz, Beata Zduńczyk, Małgorzata Wiercimaga-Ożarowska, Monika Pluskot)

Dominika Puzio

godło: „Belbuk”

Droga do historii

Słońce niemrawo unosiło się nad horyzontem. Pierwsze jego promienie padały na taflę jeziora, które w jednej chwili rozbłysło tysiącami małych iskier. Każda z nich miała odmienny kolor, jednak wszystkie one przepięknie współgrały ze sobą. Wstawał dzień. Spowite mgłą łąki wynurzały się z niej, wolno ukazując soczyste barwy. Kwiaty otrzepywały się z rosy, by pod wpływem promieni słonecznych ukazać swe piękno. Wokół roztaczała się wspaniała panorama pojezierza.

Każdy poranek był inny, lecz zawsze przepiękny zapachem okolicy. Wyczuwalna była woń jeziora i łąkowych kwiatów. Wieś budziła się do życia. Słychać było codzienne odgłosy. Gospodarze karmili swe zwierzęta, pierwsze traktory wyjechały w pole. Czuć było w powietrzu wspaniały sielski klimat.

Siedziałam na gałęzi drzewa, które nieopodal domu dorastało wraz ze mną. Jego rozłożyste konary dawały w gorący dzień wspaniały cień. W jego koronie gnieździły się różnorakie ptaki, które swym śpiewem umilały mój odpoczynek. Drzewo to było dla mnie ostoją, miejscem zabaw, a także świadkiem wielu zdarzeń. Czasem, siedząc na ławce zawieszanej na linie, bimbając nogami, rozmyślałam o różnych rzeczach, delektując się walorami okolicy.

Ach, zapomniałam się przedstawić, jestem Agatka. Agatka Sikorska. Przyszłam na świat 14 lat temu. Od tego momentu każdego dnia odkrywam wiele rzeczy od nowa. Kroczę po swojej drodze życia, poznając różne ciekawe historie dotyczące mojego regionu. Niektórzy uważają, że jestem dziwna, że zamiast grać w gry, czy też siedzieć na Facebooku, wolę delektować się zwykłymi rzeczami, które otaczają mnie ze wszystkich stron. Nie lubię telewizji. Jest smutna, pospolita, a wiele programów wręcz narzuca człowiekowi określony sposób myślenia.

Nie podoba mi się to. Lubię książki, dzięki którym mogę wędrować tam, gdzie chcę, przeżywając wiele niezwykłych przygód, które nie zdarzają się na co dzień. To ja decyduję, kiedy, co i gdzie czytam. To ja wybieram sobie moje ulubione książki, które potem pieczołowicie przechowuję na półkach w moim pokoju. Gdzie czytam? Najczęściej pod drzewem lub na ławce. Wtedy wiatr bawi się moimi kosmykami włosów, słońce z wielką ciekawością zapuszcza swe promyki na kartki książki, a ja czytam i czytam.

Czasem zdarza się, że spóźnię się do szkoły, zapomnę o odrobieniu lekcji lub nie usłyszę wołającej na obiad mamy. Pod drzewem zawieszony jest także hamak, upleciony w misterny sposób przez moją babcię. Lubię na nim leżeć w gorące dni wraz z książką. I właśnie dziś rozpoczynam czytać nową. Jej okładka za wiele nie mówi. Jednak tytuł daje dużo do myślenia. Zanim zacznę czytać książkę, poważnie się jej przyglądam. Analizuję tytuł. A potem czytam.

Położyłam się, jak zwykle, na hamaku. Dzień był ciepły, spokojny, po prostu leniwa sobota. Lekcje odrobiłam w piątek. Nagle zrobiło mi się chłodno. Był zimny, listopadowy dzień. W powietrzu czuć było dziwną mieszkankę zapachów umierającej jesieni. Krajobraz zmienił się błyskawicznie. Stałam pośrodku drogi obsadzonej gęsto drzewami, wiodącej w nieznanym mi kierunku. Liście na drzewach zmieniły swój kolor. Można było podziwiać prawdziwy festiwal barw. Dominowały barwy żółte, złote i pomarańczowe. Wiele liści niecierpliwie wiatr porywał, po czym spadały one na ziemię. Niektóre z nich przed upadkiem próbowały tańczyć. Unosiły się w górę i w dół, wpadając w ciekawe wiry, jakby chciały jeszcze zatańczyć przed upadkiem na zawsze. Reszta liści leżała w bezruchu, tworząc na drodze barwny kobierzec. Liście wydzierały woń zwiastującą nieuchronnie nadchodzącą zimą. Na moją dłoń spadł pierwszy płatek śniegu, przyglądałam mu się z wielką uwagą. Miał misterną strukturę. Stworzony z małych igielek, tworzył przepiękną formę iskrzącą się na dłoni. Był zimny. Czułam, jak chłód przenika moją dłoń, potem ramię i następnie całe ciało. Zastanawiałam się, jak tak mały płatek może mnie tak oziębic. Nie mogłam się ruszyć, każdy fragment ciała był jakby z lodu. Tylko w oddali widać było, jak nadciąga zima. Miałam wrażenie, że droga prowadzi jakby przez pory roku, od ciepłej jesieni do lodowatej zimy. Wygnała znad pola bociany, gęsi i inne ptactwo. Okolica zamilkła. Większość zwierząt schowała się w wymoszczonych przez siebie norach. Tylko w oddali widać było przechadzające się dostojnie daniela. Wyczuwalna była w powietrzu zapowiedź mrozu. Pociągnęłam nosem i zaczęłam myśleć, że zamarznię tu na śmierć, jeśli się nie ruszę. Poszłam wzdłuż drogi. Mała łza wypłynęła mi z oka, spłynęła po policzku. Poczułam niebywałe ciepło. Otarłam ją ręką-

wem i szłam przed siebie. Jakaś siła ciągnęła mnie, bym przeszła całą tę drogę, jak się potem okazało, wiodącą w stronę jeziora. Kroczyłam pomału. Pod nogami strzelały gałązki. Wokół mnie było sporo drzew. Dziwne, nie odeszłam daleko od domu, a byłam w miejscu, którego wcześniej nie znałam. Na końcu drogi było cicho i przyjemnie. Podeszłam do tafli jeziora, potem weszłam na pomost. Przede mną ukazała się inna strona jeziora. Wody stały się przezroczyste, a dno srebrzyste. W wielu miejscach pojawiały się sceny z codziennego życia mieszkańców. Jednak byli ubrani odmiennie. Większość z nich miała na sobie ubrania przypominające lniane worki przewiązane sznurem. Niektórzy mieli na sobie fragmenty futer. Język, którym się posługiwali, był podobny do polskiego, ale wiele wyrazów miało inne końcówki lub wymawiane były w niezrozumiały dla mnie sposób. Ze zdziwieniem spostrzegłam znane mi elementy z historii. To epoka brązu, potem dostrzegłam Sosnową Górkę, która, jak zobaczyłam, była miejscem kultu słowiańskich plemion. Boże, gdzie ja jestem, co się stało, że widzę takie rzeczy. Nie byłam w stanie pojąć, dlaczego widzę takie obrazy. Za chwilę moim oczom ukazał się kamień, nie, nie, nie kamień, to posąg w kolorze bieli. Ludzie ci pokazali mi go z wielką czcią. – *Belle bok, biel bik, buk* – coś takiego mówili. W końcu zrozumiałam Belbuk. Biały Bóg. To był ich bóg. To on ich chronił od złego. Potem widziałam obraz, jak bożek wpada do jeziora. Wpadł, zagłębił się w muł. Było widać, jak z każdą chwilą znika w toni jeziora. Rozejrzałam się, przed moimi oczami znalazły się inne obrazy. Napisy na płotach, karczmach, znów brzmiały odmiennie. Z toni wyłonił się napis: *Tempelburg*. Nie wiem, co to znaczy. Widzę jakieś stare miasto, potem duży głąz. Za chwilę znowu inne obrazy. O, mój dom, moja wieś. Ale, ale widzę siebie. Mam o wiele więcej lat i...

– Agatka, Agatka!

– Agatko, obiad! Gdzie znowu jesteś!

Boże, co się dzieje, przebudziłam się nagle, ale ja nie spałam, przecież wszystko widziałam.

– Tu, jestem mamolo! – Nie czułam nóg. Wydawało mi się, że jestem bardzo zmęczona, jakbym przebyła bardzo długą drogę.

– Znowu się zaczytałaś i zapomniałaś o bożym świecie. Pośpiesz się, proszę. Musimy zjeść obiad i jedziemy do Szczecinka. Tam dziś otwierają ciekawą wystawę. Chcę ci pokazać trochę historii naszego regionu. Nie możesz całymi dniami leżeć pod drzewem. Nie zauważyłaś, że słońce zaszło i zrobiło się zimno.

Zauważyłam dopiero teraz. Miałam zziębnięte nogi. Przysłuchiwałam się słowom mamy. Ale dalej nie mogłam zrozumieć, co się stało. Spojrzałam na książkę, którą czytałam – tytuł brzmiał – *Jezioro tajemnic*. Opisywali moje jezioro, nad

którym się wychowałam. A historię, którą ujrzałam, za chwilę będę mogła zobaczyć w muzeum. Tylko dlaczego ci Słowianie mówili do mnie? Co oni chcieli mi przekazać? Czy to oni mi kazali dojść do nich tą dziwną drogą? A może to była droga do historii?

Po obiedzie pojechałam z mamą do Szczecinka. Na wystawie w muzeum zobaczyłam bardzo starą figurkę bożka, którą chyba już widziałam w moim śnie. Jego historia była długa i nieznana. We wczesnym średniowieczu na cyplu wcinającym się w jezioro Komorze znajdował się słowiański gród i tam najprawdopodobniej czczono boga Belbuka – Białego Boga. Dzisiaj po grodzie pozostało jedynie wzniesienie porośnięte gęstym lasem i ślady mostu łączącego jego dwa brzegi. W okolicy wsi Łubowo są ślady dawnej bytności człowieka: na wzniesieniu Sosnowa Górka, położonym na północ od wsi, znajduje się cmentarzysko prastłowiańskich grobów skrzynkowych, nad płynącym w sąsiedztwie Białym Potokiem – ślady osady wczesnośredniowiecznej. W 1925 roku rybacy w czasie połowu ryb wyłowili kamienny posąg słowiańskiego bożka Belbuka i położyli pod płotem karczmy we wsi Łubowo. Potem przewieziony został do Szczecinka, gdzie przez długie lata stał w dawnej muzealnej wieży św. Mikołaja. Według legendy w przeszłości posąg Belbuka znajdował się u stóp wiekowego dębu na szczycie Sosnowej Górki. W okresie chrystianizacji obiekt kultu miejscowych mieszkańców został wrzucony do jeziora. Obecnie znajduje się w Muzeum Regionalnym w Szczecinku. A *Tempelburg* to dawna nazwa Czaplinka, a także olbrzymiego głazu narzutowego, który jest obecnie pomnikiem przyrody. Leży przy drodze, 5 km od Czaplinka.

I tak tajemnicza droga, jaką przebyłam w moim śnie w kierunku jeziora, stała się drogą do wspaniałej historii, jaką usłyszałam w muzeum o regionie, w którym mieszkam.

Zofia Pich

godło: „Skrzypaczka”

W drodze – czyli czteropokoleniowa podróż od wschodu do zachodu

Nasza rodzina uwielbia podróże, myślę, że tak jak większość rodzin na świecie. Szczególnie lubimy wycieczki dydaktyczne. Byliśmy już w większości polskich miejscowości wartych zobaczenia, za każdym razem poznając ich interesującą, wyjątkową historię. Pewnego dnia postanowiliśmy wybrać się w jedyną w swoim rodzaju „podróż w czasie”, by bliżej zapoznać się z naszymi dawno nieżyjącymi już przodkami.

Mój prapradziadek Stanisław Koller ożenił się z wdową – Katarzyną, która z wcześniejszego małżeństwa miała czworo dzieci: Julię, Marię, Michała i Franciszka. W kolejnych latach urodziła mu jeszcze Franciszkę, Wiktorię, Bronisława, Leonarda oraz Helenę. Krótco po urodzeniu ostatniej córki zmarła, zostawiając mężowi dziewięcioro potomków. Bronisław, trzecie w kolejności dziecko prapradziadka Stanisława, ożenił się z Janiną. Razem mieli aż dziesięcioro dzieci, a ich najstarsza córka Barbara to moja babcia.

Z dzieci prapradziadka dziś żyje jeszcze tylko Leonard i to do niego postanowiliśmy pojechać. Mieszka on w Sulikowie koło Zgorzelca razem ze swoimi dorosłymi już dziećmi w dużym domu z ogrodem uprawianym przez jego syna. Mieliśmy okazję posłuchać opowieści dalekiego wujka Leonarda, na którego w skrócie mówimy „wujek Lolek”.

Do 1946 roku rodzina Kollerów mieszkała w Zubrzy pod Lwowem, na terenie dzisiejszej Ukrainy. Obok tej miejscowości była Rzęsna, której mieszkańcy, w zasadzie z niewiadomych przyczyn, bardzo nie lubili się z zubrzanami. Wujek

mówił o kilku wydarzeniach, które pamiętał ze swojego dzieciństwa, a jedno z nich najbardziej zapadło mi w pamięć:

– Kiedyś, gdy miałem kilkanaście lat, tata kazał mi porąbać drewno. Mieliśmy swoją siekiere, ale pieńek musiałem pożyczyć od sąsiadów. Podczas gdy rąbałem, przyszedł do mnie syn sąsiada i chciał mi go zabrać. Nie mogłem oddać mu pieńka, ponieważ mój ojciec był bardzo wybuchowy, a ponadto służył niegdyś w armii austriackiej, więc potrafił bardzo mocno nas pobić, gdy tylko coś nie było po jego myśli. Gdybym wrócił do domu bez drewna, na pewno nie skończyłoby się to dla mnie dobrze. Odmówiłem więc synowi sąsiada, lecz ten położył rękę na pieńku. Ostrzegłem go, że zaraz zacznę rąbać, ale ten nie przejmował się tym. Uderzyłem więc siekiarą prosto w jego rękę, a krew trysnęła na boki. Nie wiem, co działo się dalej, bo przestraszyłem się i uciekłem. Schowałem się w piwnicy i nie wychodziłem z niej przez dwa tygodnie, mając nadzieję, że ojciec o tym zapomni. Syn sąsiada oczywiście przeżył, a ręka była tylko rozcięta... – wujek śmiał się, opowiadając o tym, choć wtedy z pewnością nie było mu wesoło.

W 1946 roku Ukraińcy kazali Polakom opuścić Zubrzę i Rzęsną. Kollerowie mieli nadzieję, że wyjeżdżają tylko na jakiś czas, więc zabrali najpotrzebniejsze rzeczy, a większość kosztowności pochowali w różnych zakamarkach domu. Pociągiem towarowym dojechali tutaj, do Szczecina, a wraz z nimi część zubrzan i rześnian. Reszta, w tym Julia – najstarsza przyrodnia siostra wujka Lolka z rodziną osiedliła się w okolicach Zgorzelca. Wujek Lolek opowiadał nam, jak chodzili od domu do domu, szukając odpowiedniego miejsca do zamieszkania. W końcu trafili do Wielichowa, niewielkiej wioski obok miasta. Dużo było tu opuszczonych gospodarstw, ponieważ chwilę wcześniej mieszkający w nich Niemcy musieli wyjechać ze Szczecina, gdyż stało się ono miastem polskim. Rodzina Kollerów postanowiła zamieszkać w jednym z nich. Zaglądali do każdego domu po kolei, ale żaden im nie odpowiadał.

– Jeden duży dom stał całkiem pusty, ale nikt nie chciał się do niego wprowadzić. Nie rozumieliśmy tego, ponieważ był w dobrym stanie. Zajrzeliśmy do środka. Budynek wyglądał bardzo ładnie, więc nie widzieliśmy przeszkód, by w nim zamieszkać, kiedy nagle zauważyliśmy leżące w łóżku zwłoki kobiety. Wyglądało to tak strasznie, że mimo braku dachu nad głową, nie zdecydowaliśmy się na to mieszkanie – opowiadał wujek. – Następny dom też był odpowiedni do zamieszkania. Stał przy ulicy Lutyków, a wokół niego rosło mnóstwo sosen. Mimo to do niego również się nie wprowadziliśmy, ponieważ baliśmy się tych drzew. Wyglądały tak, jakby zaraz miały wyjść z nich uzbrojeni Niemcy. Zostawiliśmy mieszkanie komuś innemu, a sami wróciliśmy, by przenocować w pociągu.

W końcu Kollerowie znaleźli odpowiedni dom. Był bardzo malutki i ciasny, i choć tuż obok stał dużo wygodniejszy, oni wybrali ten, by być zawsze bliżej siebie. W tej okolicy osiedliła się większość ludzi z Zubrzy i Rzęsnej, mimo że konflikt między nimi wcale nie został zapomniany. Chociaż zubrzanie i rześnianie mieszkali blisko siebie, to granicę między nimi stanowiły tory kolejowe.

Martwa kobieta nie była jedynym trupem znalezionym przez prapradziadka i jego dzieci. W altanie obok domku odkryli kolejnego nieboszczyka, ale tym razem zakopali go w ogrodzie. Poza tym w altanie były jeszcze owocowe przetwory, z których wszyscy chętnie korzystali. Podróż rodziny ze wschodu na zachód trwała aż trzy miesiące, więc skończył się cały zapas żywności. Aby nie umrzeć z głodu, zebrali również zboże rosnące na ich ziemi i zrobili z niego mąkę na chleb. Kollerowie mieli bardzo dużo działek. Kiedyś, przy oraniu jednej z nich, wykopali kolejne zwłoki. Nie ruszali ich, ale z powrotem zakopali i postawili w tym miejscu krzyż.

Jedna tylko kwestia nie została wyjaśniona. Wujek Lolek opowiadał, że pewnego dnia uczestniczył w zabawie w Dąbiu, podczas której zrobił coś bardzo głupiego. Nie chciał powiedzieć co, ale było to na tyle niemądre, że musiał jak najszybciej uciec. Po zabawie, zamiast do domu, pojechał do swojej przyrodniej siostry Julii do Sulikowa i tam mieszka do dzisiaj.

Tyle dowiedzieliśmy się z opowieści wujka Lolka, bo reszta historii znana jest już całej naszej rodzinie.

Wkrótce po ucieczce wujka Lolka prapradziadek Stanisław zmarł, a większość z jego dzieci założyła rodziny i powyprowadzało się. Gospodarstwem zajął się brat wujka Leonarda, mój pradziadek Bronisław. Ożenił się on z Janiną pochodzącą spod Krakowa i mieli razem dziesięcioro dzieci, pomiędzy których podzielili całą swoją ziemię.

Najstarszą z rodzeństwa jest Barbara, która jako pierwsza wyszła za mąż. Mimo tego, że jej przodkowie pochodzili z Zubrzy, to w 1977 roku na ślubnym kobiercu stanęła razem z potomkiem rześnianina. Od tego momentu spór pomiędzy obiema grupami zaczął powoli zanikać, a dziś już prawie nikt o nim nie pamięta.

W 1982 roku Barbara urodziła moją mamę Katarzynę, a w następnych latach jeszcze troje dzieci. W 1996 roku zmarł pradziadek Bronisław, a działki należące do mojej babci Barbary zostały podzielone pomiędzy czwórkę dzieci. W 2005 roku moja mama wyszła za mojego tatę, w 2006 roku urodziłam się ja, w 2008 moja siostra, a w 2018 – mój brat. Wcześniej, w 2012 roku, zmarła prababcia Janina.

W 1948 roku nazwę „Wielichowo” zmieniono na „Wielgowo”, w 1954 roku włączono do Szczecina, nadając status dzielnicy podmiejskiej, a w 1972 – osiedla miejskiego. Dziś nazywa się tak miejsce, w którym kiedyś mieszkali rześnianie, za to na teren zamieszkały niegdyś przez zubrzan, oddzielony od Wielgowa torami, mówi się „Sławocieszę”. Właśnie tam stoi mój dom – dokładnie na działce, z której kiedyś prapradziadek Stanisław zbierał zboże na mąkę, by zrobionym z niej chlebem nakarmić rodzinę. Naprzeciwko tego domu stoi stary, ciasny domek, w którym łącznie wychowało się osiemnaścioro dzieci. Obecnie mieszka w nim jeden z braci babci Barbary.

Po poznaniu historii wujka Lolka, jego rodzeństwa i rodziców często odwiedzamy miejsca takie jak Zubrza i Rześna czy Sulików, by poczuć fragment tego, co czuli oni, przebyć kawałek tej samej drogi, bo jak słusznie zauważył Cyprian Kamil Norwid: *Aby mierzyć drogę przyszłą, trzeba wiedzieć, skąd się wyszło.*

Julia Nalewska

godło: „Cairistiona”

Droga przez historię wsi Radaczewo

Każda wieś i miasto ma jakieś tajemnice. Jedne gorsze, drugie lepsze. Wszystko, co posiadamy, gdzie mieszkamy, ma na swój sposób niesamowitą historię.

Radaczewo (niem. *Reichenbach*) to niewielka miejscowość, gdzie wszyscy się znają. Leży w województwie zachodniopomorskim, w powiecie choszczeńskim, w gminie Choszczno, oddalona od samego miasta o około 10 km. W latach 1975–1998 wieś administracyjnie należała do województwa gorzowskiego. Jadąc drogą wojewódzką nr 160 z Choszczna i docierając do miejscowości Pakość, skręcamy w lewo i jedziemy prosto, mijając Bonin aż do skrzyżowania dróg, gdzie zjeżdżamy w prawo na drogę publiczną. Kierując się 2,5 km prosto, zawitamy do wsi Radaczewo.

Moja rodzinna wieś to dla mnie wszystko. Tam przeżyłam najwspanialsze chwile, ale również i te najgorsze, tam się uczyłam wielu rzeczy i tam żyję do dzisiaj. Domu rodzinnego nie zamieniłabym w swoim życiu na żaden inny, bo stamtąd się wywodzę, bo stamtąd czerpię wiedzę, a rady starszych pozwalają mi podejmować ważne decyzje. Moja rodzina zamieszkuje Radaczewo od czasów po II wojnie światowej. Jako dziecko nie zdawałam sobie sprawy, jak bogatą historię moja wieś posiada. Przygotowując się do napisania tej pracy czułam, że znalazłam się na zarośniętej ścieżce. Jak poznać historię mojej miejscowości, skoro jest ona taka mała i prawie zapomniana, kogo pytać, dokąd pójść? Nie miałam planu, więc zrobiłam to, co przyszło mi najszybciej do głowy – zaczęłam pytać rodzinę, sąsiadów, znajomych, później poszłam do biblioteki. Idąc zarośniętą ścieżką historii, odkryłam fascynujące zdarzenia, fakty, niecodzienne wspomnienia i legendy.

Co? Gdzie? Jak i kiedy?

Obszar, na którym do dziś leży wieś, w latach 1232–1236 został przyznany cystersom z Kołbacza przez księcia Władysława Odonica i Henryka I Brodatego. Po raz pierwszy osada została wspomniana w 1278 roku, gdy to książę Barnim I Dobry otrzymał z powrotem wieś położone w rozwidleniu prawego dopływu Odry – rzeki Iny, uznając je za lenno rodziny Güntersberg. W 1523 roku wieś była w rękach Joachima V von Güntersberg. W połowie XVIII wieku w Radaczewie były trzy majątki: von Blanckensee, von Schack i von Borck. W roku 1770 majątek scalila rodzina von Blanckensee. W I połowie XIX wieku, dokładniej w 1817 roku dobra zakupila rodzina von Bethe, a w 1892 roku należała do Theodora von Bethe (liczył 1344 ha). Od lat 30. XX wieku do 1945 roku właścicielami mienia była rodzina Blüdorn.

W czasach II wojny światowej w Radaczewie znajdował się obóz pracy (*Arbeitslager*) dla polskich robotników. Cały majątek opustoszał w 1945 roku, a 32 lata później (1977) został włączony do Wielkozakładowego Państwowego Gospodarstwa Rolnego Choszczno.

Przed II wojną światową w Radaczewie znajdowała się kuźnia, gorzelnia, cegielnia, młyn wodny, szkoła, przedszkole, warsztat naprawy ciągników, stółówka, zajazd, trzy sklepy oraz pałac wraz z parkiem. We wsi znajdował się także kościół z XVI wieku, lecz obecnie po nim pozostały tylko ruiny i cmentarz ewangelicki. Oba obiekty można zobaczyć.

Geneza nazwy wsi, czyli jak to było

Pierwsza nazwa wsi, czyli *Reichenbach*, oznacza „bogata rzeczkę”. Odnosiła się ona do dwóch cieków wodnych znajdujących się w pobliżu wsi, które są porośnięte olchą czarną i topolą. W 1945 roku osada miała nazywać się Polakowo, Polsko, bądź Polakowa. Polska nazwa miejscowości – Radaczewo – pochodziła od poznańskiego imienia Radacz. Niektóre źródła podają jeszcze dwie inne nazwy – *Rickebach* oraz Rajsko.

Wśród arystokracji w nieznanej wsi

Sercem każdej wsi jest jej główny plac. Niestety, w Radaczewie to miejsce jest tajemnicze, odgródzone bramą. Niektórzy mieszkańcy śmieją się i mówią, że wygląda to jak „Strefa X”. Dlatego właśnie postanowiłam zbadać, co tam właściwie było.

Na niewielkim wzniesieniu oraz w otoczeniu sporej wielkości parku stał dwór, który pochodził przypuszczalnie z XVIII wieku. Podczas działań wojennych w 1945 roku został zniszczony, rozebrano go całkowicie w latach 60.

W jego miejscu postawiono dom mieszkalny. Dookoła pałacu znajduje się park krajobrazowy.

W 1825 roku pruski ogrodnik i architekt krajobrazu, żyjący w latach 1789–1866, Peter Joseph Lenné przygotował projekt dla obszarów wsi Radaczewo. Plan obejmował teren około 1000 ha ziemi.

W przedsięwzięciu znalazły się pola uprawne, akweny wodne, ogrody, pastwiska oraz zadrzewienia. Park rozciągał się prawie na 4 km długości, a obsadzony był różnymi gatunkami drzew, między innymi bukami, dębami oraz zagranicznym drzewem, nazywanym tulipanowcem. Ścieżki były wyznaczone nietypowo, a po obu stronach rosły posadzone krzewy agrestu i porzeczki. Po dawnej świetności dworu i parku nie ma już prawie śladu.

Znajdował się tam również zespół folwarczny, który składał się z gorzelnii produkującej alkohol, obory, stodoły, magazynu oraz kuźni. Po większości z tych budynków już nic nie pozostało. Tylko wspomnienie w umysłach mieszkańców. Całość (park i pozostałości zespołu folwarcznego) wraz z ruinami kościoła są pod opieką konserwatorską. Oprócz tego chronione są także domy mieszkalne (czworaki i chałupy) nr 4, 18, 22, 23, 28 i 29.

Ciekawe, ilu mieszkańców wie, że nasza „Strefa X” była kiedyś centrum gospodarczym *Reichenbach*?

Gdzie kościół, a gdzie dzwon?

Jako dziecko jeździłam do sąsiedniej wsi do szkoły, mijając tajemnicze ruiny. Gdy pani jesienią prosiła nas, byśmy zrobili ludziki z kasztanów lub gdy odbywał się konkurs, kto najwięcej kasztanów przyniesie, to wiedziałam, że najlepsze kasztany znajdę właśnie w ruinach. Wtedy miejsce to było dla mnie światem dzikiej przyrody, ale dzisiaj zdaję sobie sprawę, że ruiny są śladem po dawnych mieszkańcach mojej miejscowości.

W Radaczewie znajdował się kościół. Niestety, do dzisiaj zachowały się jedynie jego ruiny z XVI wieku oraz pozostałości cmentarza ewangelickiego. Całość jest porośnięta różnymi krzewami oraz drzewami. Ruiny możemy zobaczyć w północnej części wsi po prawej stronie, jakieś kilkaset metrów dalej od dworu i parku pałacowego oraz zajazdu, który stał się kaplicą, by dziś pełnić rolę świetlicy środowiskowej.

Był to kościół protestancki. Znajdował się w nim kiedyś dzwon, ale dzisiaj nie wiadomo, gdzie jest usytuowany. Najprawdopodobniej w innej wsi bądź mieście. Naprzeciwko domu modlitwy znajdowała się plebania. Kiedyś Radaczewo należało do parafii Pyrzyce, ale obecnie należy do parafii Piasecznik.

Moja ciocia opowiedziała mi historię, że w latach, kiedy kościół jeszcze stał i odbywała się msza pogrzebowa, do środka weszli Rosjanie i zakłócili ceremonię, przez co potem trumna z ciałem stała przez długi czas.

Obecnie cmentarz, na którym są pozostałości po mogiłach i nagrobkach, znajduje się we wschodniej części działki kościelnej. Jeśli się dobrze przyjrzymy, zobaczymy, jak przebiegało ogrodzenie dookoła miejsca spoczynku wielu ludzi oraz gdzie znajdowała się brama wejściowa.

Gdy wieża kościelna zwała się na drogę, nie uprzątnięto jej tak długo, dopóki nie była kładziona droga asfaltowa. Cegły z wieży zabrano na odbudowę stolicy Polski – Warszawy.

Z tamtego miejsca pamiętałam do tej pory przepiękne kasztany, ale teraz już wiem, jak brutalna może być historia. Teraz czuję, że odkrywając dzieje swojej miejscowości, w jakiś sposób oddaję hołd tym, którzy odeszli.

Jak się tu znaleźliśmy?

W trakcie II wojny światowej jedną z ostatnich głównych walk niemieckich na froncie wschodnim była tak zwana Pancerna Bitwa o Stargard, która trwała od 15 do 18 lutego 1945 roku i obejmowała Stargard oraz jego okolice. W tym czasie obszary te należały do III Rzeszy. Celem armii III Rzeszy było odwołanie radzieckiej ofensywy na Berlin. Bitwa rozpoczęła się z rejonu Suchania w kierunku Choszczna. W książce *Krwawe ślady* pod redakcją Janusza Gajownicza i Tadeusza Siewiora, wypowiedzi się Jerzy Tatoń:

Nadszedł dzień 15 lutego 1945 r., który rozpoczął operację. [...] Tego dnia wojska 3. Korpusu Pancernego SS uderzyły spod Suchania w kierunku południowym. Wśród nich 24. Regiment „Danmark”, którym przez chwilę się zajmujemy. [...] Pierwszym celem regimentu była leżąca na drodze do Choszczna wieś Radaczewo. Oddajmy teraz głos 2. Batalionowi:

[...] Przy młynie na południe od rzeki Iny przegrupował się do ataku. Na lewym skrzydle stoi 6. Kompania, na prawym 7., a za nimi w odwodzie 5. 8. Kompania jest gotowa na pozycjach wyjściowych. Nasze pojazdy pancerne są już w przedzie i uderzają przez Radaczewo. Wszędzie stoją zaskoczona wojska radzieckie, a ściągana do walki ich ciężka broń nie nadchodzi. Podniecone walką kompanie prą naprzód. Wkrótce są na pierwszym wzgórzu. Za płaską kotlinką, na drugim wzniesieniu, znajduje się wieś Radaczewo. Na drodze leży rozbite działo p-panc. Z daleka rozpoznano szybko poruszające się postacie uciekających. W Radaczewie płonie kilka domów. Atak wspiera 2/SS-AR 11 i część SS-Ar54 (2. Dywizjon 11. Pułku Artylerii i część 54. Pułku Artylerii). Sturmabführer Sörensen wie, że nie ma czasu

do stracenia – wpadają na karkach uciekających, nie dając im czasu na umocnienie się. Więc naprzód! Na czele idzie Sörensen, stawiając długie kroki, a za nim ciągną Untersturmführer Raßmussen i Stippertz oraz Unterscharführer Scholles. Kompanie z wysiłkiem niosą broń i oporządzenie, dotrzymując im kroku. Wkrótce grupa Sörensena osiąga skraj wioski. Wszędzie leżą trupy Rosjan, martwe bydło i wyladowane zdobyczą wozy. W jednym z gospodarstw stoi osiodłany koń. Z odbezpieczoną bronią ludzie idą dalej. Jedna z okiennic otworzyła się, zza niej ukazała się głowa. Teraz mógł sprawdzić się w działaniu pluton szturmowy. Dwóch ludzi wbiega do domu. Ukazują się im kobiety, krzyczące o ratunek. Na południowym skraju wsi czeka Sörensen z podkomendnymi i plutonem szturmowym na przybycie kompanii. W końcu zjawia się Untersturmführer Madsen z 7. Kompanią i krótko po niej 6. Kompania. Ostatecznie pojawia się 5. Kompania, [która] dowodzi [...] Hauptsturmführer Seyb. [...] Nadjechał Obersturmbanführer Krügel. W żadnym wypadku nieprzyjaciel nie powinien umocnić się. Po krótkiej odprawie wydano nowe rozkazy do ataku:

7. Kompania po prawej, wziąć Hochberg (Łysica) i zatrzymać się!

6. Kompania w środku, wziąć Hohenfriedberg i zatrzymać się!

5. Kompania po lewej, wziąć stodoły folwarku Bonin i zatrzymać się! Silny opór nieprzyjaciela w lasku na północ od folwarku Bonin. Na stanowiska wymarsz!

W zdobytym Radaczewie postawiono punkt dowodzenia i zorganizowano punkt opatrunkowy. [...] O zmierzchu z Radaczewa ewakuowano główny punkt opatrunkowy Dywizji „Nordland”. Po moście pod Fährzoll ubezpieczanym przez 2. Batalion „Danmark” przechodziły kolejne oddziały. [...] Gdy jeszcze przechodziła po nim 10. Kompania „Norge”, patrol inżynierski czynił ostatnie przygotowania. Po jej przejściu, w nocy z 22 na 23 lutego, most wysadzono w powietrze.

W ten oto sposób zakończyła się operacja „Sonnenwende”, o której musiano szybko zapomnieć i wrócić do brutalnej rzeczywistości. Dywizje przegrupowano, wymieniono sztaby, część jednostek przerzucono za Odrę. Na interesującym nas odcinku front przebiegał na południe od Stargardu do Iny i wzdłuż niej do Recza.

Na początku wiosny Rosjanie spędzali włócząc się po polach i pozostałe w zagrodach bydło, które potem zaganiali do obór dworu. Niemcy, którzy pozostali, musieli je żywić i doić. Następnie pociągami wysyłali je do Rosji. Spichlerze były pełne zboża. Rosjanie z pomocą Niemców przerabiali je, a ziarno zwozili do majątku w *Reichenbach* (Radaczewo). Zboże, którego nie zdążyli zmłócić, podpalali. Składali je w magazynach gorzelnicy, która mieściła się w folwarku, na strychu obory, a także w piwnicach. Zboża pilnowało dwóch strażników, którzy

w nocy chwilami strzelali w powietrze, dając znak, że cały czas czuwają. Dużo zboża ukradli złodzieje, część wynieśli Rosjanie, a reszta albo spleśniała, albo zjadły ją szkodniki.

Po zwycięskiej dla Rosjan Pancерnej Bitwie o Stargard ruszyła ofensywa na Berlin. Nawet moja ciocia nie wie dokładnie, jak to się stało, że osadnicy przybyli do Radaczewa. Ja sama nie dotarłam jeszcze do materiałów na temat tej fascynującej historii, ale wiem, że prędzej czy później odkryję prawdę.

Nauka to potęgi klucz, czyli szkoła w Radaczewie

Po II wojnie światowej mieszkańcy Radaczewa starali się organizować swoje życie. Dzisiaj nie ma już szkoły w Radaczewie, dlatego musiałam dojeżdżać do Sławęcina, ale kiedyś, jak się dowiedziałam, również i u nas znajdowała się podstawówka oraz przedszkole. Zaciekało mnie to i zdziwiło, bo byłam przekonana, że w tak małej miejscowości szkoła nie ma racji bytu.

Szkołę Podstawową w Radaczewie, do której uczęszczali uczniowie do klas 0–3, otwarto 1 września 1961 roku dzięki kobietom ze wsi. Po zakończeniu nauki w tej szkole, dzieciaki dojeżdżały do Szkoły Podstawowej w Sławęcinie. Była to placówka oddalona o 3 kilometry od Radaczewa. W tym samym budynku znajdowało się także przedszkole. Szkoła została zamknięta około roku 1975 (przybliżona data), ale dokładne przyczyny nie są mi znane.

Gdy pewien uczeń nie chciał przyjść do szkoły, nauczycielka przychodziła do niego do domu i zabierała go do placówki edukacyjnej. Tak przynajmniej opowiadała mi moja mama, która usłyszała to z opowiadań mojej babci.

Obecnie budynek, w którym niegdyś znajdowała się szkoła, to dom mieszkalny. Historia szkoły z Radaczewa uczy, że wszystko jest możliwe dzięki zaangażowaniu mieszkańców, szczególnie kobiet. Chciałabym, żeby duch takiej aktywności nie opuszczał również i mnie.

Na szczybie

Dumą Radaczewa jest jednostka Ochotniczej Straży Pożarnej. Założono ją w 1957 roku. Liczyła ona wtedy 17 członków czynnych i 1 honorowego. Przy OSP powołana była Młodzieżowa Drużyna Pożarnicza, która liczyła 10 członków. Jednostka zajmowała wysokie miejsca w zawodach w byłym województwie gorzowskim: I miejsce na zawodach w Słubicach w 1977, II miejsce na zawodach wojewódzkich w Gorzowie Wlkp. w 1986, I miejsce w 1988 roku na zawodach w Reczu, XXXII miejsce w 1988 roku na Mistrzostwach Polski w Łodzi, I miejsce w 1993 roku na zawodach w Ośnie Lubuskim, II miejsce na zawodach

wojewódzkich w Strzelcach Krajeńskich, w 1998 roku II miejsce na zawodach powiatowych, II miejsce w 2006 roku na zawodach gminnych. W województwie szczecińskim: I miejsce w 1959 roku na zawodach wojewódzkich w Szczecinie. W województwie zachodniopomorskim: V miejsce w 2000 roku na zawodach w Kaliszu Pomorskim. Od 1979 roku OSP posiada nową strażnicę z dwoma boksami.

W 2017 roku na gminnych zawodach odbywających się w Choszczynie na I miejsce wróciła jednostka z mojej wsi. Strażacy byli szczęśliwi z tego powodu, ponieważ zwyciężyli pierwszy raz od 17 lat.

W 1987 roku strażacy z mojej miejscowości gasili pożar stodoły w Radaczewie, która należała do PGR Radaczewo, w 1991 roku pałacu w Wardyniu, a w 1992 roku pożar lasu Puszczy Nadnoteckiej w miejscowości Trzebiczy.

Od 16 grudnia 2004 roku OSP wprowadzono do KSRRG i utworzono Jednostkę Operacyjno-Techniczną II kategorii.

O ile kobiety z mojej wsi były aktywne i nadal takie pozostają, jeśli chodzi o edukację, o tyle mężczyźni za punkt honoru biorą sobie przynależność do OSP. Być może trochę ubarwiam historię moich współmieszkańców, ale każdy musi wierzyć w jakąś pozytywną legendę, szczególnie jeśli pochodzi z dawnej wsi pegeerowskiej.

Legendy radaczewskie

W pobliżu Radaczewa płynie do dzisiaj potok, nad którym dawniej stał młyn. Mielit tutaj zboże młynarz za pozwoleniem panów ze Sławęcina i Radaczewa.

Młynarz był bardzo bogaty. Stajnia pełna była koni i inwentarza. Ziemia przynosiła dobre plony. W stawie opodal potoku hodował ryby. Pomimo bogactwa młynarz był miły i uczynny dla chłopów przywożących do przemiału swoje zboże. Nigdy nikogo nie oszukał.

W młynie tym od zawsze, jak uważał młynarz, żył wąż. To jemu młynarz zawdzięczał swoje szczęście. Gad zadomowił się na dobre. Sypiał pod żłobem w stajni. Pełzał po całym gospodarstwie, po wszystkich pomieszczeniach. Nikt go nie krzywdził. Nikt go nie przeganiał. On także nigdy nikomu krzywdy nie zrobił.

Pewnego dnia, a było to latem, wąż wpełzł do izby, gdzie pozostawiono małego chłopczyka. Dziecko zaczęło się bawić z wężem. Nie była to pierwsza wspólna zabawa. Kiedyś wąż bawił się tak z jego ojcem.

Zajęty tego dnia pracą w młynie, młynarz nie zauważył wędrowca, który wszedł do domu i zastał scenę, gdy wąż opasał dziecko, położył swoją głowę na jego kolanach. Gdy usłyszał obcego człowieka otworzył oczy. Wystraszył się i usiłował

uciec. Niestety, wiek sprawił, że zrobił to bardzo wolno. Wędrowiec kijem zabił węża. Dziecko rozplakano się. Przybiegła matka. Zdrętwiała, gdy ujrzała, co się stało. Podobnie młynarz, gdy zobaczył zabite swoje szczęście. Nic jednak nie zrobił wędrowcowi, ten bowiem był przekonany, że ratuje życie chłopcu. Wyrzucił go tylko z chatupy.

Opowiadali potem długo ludzie z Radaczewa i Piasecznika, że odtąd szczęście młynarza opuściło. Młyn i gospodarstwo zubożało. Wszystko marniało i niszczało. Padł inwentarz. W młynie psuło się wszystko. Chłopi coraz rzadziej zaglądali tutaj z ziarnem. Właściciel młyna zadłużył się u panów we dworze w Radaczewie. Wreszcie nie mogąc spłacić długów, opuścił młyn i w tajemnicy wyjechał z rodziną w kierunku morza. Podobno w Szczecinie wsiadł na statek i wyjechał do Ameryki.

Tę historię wyczytałam i postanowiłam przytoczyć ją w całości, bo jest bardzo piękna. Jednak to nie jedyna legenda radaczewska. Warto też przedstawić dzieje Szubieniczej Góry.

Najwyższym wzniesieniem w okolicy jest Łysica. Nazwa ta bardziej kojarzy się z najwyższym szczytem Gór Świętokrzyskich, lecz mnie oraz innym mieszkańcom kojarzy się ona ze wzgórzem oddalonym od mojej wsi o niecały kilometr. Najlepiej wybrać się tam rowerem. Dla innych ludzi, niemieszkających we wsi, dojazd do tego tajemniczego miejsca jest od strony drogi wojewódzkiej nr 160 na trasie Choszczno-Piasecznik. Jadąc tą drogą, skręcamy w prawo na drogę do Radaczewa i po kilometry ponownie skręcamy, tym razem w lewo, w polną drogę. Ścieżka kończy się po około 500 m. Dalej trzeba iść pieszo przez pole.

W 2014 roku wybrał się tam leśniczy Brańcina – Przemysław Barczak. Zdziwił go widok pomnika, który tam leżał. Według jednej z legend był to kiedyś słup graniczny. Po dokładniejszym przyjrzeniu się można stwierdzić, że przewrócona była tylko górna część pomnika, a cokół jest na swoim miejscu. Prostokątne wgłębienia świadczą o tym, że były kiedyś tam tablice. Najstarszymi drzewami są dąb i klon, które były posadzone w momencie stawiania pomnika. Od północy jest ogromne wyrobisko, które ma 10 m głębokości i 30 m średnicy. Do południowej granicy dochodzi obecnie ledwo widoczna linia okopów. Z tej strony można zobaczyć krąg złożony z dziewięciu sporej wielkości kamieni. Kilkanaście metrów dalej zobaczymy punkt triangulacyjny. Obserwując drzewa, możemy zauważyć, że są one posadzone w pewien dość specyficzny sposób, jakby był jakiś schemat. Na niektórych drzewach widać zgrubienie oznaczające, że mogły być oplecione drutem kolczastym. W późniejszych opowieściach głązy, które się tam znajdują, podobno były używane podczas sabatów czarownic. Jeszcze w 1671 roku stała na tym wzgórzu szubie-

nica, na której wieszano skazańców. Od tego stryczka pochodzi jedna z nazw tego wzniesienia. W średniowieczu odbywały się tam również sądy sołeckie i wymierzano chłosty. Podobno z łez niewinnych skazańców powstało wspomniane wyrobisko. Na tym wzniesieniu mieszkał również rzekomo rozbójnik, który posiadał tutaj modrzewiowy zamek z ośmiokątną wieżą.

Po lewej stronie, gdy wracamy, widzimy rozłożysty dąb, na którym, na wysokości około dwóch metrów, wyłobiono inicjały JMMZ oraz powieszono oprawiony w ramkę wiersz miłosny.

Dziś i wczoraj, czyli trochę współczesnej historii

Od około 19 lat we wsi odbywały się co roku festyny, na które z chęcią przychodzili wszyscy mieszkańcy, ale nie tylko. Zawsze przyjeżdżały ważne osobistości reprezentujące władze w Choszczynie, przyjaciele rodzin mieszkających w Radaczewie, a także koleżanki oraz koledzy dzieci. Organizatorzy bezustannie zapewniali dobrą rozrywkę w postaci tańca, loterii, waty cukrowej, dmuchanej zjeżdżalni czy skeczów. Oczywiście nie zabrakło wybornego jedzenia przygotowanego przez mieszkanki wsi: ciasta, pierogów domowej roboty, smacznego bigosu myśliwskiego oraz doskonałego smalcu z ogórkiem, którego nikt nie potrafi zrobić identycznie i wielu napojów. Tradycją się stało, że ognisko, na którym piekły się kiełbaski, rozpałał sołtys wsi. Zabawa trwała do późnych godzin nocnych, a nawet do białego rana. Każdy z każdym rozmawiał, a ludzie integrowali się, choć na jeden wieczór.

Nadszedł ten najbardziej wyczekiwany przez dzieci moment w roku – Święta Bożego Narodzenia. Przyznaję z ręką na sercu, nie znam dziecka, które nie uwielbia dostawać prezentów. Co roku, o tej samej godzinie, w świetlicy odbywała się impreza choinkowa dla dzieci. Wtedy odwiedzał nas „Święty Mikołaj” i wręczał każdemu dziecku prezent, z którego każdy się cieszył.

W czasie jednej z zim zorganizowano kulig. Każdy przynosił swoje sanki, które następnie były doczepiane do poprzednich. W ten sposób powstał długi łańcuch złożony z kilkudziesięciu sań. Cała wieś świetnie bawiła się tej zimy i nikt niczego nie żałował.

W 2014 roku zakończyła się budowa wiaty i placu zabaw, z którego najbardziej radowały się dzieci, w tym także ja. Został także położony nowy dach na świetlicę, która mieści się na piętrze budynku, w którym była kaplica. W późniejszym terminie zostały zakupione bramki na boisko, które jest położone za świetlicą.

W tym samym roku w Radaczewie poprowadzono światłowody od firmy E-Cho, które znacznie ułatwiły nam komunikację. Również w tym samym czasie były kładzione nowe chodniki.

W 2018 roku, na początku jesieni, została otwarta świetlica środowiskowa. Z funduszy gminnych wyremontowano kilka pomieszczeń z drugiej strony budynku, w którym kiedyś była kaplica. Między innymi wygospodarowano miejsce na kuchnię, łazienkę, salę komputerową oraz mały magazynek.

Z opowieści mieszkańców i odrobina diabła

Każdy potrafi powiedzieć coś ciekawego o Radaczewie. Takich ciekawostek zebrałam bardzo dużo. Najlepsze były te wypowiedzi mieszkańców, które pozwoliły mi poszukać w różnych źródłach dodatkowych materiałów.

Boisko mieściło się na początku wsi od strony mostu, na drodze do Sławęcina, a miejscowość zaczynała się właśnie od mostu. W Radaczewie były trzy sklepy. Stołówka mieściła się w zajezdzie. W tym samym budynku odbywały się najlepsze wesela. Koło Gospodyń było wówczas najlepsze w całej okolicy. Na terenie państwa Szablińskich (ruiny domu) był grób, tak przynajmniej myśleli mieszkańcy domu. Pielęgowali go, dopóki nie przyjechali Niemcy i nie wykopali czegoś. Sołtysem zostawał ten, co dawał sobie lepiej radę w życiu. W pierwszych wyborach sołeckich wygrał pan Stefan Szysz. Urzędował on 39 lat. Najdłużej ze wszystkich.

Jak wiemy, nikt nie chciałby zadzierać z diabłem. Samo jego wspomnienie wywołuje u niektórych strach. Ale co by było, gdyby diabeł mieszkał pośród nas? Niejeden z ludzi ma przecież na nazwisko Diabeł, Szatan czy Zmora. Weźmy przykładowo słynny ród szlachecki – ród Czartów (von Zarten). Także na Pomorzu żyli znani ludzie z nazwiskami Diabeł. W 1627 roku na Pomorze przybył z armią szwedzką króla Gustawa Adolfa hrabia z Guntersdorff Maksymilian Diabeł (von Teuffel), który ze swoim oddziałem spustoszył w marcu wieś Dolice i Radaczewo.

Julia

Radaczewo to przepiękna wieś. Nie zamieniłabym jej na żadną inną. Można tu żyć bez internetu i innej elektroniki. Jest idealną miejscowością dla starszych ludzi, którzy chcą odpocząć, ale dla młodszych również. Darem od Boga są cisza i spokój, którymi cieszę się na co dzień. Samo powietrze jest nawet tutaj inne od tego w mieście – świeże i rześkie.

Jednak, aby rozwinąć swoje możliwości i podążać ścieżką kariery, to za mało. Trzeba wyjechać do miasta, by wybić się ponad chmury. Zaistnieć. Jednak nie chcę opuszczać swojej miejscowości jak uciekinier, dlatego zgłębiając historię Radaczewa czuję, że oddaję dług swoim przodkom. Kiedy zdecydowałam się

napisać tę pracę, zaczęła się moja droga po kartach historii. Nie każdy interesuje się wydarzeniami z przeszłości, a ja musiałam zagłębić się w książki i opowieści mieszkańców, by poznać choćby najmniejszy skrawek losów mojej wsi. Nigdy nie przypuszczałam, że tak przyjemnie odkrywać to, co działo się na tych terenach. Wcześniej nie miałam nawet pojęcia o niektórych faktach. Z wielką radością słuchałam opowiadań ludzi. Zawsze na koniec czułam niedosyt. Chciałam więcej i więcej, ale nawet historia w pewnym momencie się kończy. Gdy pisałam tę pracę, nasunęły mi się pewne myśli. Co by było, gdyby to wszystko się nie wydarzyło? Jak wyglądałaby wieś? Czy by istniała? Jacy byliby ludzie? Niestety, tego nigdy się nie dowiem.

Aleksandra Wyszczelska

godło: „papierowa dziewczynka”

Droga ku wolności

Rok 1944

– Mario, Marysiu – głos ojca wybudza mnie z głębokiego snu.

– Jeszcze chwilę, ojciec... – Obracam się na drugi bok.

– Co ona tu jeszcze robi?! – Do pokoju wpada Franek. – Nie możemy zwlekać.

– Co się dzieje? – pytam zdezorientowana. – Idą tu. – odpowiada lakonicznie mój brat.

– Kto?

Wtedy podążam za jego wzrokiem i wyglądam przez okno. Widzę pobłyskujące w oddali pochodnie.

Rok 1945

– Spakowałaś się, Marysiu? – pyta Franek.

Spoglądam na dwie skromne walizki u nóg łóżka. To cały mój dobytek. Wszystko, co mi zostało.

– To już wszystko, Franiu – odpowiadam.

– Jesteś pewna? Wiesz, że nie będziemy mogli tu wrócić.

– Na pewno. Nie mam nic więcej.

– W takim razie chodźmy.

Biorę walizki i wychodzę za bratem na świeże powietrze. Ostatni raz oglądam się na dom i czuję w sercu ogromną pustkę. Oczy mnie pieką, ale nie pozwalam sobie na łzy. Jeszcze nie teraz.

Wsiadamy na furmankę. Franek już wcześniej zaprzął konie. Chwytam za lejce. Ruszamy. Najbliższa stacja kolejowa znajduje się w Tarnopolu. Tam też zmierzamy.

Rok 1944

– Schowajcie się w piwnicy. Kocham was, moje dzieci – matka najpierw całuje mnie, a potem brata.

– Nie wychodźcie, choćby nie wiem co – ojciec otwiera nam drzwi. – Bądźcie dzielni.

Słyszę śmiech i głośne rozmowy z zewnątrz. Ukraińcy są coraz bliżej. Franek ciągnie mnie za sobą do ciemnej piwnicy. Zbiegamy po schodach i chowamy się w starej szafie. Pamiętam, że gdy nie chciałam pomagać mamie, ojciec straszyl mnie, że za karę będzie mnie w niej zamykał. Potwornie się jej bałam. Co za ironia, że jest moim jedynym schronieniem.

Rok 1945

W Tarnopolu jest mnóstwo ludzi. Tłoczą się na ulicach i każdy z nich zmierza w tę samą stronę – na stację. Stąd można wyjechać do całkiem nowego miejsca. Wydaje mi się, że to właśnie ta perspektywa wydaje się ludziom kusząca. Jeszcze można zacząć wszystko od początku. Można zapomnieć o tym, co się tu wydarzyło, zostawić to miejsce i wspomnienia za sobą.

Gdy jesteśmy na miejscu, Franek pomaga mi zsiąść z wozu i podaje bagaże. Żegnam się z końmi – całuję każdego z nich, po czym z żalem oddaję je Ukraińcom. Z początku pozwalano przewozić do Polski zwierzęta. Nieraz widziałam, jak ludzie idą przez wieś z krowami czy końmi. Teraz bardzo często poddają zwierzęta kwarantannie. Podobno wśród nich panuje tyfus. Nie wiem, kto wymyślił taką głupotę, ale przez nią tracę sporą część dobytku. Ja i wszyscy, którzy przyszli dziś na pociąg.

Franek ciągnie mnie dalej i wkrótce siadamy wśród tysiąca innych ludzi przy torach. Kurczowo zaciskam ręce na swoim bagażu – chwila nieuwagi i mogę stracić również to. Brat upomina mnie, ale go nie słucham. Skupiam się na szumie wiatru, obserwuję bezchmurne niebo i cieszę się promieniami słońca, które oświetlają mi twarz. Niedługo potem na moim czole pojawiają się krople potu. Temperatura stale rośnie, ale nie przeszkadza mi to. Uwielbiam gorące dni, a ten właśnie do takich należy.

Po trzech godzinach robię się spragniona. Po dwóch kolejnych mam ochotę coś zjeść. Gdy upływa kolejne sześćdziesiąt minut, wszystko mnie boli od siedzenia w jednej pozycji na twardym podłożu. Wreszcie, kiedy mija dziewiąta godzina czekania, pociąg nadjeżdża. Odruchowo wstaję i przeciskam się przez tłum, nie czekając na brata. Wyglądam na tory i widzę nadjeżdżający skład. Konduktor już wystawia głowę przez okno i gwizdże, abyśmy się odsunęli. Wszyscy

robią duży krok w tył, deptając się przy tym po stopach. Nikt nie narzeka. Każdy jest uradowany przyjazdem pociągu. Przynajmniej w moim odczuciu.

Czuję na ramieniu dłoń Franka. – Już prawie się udało, Marysiu – szepcze mi do ucha.

Rok 1944

Za każdym razem, kiedy słyszę krzyk mamy, przechodzi mnie dreszcz. Franek mocno ściska moją rękę. W pewnym momencie wyrrywam mu się, bo wydaje mi się, że zaraz połamię mi wszystkie palce. On uderza mnie w ramię i każe mi być cicho. Po tym znowu milknie, ale już mnie nie dotyka. Z każdą kolejną chwilą jest coraz gorzej. Słyszę śmiech Ukraińca, płacz matki, błaganie ojca, krzyki... wszystko zlewa się w jedno. Zaciskam uszy i chowam głowę między kolana, bo czuję, że i ja zaraz wybuchnę. Franek cicho sapie pod nosem. Wiem, że ledwo się powstrzymuje. Chce pomóc rodzicom, ale ojciec kazał mu mnie chronić: – Synu, nadchodzi wojna. Musisz mi przyrzec, że ochronisz Marysię za wszelką cenę. Mnie i mamy może kiedyś zabraknąć, a wtedy ona będzie miała tylko ciebie. Obiecuj mi.

Obiecał.

Rok 1945

Nigdy nie jechałam pociągiem aż do teraz. W naszym wagonie jest pełno ludzi, ale każdy z nas znajduje sobie kącik dla siebie. Układam walizki jedna na drugiej, robiąc sobie z nich siedzenie. Franek przystaje obok mnie i uśmiecha się pod nosem, kiwając z niedowierzenia głową. – Co jest? – pytam go, a on tylko wskazuje na dokumenty, które wystają mi z kieszeni płaszcza. Przykładam palec do ust, przypominając mu, że to tajemnica. Chłopak w odpowiedzi wzrusza ramionami, ale uśmiech nie schodzi mu z twarzy.

Niezły przekręt – w duchu przyznaję Frankowi rację. Czuję, jak cały stres ze mnie spływa. Mój los nie był pewny aż do tej chwili. Gdyby na stacji zorientowali się, że nie jestem tym, za kogo się podaję, nie wyjechałabym stąd. Trafiałabym do sierocińca albo do obcej rodziny. Mam tylko 16 lat. Nie pozwoliliby mi wyjechać razem z Frankiem. Musieliśmy coś wykombinować.

Na szczęście udało mi się zwinąć dokumenty mamy. Od najmłodszych lat ludzie mówili mi, że wyglądam tak jak ona i że kiedy podrosnę, będziemy jak dwie krople wody. Wystarczył makijaż, schowane pod chustką jeszcze długie włosy i odpowiednia sukienka. I proszę – oto jestem mamą. A raczej Bronisławą Kłos, Bronką. Dorosłą kobietą.

Jej tożsamość daje mi drugie życie. I mimo że mam wyrzuty sumienia za podzwywanie się pod nią, cieszę się, że to zrobiłam. Z każdym kilometrem coraz bardziej oddalam się od domu, od rodziców i od siebie. Tak, zostawiam za sobą Marię Kłos. Powiem wszystkim, że zginęła, tak jak to robiłam do tej pory.

Rok 1944

Nie wiem, jak długo tu siedzimy. Czuję, że krew z rozciętej wargi już zaschła na mojej brodzie. To chyba znaczy, że długo. Na oślepie szturcham Frania. Ten łapie mnie za rękę i pisze na niej: „Jeszcze nie”, zupełnie jakbyśmy byli beztroskimi dziećmi, bawiącymi się z nudów. Mam ochotę mu coś odpisać, ale wtedy otwierają się drzwi piwnicy. Przez szparę w szafie widzę światło. Ktoś tu idzie. Zamieram. Czuję, jak Franek sztywnieje. Mocno ściskam jego dłoń z nadzieją, że Bóg się nad nami zlituje.

– De vy, dity? – słyszę skrzeczący głos Ukraińca.

On wie, że tu jesteśmy. Jestem tak przerażona, że z trudem oddycham. Trzymam się za gardło i łapię hausty powietrza. Strużka potu spływa mi po plecach. Czuję, że się duszę.

Franek łapie mnie za rękę i szybko pisze: „Przeżyj” na moim przedramieniu. Chcę na niego spojrzeć, ale jest zbyt ciemno, nie widzę jego twarzy. Nie wiem, czy się boi. Nie wiem, czy się uśmiecha. Nie wiem, czy płacze. Brat po raz ostatni mnie dotyka i ku mojemu zaskoczeniu wyskakuje z szafy. Drzwi zamykają się za nim z hukiem, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Słyszę, jak Franek wbiega po schodach, a za nim pędzi Ukrainiec, wykrzykując przekleństwa w swoim języku. Wiem, że brat nie ma szans. Na górze złapią go inni. A jednak trzymam się kurczowo tej nadziei i modlę się, żeby Franek zdołał uciec.

Rok 1945

– Stacja końcowa! Stacja końcowa! Proszę wysiadać! – głos konduktora niesie się po peronie.

W moim wagonie została nas garstka. Większość osób wysiadła w Opolu. Teraz jesteśmy we Wrocławiu. Patrzę na Franka, a on tylko wzrusza ramionami.

– Nie chcesz tu zostać? – pyta.

– Nie wiem – odpowiadam.

Zaczynam przechadzać się po pustym już wagonie i próbuję myśleć. Wrocław podobno był pięknym miastem. Teraz potrzebują tu osób chętnych do pomocy w odbudowie, tak samo jak w stolicy. Warszawa została zniszczona w ponad 80%, natomiast Wrocław prawie w 70%.

– Czy chcemy się w to pakować, Franiu? – pytam go. – A może pojedziemy gdzieś dalej...?

Nagle słyszę odgłos kroków i moim oczom ukazuje się konduktor.

– Co pani tu jeszcze robi? To ostatnia stacja – wyjaśnia. – Niedługo odjeżdżamy.

– Dokąd?

– Do Szczecina. Co najmniej osiem godzin jazdy!

– To bardzo daleko – przyznaję. – Myśli pan... mogłabym się z wami zabrać?

– Chce pani jechać do Szczecina? – pyta zaskoczony. – Nie mamy oficjalnego nakazu, żeby przewozić tam ludzi z Kresów...

– Nie może pan zrobić wyjątku? – ładnie się uśmiecham. – Nikt się nie dowie, a mi bardzo na tym zależy...

– Ja... – konduktor robi się czerwony. – Zobaczą, co da się zrobić, ale niczego pani nie obiecuję. Proszę tu poczekać.

– Dziękuję ślicznie – odpowiadam i siadam z powrotem na walizkach.

Kiedy konduktor odchodzi, słyszę śmiech brata. – Oczarujesz każdego, Marysiu.

– Bronka – poprawiam go. – Teraz jestem Bronka.

Oboje wybuchamy serdecznym śmiechem.

Rok 1944

Głosy powoli cichną. Czekam na odpowiedni moment, ale prawda jest taka, że boję się wyjść. Ta ciemna, stara szafa nagle staje się moim sojusznikiem – schronieniem. Jestem tu bezpieczna i za nic w świecie nie chcę stracić tego poczucia.

Przypominam sobie dotyk Franka, żeby dodać sobie otuchy. – Przeżyj – powiedział. Sam uciekł, ale wiem, że zrobił to, by mnie ochronić. Jestem mu to winna. Muszę spełnić jego ostatnią wolę.

Kiedy jestem już prawie pewna, że dom jest pusty, powoli wychodzę z szafy. Kieruję się na schody i trzymając się poręczy, zaczynam się wspinać. O ile wcześniej tego nie zauważyłam, teraz wyraźnie to czuję. Charakterystyczny zapach unosi się w powietrzu. Po chwili już rozumiem, co się dzieje. Zaczynam biec. Z hukiem otwieram drzwi i wpadam na parter. Zanoszę się kaszlem, ale nie zatrzymuję się ani na moment. Wbiegam do salonu, a tam zastaję widok, którego nie będę mogła się pozbyć do końca moich dni. W różnych częściach pokoju leżą szczątki ojca. Matka zaś... jej ciało jest zmasakrowane. Wnętrznosci wylewają się z jej brzucha. Zalana krwią twarz opada na lewą stronę, przez co mam wrażenie, że się we mnie wpatruje.

Kilka metrów ode mnie spada pałąca się belka. Pomieszczenie coraz bardziej wypełnia się dymem, co odciąga mnie od rodziców. Z powrotem wybiegam na korytarz i tym razem kieruję się do schowka. Chowam nos pod koszulą, żeby nie nawdychać się dymu. Oczy mnie pieką, stopy parzą, ale brnę przed siebie. Ze schowka udaje mi się wyciągnąć torbę. Teraz mogę uciekać.

Ogień odcina mi drogę do głównych drzwi. Biegnę więc do sypialni, którą dzieliłam z bratem. Na szczęście udaje mi się tam dostać. Pospiesznie otwieram okno i przrzucam torbę. Słyszę jak ogień się podsyca, ale przestaje mi już zagrażać. Wskakuję na zewnątrz, biorę rzeczy i uciekam samotnie w ciemny las. Płonący dom zostawiam za sobą.

Rok 1945

Konduktor bierze moje bagaże i pomaga mi zejść. – Proszę za mną – mówi. Zerkam na Frania i kiedy upewniam się, że jest tuż za mną, podążam za mężczyzną. Prowadzi nas przez zatłoczony peron na przód pociągu. Wchodzę za nim do kabiny maszynistów i witam się z nimi. Franio staje pod ścianą. Nie lubi rozmawiać z obcymi, a im to na szczęście nie przeszkadza. Przeważnie.

– Chłopaki – zaczyna konduktor – podwieziemy panienkę do Szczecina? Nie ma oficjalnego pozwolenia. Wiecie, jest z Kresów...

– Nie podoba się pani Wrocław? – pyta maszynista.

– Nie bądź głupi, Wiesiek. Co taka ślicznotka ma robić na gruzowisku?

– Pozwól pani odpowiedzieć, Marian.

– Nie chcę wam robić kłopotu, panowie – silę się na uroczy głosik. – Chcę się znaleźć jak najdalej od stron, w których mieszkałam. Wojna nas nie oszczędziła...

Wszyscy kiwają ze zrozumieniem głowami. Widzę w ich oczach błysk współczucia. Czyżby mi się udało?

– Weźmiemy panią – mówi pierwszy maszynista, chyba Wiesio. – Tylko nikt się nie może dowiedzieć. Posiedzi pani tu z nami aż do samego Szczecina, dobrze?

– Dziękuję panom – obdarzam ich pięknym uśmiechem.

Wszyscy trzej robią się czerwoni.

– Cóż, mogę życzyć tylko przyjemnej podróży. Do zobaczenia, chłopcy – konduktor udaje się z powrotem na peron.

Maszyniści wracają do swojej pracy, przygotowują pociąg do odjazdu. Ja natomiast układam swoje walizki i siadam na nich wygodnie. Franio od razu pojawia się przy moim boku.

– Nie wierzę w to – szepcze. – Jedziemy do Szczecina.

– Wiem – uśmiecham się pod nosem. – Jak na razie dopisuje nam szczęście. Już niedługo, Franiu, rozpoczniemy nowe życie w idealnym miejscu.

Rok 1944

Nie potrafię opisać swoich uczuć. Tyle ich się nagromadziło. Jestem przerażona, smutna, zła. W głowie pozostaje mi widok martwych ciał rodziców, zwłaszcza oczu matki. Mam wrażenie, że nieustannie mnie obserwują. Czuję, że ktoś jest tuż obok, ale gdy się obracam, nic za mną nie ma. Jest tylko ciemny las. Drzewa rzucają cienie o nieregularnych kształtach, które przypominają mi o bliskich. Słyszę szelest liści, pohukiwanie sowy. Panuje potworny chłód, a ja jestem ubrana wyłącznie w koszulę nocną, w dodatku nie mam na stopach butów. Brnę przed siebie, pamiętając o słowie Franka – „Przeżyj”.

Jak na zawołanie słyszę jego głos. – Marysiu – woła. W pierwszej chwili myślę, że śnię. Jednak kiedy jego obraz nie znika, wiem, że to prawda. Franek wrócił... jest przy mnie. Widzę jego niesforne blond loczki, które spływają na jego czoło. Gdy się uśmiecha, w policzkach robią mu się dołeczki. Chłopak znowu wypowiada moje imię i wyciąga do mnie dłoń.

– Franiu – szepczę i mdleję, wpadając prosto w jego ramiona.

Rok 1945

– Proszę pani – ktoś potrząsa moje ramię. – Dojeżdżamy.

Wybudzam się z krótkiej drzemki. Jestem niewyspana i obolała po wielu godzinach podróży, ale szczęśliwa. Wyglądam przez okno pociągu i ze zdumieniem stwierdzam, że przebyliśmy rzekę.

– To Odra – wyjaśnia jeden z maszynistów, chyba Marian. – Jesteśmy już w mieście.

Franek obserwuje widok z zaciekawieniem, ja natomiast zagaduję mężczyznę.

– Z tego, co widzę, w Szczecinie też odbywały się walki.

– Cała Polska ucierpiała, proszę pani – mówi Wiesio. – Nawet po przesunięciu granic musimy się bić o nasze ziemie! Ruscy zebrali armię i z Batowem na czele wkroczyli do miasta!

– 5 lipca przekazano nam miasto – wtrąca Marian. – Teraz jest nasze.

– Nasze to będzie, jak ruscy się wyniosą – prycha Wiesiek.

– Dajże spokój...

Maszyniści nie zaprzestali na tym i ciągnęli dyskusję aż do przyjazdu na stację. Franek przewrócił oczami, jakby był podirytowany. Skarciłam go w duchu. Ci ludzie bardzo nam pomogli. Musimy okazać im wdzięczność.

Kiedy pociąg zatrzymuje się ze świstem, jesteście gotowi. Żegnam maszynistów całusem w policzek i dziękuję im na pomoc. Oni życzą mi powodzenia i kierują, gdzie mam się zgłosić, żeby dostać mieszkanie. Biorę swoje walizki i z bratem u boku wyruszam w miasto.

Rok 1944

Dni mijają, a my włóczymy się po okolicznych wioskach. Niektórzy rzucają nam coś do jedzenia. Chowam to wtedy do torby, żeby było na później. Większość ludzi boi się nam pomagać. Polacy chowają się po domach lub wyjeżdżają w siną dal. Ukraińcy nie dają nam spokoju. Często podczas nocowania w lesie widzę kłęby dymu i palące się w oddali domy. Nas wszystkich spotkał taki sam los.

Z początku niewiele się odzywam. Nie jestem w stanie. To Franek zabawia mnie mówieniem. Opowiada głupawe historyjki, byleby nie myślała o naszych rodzicach. Pomaga mi w zagadywaniu przechodniów. Kiedy jest obok, jest mi jakoś raźniej. Czuję, że nie jestem z tym wszystkim sama.

Pewnego dnia nadarza się okazja. W ostatnim czasie zawędrowaliśmy daleko na południe. Osiedliliśmy się w małej wiosce niedaleko Tarnopola. Tam zdołała dotrzeć armia i wypędziła Ukraińców, więc nie zmasakrowali całej wioski. Większość ludzi wyszła tu bez szwanku. Kiedy zobaczyli, że włóczymy się po wiosce bez celu, zaproponowali pomoc. Zamieszkaliśmy w domu starszej pani. Oczywiście, musieliśmy jej pomagać w gospodarstwie. Przez wiele dni ciężko pracowałam, ale Franio zawsze był blisko mnie. Nie opuszczał mnie ani na chwilę.

Pod koniec roku kobieta zmarła. Nie miała żadnej rodziny, więc dom został dla mnie. Miejscowi nie mieli z tym problemu i często przynosili mi mleko czy chleb. Pilnowali, żebym nie głodowała. Oczywiście, nie wiedzieli, że byłam niepełnoletnia. Przedstawiłam się jako Bronisława Kłos – wdowa. W torbie, którą udało mi się uratować z domu były dokumenty rodziców. Opowiedziałam niektórym moją historię, ale pozmiaśniałam fakty. Powiedziałam, że moja córka zginęła, kiedy w rzeczywistości to ja nią byłam. Wszyscy mi uwierzyli. I wszyscy chcieli pomóc.

Rok 1945

Zapisuję się w urzędzie. Obdarzam pracownika pięknym uśmiechem, więc stara się mi pomóc, jak tylko potrafi. Daje mi do podpisania kolejne papiery. Wkrótce mam załatwione mieszkanie. Co prawda dwupokojowe i na skraju miasta, ale nie narzekam. Cieszę się, że znalazło się dla mnie miejsce. Urzędnik poleca mi szybkie znalezienie jakiejś pracy. Podobno jest teraz wiele możliwości.

– Dziękuję panu – mówię. – Na pewno coś dla siebie znajdę.
– Życzę szczęścia – przygląda mi się przez chwilę. – Da się pani zaprosić na kolację?

– Może jutro – odpowiadam. – Dzisiaj muszę się pożegnać z bratem.

– Wyjeżdża? – pyta.

– On nigdy tu nie przyjechał – wyznaję.

– No dobrze – wzdycha. – Mam nadzieję, że jutro się zobaczymy.

– Ja także. Do widzenia panu.

– Do zobaczenia.

Wychodzę na świeże powietrze. Trzymam swoje dwie walizki, a w kieszeni płaszcza brzęczy klucz do nowego mieszkania. Idę wzdłuż rzeki i patrzę na zachodzące słońce. Po raz pierwszy od dawna jestem naprawdę sama. Już nie czuję jego obecności ani go nie widzę. Franek odszedł.

Nigdy się nie dowiem, co się z nim stało. Może spłonął w domu razem z rodzicami. Może Ukraińcy go gdzieś wywelekli i zabili. Może zdołał uciec i układa sobie teraz życie w innym miejscu. Jednego jestem pewna: on chciałby, żebym zaczęła nowe życie. I dzięki niemu to się udało. Pomógł mi przetrwać najstraszniejsze chwile w życiu. Teraz, kiedy jestem w Szczecinie, bardzo daleko od tamtych ziem, czuję się na siłach, żeby go pożegnać. Tutaj będę bezpieczna, a może nawet szczęśliwa.

– Żegnaj, Franiu – mówię. – Dziękuję.

■ ROK 2020

„Korowód pokoleń”

Każde pokolenie ma własny czas.

Jacek Cygan (1950–), *Pokolenie*

*Każde pokolenie wyobraża sobie,
że jest inteligentniejsze od poprzedniego
i mądrzejsze od tego,
które po nim nastąpi.*

George Orwell (1903–1950)



Jury zrezygnowało z przyznania nagród w kategorii szkoły podstawowe.

Wyróżnienia przyznane w kategorii szkoły podstawowe za prace:

„Korowód pokoleń” dla Marcela Bugaja ze Szkoły Podstawowej im. Władysława Broniewskiego w Mielęcinie (opiekun: Stanisława Terelak-Żmuda)

„Pradziadek” dla Jakuba Szwechłowicza ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Dębnie (opiekun: Joanna Białek)

Nagrody i wyróżnienia w kategorii szkoły średnie:

I nagroda za pracę:

„Korowód pokoleń” dla Aleksandry Wyszczelskiej z I Liceum Ogólnokształcącego w Stargardzie (opiekun: Beata Podleśna)

II nagroda za pracę:

„Losy rodziny Antoniego” dla Oliwii Lantas z Zespołu Szkół nr 1 w Dębnie (opiekun: Joanna Sołtys)

III nagrody nie przyznano

wyróżnienia za prace:

„Przez żołądek do serca” dla Julii Nalewskiej z Zespołu Szkół nr 2 w Choszczynie (opiekun: Piotr Figas)

„Z domowych archiwów. Losy mojej kresowej rodziny na tle wielkich przemian politycznych XX wieku” dla Michała Witkowskiego z Zespołu Szkół nr 1 w Dębnie (opiekun: Joanna Sołtys)

Aleksandra Wyszczelska

godło: „papierowa dziewczynka”

Korowód pokoleń

Rok 1945

Stara ciemna szafa. Największy lęk z dzieciństwa. I przekonanie, że tylko tam mogę się schronić. Zerkam po raz ostatni na schody, ale wiem, że nie mogę się po nich wdrapać. Coś mi podpowiada, że prowadzą one do p i e ł a. Wybór staje się oczywisty. Otwieram ciężkie drzwi drewnianej szafy. Wskakuję do środka i otulam się ciepłym, zimowym płaszczem ojca. Wtedy czuję, że coś chwytą mnie za nogę. Silna dłoń zaciska mi się na kostce i próbuje wyciągnąć mnie na zewnątrz. Krzyczę, ile sił w płucach i próbuję się wyrwać. W końcu znajduję słaby punkt napastnika i udaje mi się oswobodzić nogę. Korzystam z jego chwili nieuwagi i zamykam drzwi szafy. Wtedy przestają cokolwiek słyszeć. Otacza mnie ciemność i znajomy zapach bezpieczeństwa. Jestem bezpieczna, powtarzam sobie w głowie, jestem bezpieczna...

Rok 2000

– Babciu, babciu, a opowiesz nam jeszcze raz...

– Kasiu, idź posprzątaj te zabawki, tak jak mama cię prosiła...

– Uwaga, niosę gorący barszcz!

– Na stole już nie ma miejsca, trzeba zdjąć misę z pierogami...

W wigilijną kolację jak zwykle panuje zgiełk i wrzawa. Siedzę w swoim ulubionym fotelu i patrzę, jak moje dzieci, wnuki i dwie prześliczne prawnuczki krzątają się po salonie. Jest nas dosyć sporo, bo aż dwanaście osób i miejsca powoli nie starcza. Dalej mieszkam w tym samym mieszkaniu w Szczecinie przy ul. Tkackiej, jeszcze za mojej młodości określanej ulicą Księcia Przemysława. Kamienica nieco się zmieniła – ze względu na niezbyt dobry stan była poddawana remontom. Zresztą było tak ze wszystkim w Szczecinie. Wojna go

nie ominęła – 70% zabudowy miasta było w gruzach. Szczecin przeżył naloty bombowe aliantów, ale wyszedł z tego w kiepskim stanie. I to my – przesiedleni Polacy – mieliśmy go odbudować.

Ostatecznie udało się. Po wielu latach trudów, mimo polityki stalinowskiej, która nie ominęła naszych terenów, potem czasów PRL-u, krwawych strajków w stoczni szczecińskiej, stanu wojennego, odrodziliśmy się, a Polska razem z nami.

– Mamo, mamo, widzę pierwszą gwiazdkę na niebie! – krzyknęła prawnuczka.

– W takim razie nadszedł już czas. Mamo, dołącz do nas – zwrócił się do mnie mój syn. – Podzielmy się opłatkiem.

Rok 1945

Poniedziałkowy poranek wigilijny nie zaczął się dla mnie pomyślnie. Całą noc dręczyły mnie koszmary. Ciągłe śni mi się ta szafa. Upiory z przeszłości nie odpuszczają; atakują wtedy, gdy jestem najbardziej bezbronna i osamotniona – we śnie. Każdego dnia z nimi walczę. Każdego dnia próbuję uśmiechnąć się do siebie w lustrze w mojej malutkiej, zaledwie pięciometrowej łazience, żeby dobrze zacząć dzień. Kiedy przyglądam się sobie, czasem próbuję dojrzeć dawną siebie – jeszcze dziewczynkę o zupełnie innym imieniu z rumieńcami na twarzy, okrągłą uśmiechniętą buzią i dwoma długimi warkoczami. Po niej nie pozostało jednak ani śladu. Nawet moje oczy, kiedyś tak błyszczące i żywe, teraz wyglądają, jakby zgasty. Przez ostatnie miesiące, które spędziłam w Szczecinie, mocno wysmuklałam, zaczęłam wyglądać znacznie poważniej. Pięgi na nosie prawie nie były już widoczne – życie w mieście wiązało się z niespędzaniem czasu na słońcu. Skóra również mi pobladła, co dodatkowo podkreślało cienie pod oczami po nieprzespanej nocy. Na szczęście jest na to sprawdzony sposób. Okłady z herbaty i rumianku. Nie miałam co marzyć teraz o owocach. W lipcu zaczął się wielki głód. Jesienią w całej Polsce brakowało chleba. Ciężko było o podstawowe produkty. Sytuacja nie zmieniła się na lepsze. Tegoroczna Wigilia odbędzie się bez wystawnej kolacji.

Kiedy wychodzę z mieszkania, zastaję ten sam widok, co zawsze – zniszczone Stare Miasto. Tylko 35% zabudowy zachowało się w stanie, który określano mianem „dobry”. Moja kamienica jest jedną z nich. Większość budynków dalej pozostaje niezamieszкана, a prace cały czas trwają. Przez pierwsze miesiące zajmowaliśmy się zbieraniem cegieł. Tak zarządził prezydent Zaremba. Zbieraliśmy cegły z ruin Starówki, które były transportowane do północnej i centralnej Polski. Za jedną sztukę Szczecin zarabiał jakieś 70 groszy, ale pieniądze bardzo nam się przydawały.

Wszyscy byli też chętni, żeby pomóc. Każdy Polak angażował się w prace mniej lub bardziej. Wiedzieliśmy jednak, że sami musimy zapracować na nową Polskę i myślę, że każdy z nas chciał zostawić swoim dzieciom trochę lepszy świat.

Ja też chciałam.

Rok 2000

Kolacja przebiega tak jak zawsze. Właściwie prawie jak zawsze, bo brakuje jednej osoby... Ale cieszę się, że rodzina dalej mnie odwiedza i że kontynuujemy nasze tradycje. Moi dwaj synowie z żonami siedzą po mojej lewej i prawej stronie. Dalej siedzą moje trzy wnuczki (dwie są już zamężne) i dwie cudowne, małe prawnuczki. Razem tworzymy dwunastoosobową, wielopokoleniową rodzinę. Kiedy siedzę u szczytu stołu i widzę zyczliwe uśmiechy dookoła, dziewczynki śpiewające kolędy, których nauczyły się w przedszkolu, wnuczki kłócące się o dorodny kawałek karpia w rumianym sosie z rodzynkami i synowe zachwycające się pierogami z kaszą, których raczej w Szczecinie się nie jadało, za to na wschodzie jak najbardziej, cieszę się, że dałam życie tej wspaniałej gromadzie. Czuję się niemal dumna, jakbym przyczyniła się do czegoś dobrego dla świata. Razem z mężem staraliśmy się dobrze wychować dzieci. Staraliśmy się przekazać im najważniejsze wartości, którymi powinni się w życiu kierować. Chcieliśmy im zapewnić bezpieczny, pełen miłości dom, taki, który mieliśmy jeszcze przed wojną. Wojna zmieniła świat, zmieniła ludzi. Musieliśmy zadbać o przyszłe pokolenia, żeby taka historia już nigdy więcej się nie powtórzyła. To było naszym obowiązkiem.

– Mamo, potrawy wyszły jak zwykle przepysznie – mówi moja synowa.

Wiele potraw z mojego dzieciństwa przenieśliśmy na ten stół, tak samo jak część tradycji. Opłatek dalej smaruję miodem. Z kutii i pierogów z kaszą również nie zrezygnowałam. Te dania sprawiają, że znowu czuję się jak w domu, tam na Kresach, i chcę to przekazać moim dzieciom. Chcę coś po sobie pozostawić. Bo tak jak każdy z nas boję się zapomnienia.

Rok 1945

– Witaj, kochana! – Tadeusz wita mnie, całując w dłoń. – Idziemy?

– Oczywiście – biorę mężczyznę pod rękę i ruszamy ulicą.

Przedarcie się przez gruzy Starego Miasta, kiedy wszystko jest oblodzone, było nie lada wyzwaniem. Panuje czas srogiej zimy. Większość kamienic i mieszkań nie ma szyb w oknach. Trzeba łątać je, czym się da. Co prawda w tym miesiącu do Szczecina przyjechały dwa wagony z surowcami, jednak nie wystarczyło ich nawet dla

jednej trzeciej miasta. Problem był również z ciepłą odzieżą. Kiedy osiedlałam się w Szczecinie, panował letni upał. Nie wzięłam ze sobą nic na zimę. Na szczęście znajomości w mieście się przydały. Dzięki Tadeuszowi otrzymałam zaopatrzenie do mojego mieszkania i komplet ubrań.

– Kurier Szczeciński! Kurier Szczeciński!

Gazety są obecnie naszym, jedynym źródłem informacji. Codziennie czekam z wytęsknieniem na nowe wiadomości. Nie zawsze gazeta się pojawia i nie zawsze wychodzę z domu, jednak, kiedy spotykam kuriera z nowym wydaniem, zawsze rzucam mu parę groszy i biorę kopię.

– Poczekaj sekundę – rzucam do Tadeusza i ruszam w stronę chłopca. – Poproszę jedną gazetę...

Chłopiec jednak nie reaguje na moje słowa. Stoi wpatrzony w jeden punkt na ziemi. Kiedy podchodzę bliżej, dostrzegam to, co on. Zwłoki. Na ulicy, częściowo pod gruzami jednej z kamieniec, leży ciało młodej kobiety. Stoję jak oślepiała. Ten widok wywołuje u mnie falę wspomnień. Rok 1944... masakra na Wołyniu... Przez moją głowę przelatuje mnóstwo obrazów z tamtego mrocznego okresu. Najgorsze jest to, że nie jestem w stanie się ruszyć. Stoję oślepiała i wpatruję się w zielone oczy młodej kobiety.

– Bronka – Tadeusz ciągnie mnie za ramię – nie patrz na to.

Mężczyzna zastania mi oczy ręką i odprowadza na bok. Podchodzi też do chłopca i widzę, że mówi mu kilka słów otuchy. Kiedy wraca do mnie, jestem już bardziej opanowana.

– Na ulicach jeszcze nie jest bezpiecznie...

– Przecież wojna się skończyła – to jedyne, co jestem w stanie powiedzieć.

– Wojna dalej trwa – odpowiada Tadeusz – ale w naszych głowach.

Rok 2000

Zbliża się północ. Dziewczynki uparcie siedzą przy choince, nie dając zasnąć mojemu biednemu kotu, przekonane, że równo po dwunastej przemówi ludzkim głosem. Wyglądają na zadowolone z prezentów: Kasia nie chce zdjąć stroju księżniczki, a Karolina siedzi otoczona kucykami z serii „My Little Pony”. Dorosli zostali przy stole, pijąc kolejną już lampkę mojego piętnastoletniego wina. Ja sama wróciłam do ulubionego fotela, żeby choć trochę dać upust obojętnemu kręgosłupowi. Podczas gdy przy stole toczy się gwarne jeszcze rozmowa, ja słucham kolęd, puszczonej w radio. Akurat leci *Cicha noc*. Mruczę z dezaprobatą. Chciałam posłuchać polskich kolęd. Pamiętam jeszcze, jak za moich czasów młodości, podczas świąt, śpiewało się zupełnie inne pieśni, chociażby

W złobie leży. Tekst przypisuje się Skardze, którego twórczość i działalność jest związana ze Lwowem. Teraz to piękne miasto leży na terenie Ukrainy – a ja boję się je samotnie odwiedzić. Niestety, każda z osób, które chciałabym, żeby mi towarzyszyły, już nie żyje.

– Mamo? – słyszę głos zwracający się w moją stronę. – Chodź do nas. Powspominajmy tatę.

– Jak wy się właściwie poznaliście z dziadkiem? Przecież ty pochodziłaś z Kresów, on z Mazowsza – odzywa się wnuczka.

– No dobrze – odwracam się w stronę patrzących na mnie dziewięciu par oczu. – Poznaliśmy się dokładnie 55 lat temu, to był rok 1945...

Rok 1945

Podczas wędrówki po zatłoczonym wówczas Szczecinie oboje nie wypowiadamy ani słowa. To był trudny poranek. Czuję, że Tadeusz poruszy ten temat przy stole, kiedy już znajdziemy się w jego bezpiecznych czterech ścianach. Nie wiem tylko, jak mam się zachować. Nie lubię się zwierzać. Nie lubię rozmawiać o wojnie. Nie jestem jeszcze gotowa, żeby się przed kimś otworzyć. Nawet przed nim, chociaż zaczynam obdarzać go zaufaniem... Tadeusz jest jedyną osobą, z którą utrzymuję stały kontakt, nie licząc ludzi, z którymi pracuję. Pomógł mi osiedlić się w Szczecinie. To on dał mi klucze do mojego małego mieszkania przy Księcia Przemysława. Dał mi nowy początek... i zaproszenie do spędzenia razem wigilijnej kolacji. Z początku nie chciałam obchodzić świąt Bożego Narodzenia. Kiedy jednak dowiedziałam się, że on również spędzi je sam, przystałam na jego propozycję. Razem mogliśmy być mniej samotni w tym obcym jeszcze dla nas mieście.

Kiedy docieramy na plac Grunwaldzki, widzę inny świat. Tutaj Polacy poruszają się niemal swobodnie – nie przechodzą szybko ulicą, byle jak najszybciej znaleźć się z powrotem w mieszkaniu. Kobiety nie rozglądają się na boki i niekiedy nawet poruszają się samotnie, nie w grupkach, jak w pozostałej części miasta. Plac wydaje się być centrum kulturalnym Szczecina – uniknął alianckiego bombardowania i jest prawdziwym miejscem do zgromadzeń Polaków. Szkoda, że tak rzadko tu bywam.

Tadeusz prowadzi mnie zręcznie na ulicę Śląska. Zaczynam się denerwować. Jeszcze nigdy nie widziałam jego mieszkania. Niepokoję się też samą kolacją. O czym będziemy rozmawiać? Co będziemy jeść? Czy spędzimy miło razem czas? Czy widmo przeszłości, które dalej nad nami ciąży, nie zepsuje tego, co razem tworzymy? Tadeusz chyba zauważa, że odplynęłam myślami, bo cicho pochrząkuje, próbując zwrócić na siebie uwagę.

– Jesteśmy na miejscu – mówi.

Rok 2000

– Dziękujemy za kolację, mamus – mój syn Stanisław całuje mnie w policzek.
– Pierwszy dzień świąt spędzimy u mnie, drugi u Józka. Przyjedziemy po ciebie koło południa, dobrze?

Kiwam głową i schylam się, żeby pożegnać się z dziewczynkami. Są już bardzo śpiące i ledwo stoją na nogach. Moje wnuczki pośpiesznie zbierają prezenty i porozrzucane przez ich dzieci rzeczy. Wszyscy powoli wychodzą, aż w końcu zostaję sama. Nie całkiem sama, bo towarzyszy mi Filemon – zaadoptowaliśmy go z Tadeuszem pod koniec lat 80. Imię pochodzi oczywiście z popularnej wówczas bajki emitowanej w „Wieczorynce”. Nasz kociak był równie rozbrykany i żądny przygód, co tytułowa postać – był, ponieważ na stare lata zamienił się raczej w Bonifacego. Całe dni teraz przesypia.

Głaszczę kota za jego białymi uszami i pozwalam mu dalej spać pod choinką. Ja się nie kładę, jeszcze nie. I wcale nie chodzi o górę talerzy, która czeka w zlewie. Chcę powspominać. Biorę zdjęcie Tadeusza, które stoi oprawione w drewnianą ramkę na starym kredensie i siadam w moim ulubionym fotelu. Przymykam oczy, gdy jedna pojedyncza łza spływa mi po policzku. Wiem, że nigdy nie przestanę tęsknić. Zawsze będzie mi towarzyszyć pustka po stracie. Tadeusz nie był pierwszą osobą, którą straciłam. Moi rodzice – Bronisława i Antoni Kłós, a także brat Franciszek odeszli jako pierwsi. Jako dziecko wojny musiałam w młodym wieku nauczyć się radzić sobie sama. Dlaczego więc jest mi tak ciężko teraz? Dlaczego nie potrafię zapomnieć, skoro wcześniej potrafiłam?

Rok 1945

Moim oczom ukazuje się śliczna kamienica, wygląda na zabytkową. Jej numer to 38. Tadeusz puszcza moją rękę, żeby przytrzymać mi drzwi. Wskazuje odpowiednie piętro i zaprasza mnie do środka. Pierwsze na co zwracam uwagę, jest napis na drzwiach wejściowych: „Tu mieszkają Polacy”. Mam taki sam na swoich – chroni nas to przed „wizytą” radzieckich żołnierzy. Rosjanie napadają głównie na ludność niemiecką, której wciąż jest na tych terenach sporo. My, Polacy, jesteśmy ich sojusznikami. Przynajmniej w teorii.

– Wiem, że jest dość skromnie – Tadeusz lekko się czerwieni, kiedy rozglądam się po mieszkaniu. Czyżby się wstydził?

– Jest ślicznie – mówię, w pełni mając to na myśli.

Mieszkanie jest wystarczająco duże i dobrze umeblowane. Gdzieniedzie rozpoznaję jeszcze stare niemieckie wyposażenie, ale sama mam tego mnóstwo. Nie mogliśmy narzekać: sztuką było poczuć się w czyimś domu jak we własnym. A mimo to

u Tadeusza widać jego ingerencję, która sprawia, że wewnątrz nie jest chłodne i nieciekawe, a wygląda przytulnie. Uśmiecham się lekko pod nosem na widok stołu przystrojonego dla dwojga. Tadeusz zadbał o atmosferę świąt. W końcu napięcie zaczęło ze mnie ustępować i poczułam się nieco swobodniej.

– Proszę, pozwól wziąć twój płaszcz – szybko mówi mężczyzna. – Powieszę go w szafie.

Od zawsze zachowywał się jak dżentelmen. Może dlatego tak go polubiłam. Nikt nigdy mnie tak nie traktował... przy nim czuję się wręcz jak dama. Tadeusz prowadzi mnie do stołu i odsuwa krzesło, żebym mogła usiąść. Następnie zaparza mi herbatę i rozpala piec kaflowy, który stoi w kącie pomieszczenia. Dzięki niemu po jakimś czasie mieszkanie zaczyna się ogrzewać. Rozmawiamy o pogodzie i obecnych warunkach w Szczecinie. On opowiada mi o pracy urzędniczej, a ja słucham uważnie. Pytam go o sytuację przy placu Grunwaldzkim. Tadeusz w odpowiedzi obiecuje, że po nowym roku pokaże mi miasto z innej strony, to tam toczy się życie towarzyskie. Przez chwilę się śmiejemy. Przypominam sobie zabawy w mojej wiosce, lecz to wydaje się być setki lat temu. Od dawna nie było okazji do świętowania. Tadeusz chyba wychwycił moją zmianę nastroju, bo również zamilkł. Po chwili jednak podnosi głowę, patrzy mi prosto w oczy i mówi:

– Wyjdziesz za mnie, Bronka?

Rok 2000

Słyszę pukanie do drzwi w momencie, w którym kończę nakładać ciemnoróżową szminkę. Przechodzę przez przedpokój, żeby otworzyć drzwi. Prawie potykam się o leżące na środku Filemona, który nawet nie podnosi głowy, byleby dalej spać. Otwieram drzwi, a za nimi zgodnie z zapowiedzią stoi Stanisław. Wpuszczam syna do środka i zaczynam powoli zbierać rzeczy. Stanisław mieszka za Szczecinem we wsi Kobylanka. Był zmęczony życiem w mieście i postanowił zamieszkać z rodziną w większym domu, z dala od tego całego zgiełku. Wielokrotnie proponował mi zamieszkanie z nimi, ale nie chciałam opuszczać tego miejsca – kryło się tu zbyt wiele wspomnień.

– Mamo, zanim wyjdziemy... – zaczyna Staś. – Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

– Coś się stało? – pytam zmartwiona.

– Ty mi powiedz.

Syn podaje mi starą, rozsypującą się już książkę. Siadam przy stole i wyciągam okulary. Gdy widzę już trochę wyraźniej, zamieram. Poznają tę okładkę. Poznają ten papier. Opuszkami palców wodzę po zniszczonych stronach i przysmykam

oczy, rozkoszując się tą chwilą. Myślałam, że przepadła i że nie będzie mi dane już więcej zobaczyć prezentu od męża.

– Mamo – wtrącił Stanisław – dlaczego nigdy nam nie powiedziałaś? Czy tata wiedział?

W tym momencie cała nostalgia ze mnie wyparowała. Oczywiście, że mój syn to przeczytał. Ta książka jest świadectwem tego, co wydarzyło się na Wołyniu. Zawiera to wszystko, co tak bardzo pragnęłam ukryć przed światem, zachować tylko dla siebie. A teraz on się dowiedział.

Rok 1945

Otwieram usta z zaskoczenia. Szybko przykrywam je dłonią, słysząc w głowie głos matki, która mnie karci. Nie mam pojęcia, jak się zachować. Kompletnie nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy. Nie wiedząc, co powiedzieć, po prostu siedzę i milczę.

– Przepraszam – mówi zakłopotany Tadeusz. – Wiem, że cię zaskoczyłem...

– Troszeczkę – odpowiadam, starając się brzmieć życzliwie.

– Bronka... zdaję sobie sprawę, że nie znamy się zbyt długo. A jednak mam wrażenie, że minęło znacznie więcej czasu niż te pół roku, odkąd poznałem cię wtedy w urzędzie. Do tej pory mam w głowie tamten obraz. Byłaś ubrana dość prosto, w błękitną sukienkę. Włosy schowałaś pod chustką, ale kilka niesfornych kosmyków wydostało się spod niej i opadało ci na twarz, która miała piękny ciemny odcień. Od razu wiedziałem, że przybyłaś ze wschodu. Miałaś ze sobą tylko dwie małe walizeczki i wyglądałaś na zagubioną. A jednak, gdy spojrzałem w twoje oczy, twoje piękne duże, niebieskie oczy, nie zobaczyłem w nich strachu. Wiesz, co zobaczyłem, Bronka? Nadzieję. Nadzieję, o której myślałem, że przepadła. Wtedy wiedziałem, że warto zainteresować się tobą..., że masz do zaoferowania coś więcej. Myślałem, że wojna cię nie zniszczyła.

– Powinieneś wiedzieć, że tak nie jest Tadeusz – wtrącam, zaskakując tym samą siebie. – Ostatni rok był koszmarem. Koszmarem, z którym sobie nie poradziłam i nie wiem czy kiedykolwiek poradzę.

– Więc pozwól mi sobie pomóc – Tadeusz patrzy mi prosto w oczy i chwytą moją rękę. – Wiem, że potrzebujesz swojej przestrzeni, widzę to. Jeśli będziesz tego chciała, pozwolę ci zachować wszystko dla siebie. Nie będę na ciebie naciskać. Sam mam nieciekawą przeszłość... tak jak my wszyscy tutaj. Proszę cię tylko o jedno – nie rezygnuj ze mnie. Pozwól mi zostać w twoim życiu. Wiem, że potrzebujemy siebie nawzajem. Czuję to.

Słowa Tadeusza poruszają mnie do głębi. Czuję, że oczy zaczynają mnie piec, co mnie bardzo zaskakuje. Myślałam, że wszystkie łzy mi się skończyły i że nie będę

w stanie płakać już nigdy. Coś mi mówi, że to dobrze. Uczucia zaczynają do mnie powracać. W tym momencie wiem już, co powinnam zrobić.

– Tak – mówię cicho i patrzę w oczy mężczyzny, który stał się mi tak bliski. – Tak, zgadzam się. Tadeusz bierze mnie w ramiona, a ja już drugi raz tego dnia czuję coś nowego. Szczęście.

Rok 2000

– Gdzie to znalazłeś? – pytam syna.

– W rzeczach taty... ale mamo, nie o to teraz chodzi. Dlaczego nigdy nam nie opowiedziałś swojej historii? – pyta, a w jego oczach dostrzegam tylko żal. – Dlaczego nie opowiedziałś, że twoje prawdziwe imię to Maria?

Maria Kłos. Tak, to ja. Byłam tą dziewczynką, jeszcze na Kresach. Miałam szesnaście lat w momencie, w którym rozpoczęły się ataki Ukraińców na ludność polską. Cała moja rodzina zginęła – tylko mnie udało się przeżyć. Kiedy wybiegałam z płonącego domu, chwyciłam torbę z dokumentami. Na szczęście znalazłam tam dane matki. Zawsze byliśmy bardzo podobne. Wiedziałam też, że wojna mocno mnie postarzała. Wyglądałam poważniej. To była moja szansa. Szansa na to, żeby zadecydować o swoim życiu. Gdybym podała się za błakającą się sierotę, trafiłabym do jakiegoś przytułku, tam na wschodzie. A ja wiedziałam, że muszę opuścić to miejsce. Chciałam wyjechać jak najdalej. Podawałam się więc za moją matkę – za Bronisławę. Dzięki nowej tożsamości mogłam opuścić Kresy. Dzięki szczęściu i pomocy licznych osób dotarłam do Szczecina. Rozpoczęłam nowe życie i poznałam Tadeusza, który towarzyszył mi przez wszystkie trudne chwile. Czy wiedział? Nie sądzę. Sama nigdy mu o tym nie opowiedziałam. On to dobrze rozumiał. W Wigilię 1945 roku podarował mi ten pamiętnik. Puste kartki zaczęłam wypełniać swoją opowieścią, swoimi wspomnieniami. Dzięki temu jakoś radziłam sobie z upiorami, które mnie prześladowały. Koszmary nie zniknęły, ale nauczyłam się z nimi żyć. Dzięki Tadeuszowi na nowo zaczęłam żyć.

Nie dzieliłam się moją historią z nikim. Chciałam zabrać ją ze sobą do grobu. Myślałam, że tak będzie lepiej. I dla mnie i dla moich bliskich. Jednak mój pamiętnik pewnego dnia przepadł. I teraz, gdy się odnalazł i dłużej nie mogę ukrywać swojej historii, nie pozostaje mi nic innego, jak im opowiedzieć. Opowiedzieć o szesnastoletniej dziewczynce, która podając się za dorosłą kobietę, ruszyła w świat. To historia pełna odwagi i nadziei. Mam nadzieję, że tak będą ją postrzegać.

– Jedźmy już, Stasiu – mówię, a mój głos już wcale nie drży. – Opowiem wam, co się wydarzyło.

Rok 1945

Właśnie nadchodzi wieczer. Wyglądam przez okno i doszukuję się pierwszej gwiazdki. Kiedy ją wskazuję, Tadeusz się uśmiecha i mówi, że już czas. Siadamy do stołu, na którym stoi kilka potraw. Do dyspozycji mieliśmy niewiele. W mieście można był dostać jedynie mąkę, cukier i jajka, jeśli się dobrze szukało. Tadeusz postarał się również o kawałek sernika od starszej pani z kamienicy obok. Wspólnie ulepiliśmy trochę pierogów z kaszą, przyrządziliśmy jedną rybę, kupioną od znajomego rybaka i pokroiliśmy ciasto. Chleba nie było, tak samo jak opłatka. Nad tym drugim nie ubolewałam, bo bez miodu i tak dobrze nie smakował. Jedzenia nie było w bród, ale dla naszej dwójki wystarczyło. Cieszyłam się też z małego drzewka, które stało przy stole w za dużej donicy w kwiaty. Było przystrojone w kilka ozdób – pewnie pozostałości po Niemcach. Pod nim leżał jeden upominek, co sprawiało, że czułam się bardzo niekomfortowo. Tadeusz zapewniał mnie, że to go nic nie kosztowało, ale i tak czułam się źle z tym, że on coś dla mnie przygotował, a ja dla niego nic.

Najpierw składamy sobie życzenia. Nie pomijamy, oczywiście, dzisiejszych wydarzeń. Mimo braku pierścionka zaręczynowego na palcu, nie zapominam o naszym narzeczeństwie. Życzymy sobie wytrwałości i długiej wspólnej przyszłości. Żadne z nas nie wspomina o wojnie. Omijamy ten temat. Nie ma na to miejsca przy wigilijnym stole.

Następnie zabieramy się za potrawy. Ryba smakuje wybornie. Dawno nie jadłam takiego posiłku. Pierogi też wyszły nie najgorzej, smakują prawie jak te mojej matki. Tadeusz chwali moją kuchnię. Nie wiem, czy tylko próbuje być miły, czy naprawdę mu smakują. Mimo to uśmiecham się. Na koniec jemy po kawałku sernika. Ciasto rozplywa się nam w ustach. Żałuję, że sama nie mogłam podziękować tamtej pani. Nie wiem, jak Tadeuszowi udało się ją przekonać. Musiał wykorzystać swój cały urok osobisty.

– Smakowało? – pyta mnie, widząc mój uśmiech.

– Bardzo – kiwam głową i ocieram usta serwetką. – Dziękuję, że przygotowałeś dla mnie tę kolację.

– Przygotowaliśmy ją wspólnie – upiera się Tadeusz. – Otwórz już prezent.

Bardzo mnie ciekawi, co jest w środku, więc biorę pakunek do ręki. Szybko zdzieram z niego szary papier, a moim oczom ukazuje się książka oprawiona w jasną skórę. W środku jednak jest pusta. Patrzę na Tadeusza z pytaniem w oczach, a on szybko wyjaśnia.

– Pomyślałem, że skoro nie chcesz ze mną porozmawiać, co się stało rok temu, zrobisz to w inny sposób. Możesz tu opisać wszystkie złe wydarzenia, wylać wszy-

skie swoje troski. Nie gwarantuję, że przeszłość przestanie cię prześladować, ale jeśli zamkniesz ten rozdział za sobą, łatwiej będzie ci pójść do przodu.

Tak, chyba ma rację. Przesuwam palce po pustych kartkach. Zapelnę je moją historią. Wyrzucę to z siebie, sprawiając, że nikt się nigdy nie dowie. I będę mogła żyć dalej, u boku mojego narzeczonego. Dziękuję Tadeuszowi za prezent i kiedy nie patrzy, podpisuję pierwszą stronę – „Pamiętnik Marii Kłos”.

Rok 2000

Kiedy kończę opowiadać swoją historię, czuję ulgę. Oprócz prawnuczek, wszyscy siedzą przy stole i patrzą tylko na mnie. W każdym oczach wyczytuję inne emocje. W niektórych tkwi litość, współczucie, w innych zmieszanie, jeszcze inni są zaskoczeni. Nie winię ich. Ukrywałam to dosyć dobrze przez bardzo długi czas. Mają prawo do tych reakcji.

– Rozumiemy, czemu to ukrywałaś, babciu – niespodziewanie odzywa się wnuczka. – Cieszę się, że zdecydowałaś się tym z nami podzielić.

– Tak, mam, to musiało być bardzo trudne – mówi mój drugi syn.

– Jesteś bardzo silna, babciu.

Słyszę jeszcze wiele słów otuchy. Jestem mile zaskoczona. Z wdzięcznością uśmiecham się do wszystkich i dziękuję im za wyrozumiałość. Wkrótce zbaczamy z tematu. Wracamy pamięcią do Tadeusza i wspominamy go. Dzieci śmieją się, opowiadając śmieszne historie z tatą, wnuczki dopełniają to opowieściami o wspaniałym dziadku. W końcu czuję się dobrze. Jestem dumna z tego, co razem stworzyliśmy, z tej wspaniałej gromady dobrych ludzi. Wiem, że Tadeusz patrzy na nas z góry i się uśmiecha, patrząc na nasz mały korowód pokoleń.

■ ROK 2021

„Skarbiec pamięci”

*To nie kobieta.
Ani zgubiona walizka.
Ani pierścion, gdzie był rubin.
Ani cudowne odnalezienie ukochanego kuzyna.
Ta historia jest inna.*

Konstanty Ildefons Gałczyński (1905–1953),
Przygoda w Szczecinie

*Lecz przerastamy omszłą przeszłość
i dotykamy szeptem.*

Tymoteusz Karpowicz (1921–2005), *Dzień*



Nagrody przyznane w kategorii szkoły podstawowe:

Dwie równorzędne I nagrody za prace:

[Walizka] dla **Blanki Koteckiej** ze Szkoły Podstawowej im. Władysława Szafera w Widuchowej (opiekunowie: Małgorzata Kowalczyk-Skrzypek, Andrzej Krywalewicz)

„Album znaleziony w zielonej skrzyni” dla **Stanisława Lipczyńskiego** z Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Rewalu (opiekun: Izabela Roustm)

II nagroda za pracę „Skarbiec pamięci... z opowieści prababci” dla Magdaleny Mruk ze Szkoły Podstawowej im. Władysława Szafera w Widuchowej (opiekunowie: Małgorzata Kowalczyk-Skrzypek, Andrzej Krywalewicz)

Dwie równorzędne III nagrody za prace:

„Pamiętnik Basi jako wspomnienie miasta lat dziecińczych” dla **Mariusza Rosińskiego** ze Szkoły Podstawowej im. Olimpijczyków Polskich w Krzymowie (opiekun: Małgorzata Kowalczyk-Skrzypek)

[Fotografia] dla **Tomasza Pasturczaka** ze Szkoły Podstawowej im. Władysława Szafera w Widuchowej (opiekunowie: Małgorzata Kowalczyk-Skrzypek, Andrzej Krywalewicz)

Nagroda i wyróżnienie przyznane w kategorii szkoły średnie:

II nagroda za pracę „Kilka słów, a cały sezam. Historia jednego dowodu” dla Hanny Rybki z Zespołu Szkół Nr 1 im. Bolesława III Krzywoustego w Choszczynie (opiekun: Natalia Skowron-Kozyra)

I i III nagrody nie przyznano

wyróżnienie

za pracę „Tradycje świąteczne naszych dziadków na podstawie wspomnień mieszkańców Naszej Małej Ojczyzny” dla Wioletty Borodajko,

**Jacka Chomicza, Darii Czerniakowskiej, Fabiana Czerniakowskiego,
Tomasza Halikowskiego, Wiktorii Iłło, Grzegorza Kuballka, Sandry
Kuballek, Emila Kuźniewskiego, Mateusza Machtyła, Samuela
Pesty ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Chojnie
(opiekunowie: Andrzej Krywalewicz, Magdalena Bernacka, Małgorzata
Ożarowska, Monika Pluskot, Edyta Roszkowska-Kożuszek)**

Blanka Kotecka

godło: Blanka

[Walizka]

Ten dzień zapowiadał się nudno. Plany wspaniałej wycieczki po okolicy, którą planowaliśmy z rodzicami od dłuższego czasu, legły w gruzach. A miało być tak pięknie! Na początek wycieczka do Siekierok, następnie muzeum i pomnik w Gozdowicach. Obiad mieliśmy zjeść w zaprzyjaźnionym zajeździe Odra w Starzych Łysogórkach, gdzie, jak to zwykle bywało, właściciel pan Tadeusz, sędziwy już człowiek, uraczyłby nas nie tylko pysznym obiadem i deserem, że palce lizać, ale także opowieściami o historycznych wydarzeniach, jakie miały miejsce nad Rozlewiskiem Kostrzyneckim w czasie II wojny światowej.

Te plany odeszły w niepamięć z powodu awarii instalacji kominowej. Jako że mieszkamy w starym poniemieckim domu, który odziedziczyliśmy po mojej prababci od strony mamy, taka sytuacja przecież miała prawo się zdarzyć.

Od rana kucie ścian, hałas i pełno kurzu. Trzeba było dostać się na strych domu, który odkąd pamiętam, był zamknięty na stałe. Po domu kręciło się sporo osób, ale po jakimś czasie robotnicy przenieśli się do piwnicy. Ciekawość zajrzenia na strych była silniejsza ode mnie.

Upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, wdrapałam się ostrożnie po drabinie. W pomieszczeniu panował półmrok, delikatne rozproszone światło dostawało się przez jedyną szklaną dachówkę. Powietrze było gęste z powodu unoszącego się kurzu i pachniało starością. Jednak ta starość dla mnie to był zapach przygody i poczułam ekscytację, jakbym szukała skarbu w jakimś zamku.

Na strychu mojego domu nie znalazłam jednak ani mapy skarbów, ani kufra z biżuterią, znalazłam tam coś, jak się później okazało o wiele bardziej dla mnie cenniejszego. W samym rogu leżała zakurzona ciemnobrązowa walizka ze skóry, która musiała wiele przejść i to dosłownie. W większości

była obtarta i popękana, a na jednym jej boku widniał wyryty czymś ostrym napis: *Genowefa Łukasik, 1946*. Serce mi na moment stanęło, by po chwili bić jak oszalałe. Otworzyłam z trudem zardzewiałe zamki, a moim oczom ukazały się stare zdjęcia i brulion. W tym samym czasie usłyszałam, że ktoś się zbliża. Postanowiłam na razie nikomu nic nie mówić, wiedziałam, że wszyscy są zajęci, poza tym chciałam sama zapoznać się z moimi skarbami. Wyjęłam całą zawartość walizki i zesłam szybko ze strychu, omal nie spadając z drabiny. Pobiegłam pędem do mojego pokoju, wiedziałam, że nikt tu nie przyjdzie przez dłuższy czas.

Rozłożyłam na biurku moje znaleziska. Zdjęcia były już bardzo zniszczone, przedstawiały rodzinę mojej prababci Gieni. Szokujący był dla mnie wygląd ludzi z początku XX wieku, tym bardziej, mojej rodziny. Czułam się jakbym oglądała zdjęcia w muzeum. Dłuższą chwilę przeglądałam te cenne fotografie, gdy mój wzrok padł na „brulion”. Tak było na nim napisane. Okładkę miał z brązowoszarej tektury. Otworzyłam go i ujrzałam zapisane piórem piękne, kaligraficzne pismo. Zaczęłam czytać.

Wspomnienia

Mój ojciec Jan Łukasik, syn Józefa i Anny, urodzony w 1888 roku we wsi Żdżary, województwo siedleckie, ożeniony z Zofią Gołaską, córką Bartłomieja i Katarzyny, urodzoną w 1894 roku we wsi Żdżary.

W roku 1921 nabył gospodarstwo rolne w kolonii Świtycze, gmina Wysokie Litewskie, powiat Brześć nad Bugiem, województwo poleskie. Ile tej ziemi było, nie pamiętam. Był jeszcze las w trzech kawałkach – duży las, zagajnik i sachalin – tak go nazywano. Prócz tego dwa kawałki łąki nad rzeką Śwityką i rzeką Pulwą.

W Śwityczach urodziliśmy się: córki – Stanisława, Maria, Genowefa – to ja, co piszę, Cecylia, synowie – Julian i Czesław.

Szkolę ukończyłam w 1939 roku w Wysokim Litewskim. 1 września 1939 roku doszła wiadomość, że Niemcy wypowiedzieli Polsce wojnę. Była straszna rozpacz, jakby szal opanował mieszkańców naszych Świtycz, biegali tylko od domu do domu i zastanawiali się, co będzie. Tato dokładnie pamiętał I wojnę światową, w której uczestniczył, bał się Białorusinów. Nasza kolonia Świtycze otoczona była białoruskimi wioskami jak: Świtycze, Piaski, Komorniki, Niewólka, Hremiacze.

Wojnę odczuliśmy w pierwszym tygodniu września, gdy Niemcy bombardowali Brześć. Eskadry samolotów krążyły nad Śwityczami. Niemcy strzelali do wszystkiego, co widzieli i z powrotem atakowali Brześć, który palił się dzień i noc. Po kilku dniach wkroczyli, byli dwa tygodnie i cofnęli się.

17 września nadali komunikat, że Związek Radziecki wydał Polsce wojnę. Polacy uciekali w kierunku Rumunii. Niemcy cofnęli się nad rzekę Bug. U nas było bezprawie. W tym bezprawiu ojciec zaczął gromadzić duże zapasy żywności. Bił świnie, solił w beczki, robił skrzynie na mąkę i kaszę, jak mówił na czarną godzinę.

Sowieci wkroczyli do nas dopiero w końcu listopada. Było spokojnie. W bardzo mroźną noc lutową dziesiątego, o godzinie 4 nad ranem, wtargnęli do naszego domu NKWD-iści, ci z bronią w ręku. Wypędzili wszystkich z łóżek, zaczęli przeprowadzać rewizję. Czego szukali, nie wiem, trwało to godzinę, może więcej. Później kazali się ubierać, oznajmili, że wywożą nas w „Sojuz”. Mogliśmy wziąć tylko tyle, co na siebie i trochę żywności. Tata zabrał mięso solone, chleb, który mama w przeddzień upiekła, dali jeszcze worek pszenicy i worek prosa, kasz i mąk nie pozwolili. Zabraliśmy pierzyny, poduszki i trochę pościeli. Kiedy wyszliśmy z domu rozgoryczeni, splotkani na podwórku stały zaprzęgi konne z okolicznych wsi. Było bardzo zimno, mróz dochodził do 40 stopni. Cały nasz dobytek zapakowano na dwa zaprzęgi. Dwóch braci i młodszą siostrę wzięli na sanki. Mama otuliła ich pierzyną. Rodzice i my, trzy najstarsze siostry, szliśmy pieszo 40 kilometrów pod konwojem do Brześcia nad Bugiem.

Załadowali nas w towarowe wagony. Pośrodku stał okrągły żelazny piecyk. W każdym wagonie było cztery, pięć rodzin. Zanim transport przygotowali trwało to trzy dni. Ruszyli. Raz na dobę przystawali w lesie, żeby się załatwić, nazbierać drewna do piecyka i wziąć śniegu na wodę. Po tygodniu jazdy zatrzymali nas w Mińsku Białoruskim i po raz pierwszy dali nam krupnik z zielonymi pomidorami. Pozwolili nam wziąć trochę wody do wagonu.

Następnym postojem był Smoleńsk, a stamtąd skierowali nas na północ do Archangielska. Podróż koleją trwała dwa tygodnie. Na miejscu musieliśmy opuścić wagony i zaprowadzili nas do dużej świetlicy, gdzie otrzymaliśmy po porcji kaszy jęczmiennej z tyżeczką cukru. Gdy wróciliśmy do wagonu, czekały już zaprzęgi z saniami wyłożonymi sianem. Załadowaliśmy się i ruszyliśmy w nieznaną. Najpierw rzeką północną Dwiną, później Pinegą, następnie Yezhugą i dalej tajgą do osady Kokorna. Osada ta wybudowana była w latach 1933–1939 przez zesańców zwanych „oporowymi”. Byli to Tatarzy, Kozacy, Uzbeki, Ormianie, Gruzini, Białorusini, Ukraińcy, Rosjanie, a nawet Niemcy nadwołżańscy, potomkowie tych, których sprowadziła do Rosji caryca Katarzyna II, no i Polacy.

Kokorna – ta wieś miała być naszą ostoją, do której dotarliśmy w końcu marca. Po tak długiej podróży, zmianie klimatu i pożywienia Polacy zaczęli masowo chorować na tyfus brzuszny, śmierć zebrała tam obfite żniwo. Niektóre rodziny wymarły całe. Moja rodzina na szczęście ocalała.

Pracowaliśmy przy wyrębie lasu pod konwojem. Po bardzo długiej i mroźnej zimie, w czerwcu zaczynała się wiosna. Przyroda wręcz wybuchła w jednej chwili, musiała się spieszyć, bo za dwa miesiące miała znów zacząć się zima. Wszystkim Polakom wydzielili działki w tajdze. Kazali wykarczować i zasadzić po worku ziemniaków, który przydzielili każdej rodzinie. W piątkę: tato, mama, Stasia, Marysia i ja bardzo szybko uporaliśmy się z robotą. Ziemniaki rosły bardzo pięknie, a kiedy zakwitły znów ruskim zwyczajem w nocy wywieźli nas 100 km dalej do wsi Korcza, w górę rzeki Yezhuga. Tam dowiedzieliśmy się o Sikorskim, Andersie i o formowaniu wojska. W Korczy nie byliśmy długo. Tato po pracy w lesie zajął się budową tratwy, dołączyły się jeszcze trzy rodziny. Polakom zezwolili zmienić miejsce zamieszkania i w cztery rodziny płynęliśmy rzeką Yezhugą, później Pinegą. Na początku września rzeka zamarzała i wyszliśmy na brzeg. Tam, we wsi Worgoziera, zamieszkaliśmy w barakach z innymi Polakami, gdzie pracowaliśmy przy wyrębie lasu. Tato nie dał za wygraną, robił w pracy saneczki i w lutym tymi saneczkami samotnie wyruszyliśmy w podróż ciężką i ryzykowną. W lutym na północy, oprócz ciężkich mrozów zrywały się wiatry, zamiecie i zawieje. Do Archangielska mieliśmy ponad 350 kilometrów. Tato za wszelką cenę chciał tam dotrzeć, a stamtąd wyruszyć na południe, bliżej Polski.

Staraliśmy się przejść od wioski do wioski, jednak odległości były duże. W każdej wsi były opalane baraki, zwane „postojannyj dwor”. Zatrzymywali się w nich podróżni, którzy wymieniali pocztylion i konie. Był samowar, można było zagotować wodę i posilić się kromką chleba rozmoczoną w wodzie z solą, a także przespać się na podłodze.

Do wsi Koskowo dotarliśmy 28 marca 1942 roku. Archangielsk był już blisko, bo tylko 40 km. W Koskowie zatrzymaliśmy się dłużej, byliśmy bardzo zmęczeni. I tam właśnie dowiedzieliśmy się, że wyjazd Polaków na południe wstrzymano, że Anders wyprowadził wojska do Persji i że w Archangielsku panuje straszny głód. Powiedział nam o tym mąż zaufania, Polak który wracał z Archangielska do Ust-Pinegi. Zniechęceni złą wiadomością, poszliśmy spać. Późno wstaliśmy i mama zaczęła opowiadać swój sen z tej nocy: „Janek, śniło mi się, że idziemy jak do tej pory. Ja, Ty i Stasia poszliśmy krótką drogą przez cmentarz, a reszta dzieci drugą, dłuższą drogą”. Mama wyglądała dziwnie, ale wyruszyliśmy z Koskowa. Teren był górzysty i ciężki. Może przeszliśmy ze 3 km, gdy z wysokiej, pagórkowatej drogi ujrzelśmy światło w domu. Wieś była blisko. Mama powiedziała wtedy: „Idźcie prędzej, znajdźcie nocleg, a ja pomatu pójde za Wami”. Dobrnęliśmy do wsi Bobrowo. W domu tym, cośmy prosili o nocleg mieszkała młoda kobieta z dwójką małych dzieci, mąż jej był na froncie. Wyraziła zgodę, kazała napalić w piecu, co skrzętnie uczyniliśmy. Nie minęło pół godziny, kiedy do domu wszedł pocztylion i oznajmił, że na drodze leży martwa

kobieta. Od razu pomyślałam o najgorszym. Tato, ja i Marysia z saneczkami wyszliśmy po mamę. Leżała na rozstajnej drodze, która prowadziła na cmentarz. Stało się.

Strata mamy pozostawiła głęboką pustkę i żal w naszych sercach. Kłopot, który sprawiliśmy kobiecie, spowodował awanturę, jednak nie wygoniła nas. Ciało mamy kazano położyć w korytarzu i rozcierać śniegiem, a sama pobiegła dwa kilometry do osady Bobrowo po lekarza. Przyszła z nią młoda lekarka i stwierdziła zawał serca. W Bobrowie musieliśmy pozostać i pochować mamę na tym cmentarzu, który jej się wysnił. Był to cmentarz w tajdze dla dwóch wsi, Koskowa i Bobrowa.

Po pogrzebie dostaliśmy pokój przejściowy i od razu poszliśmy do pracy. Różnieliśmy drewno na metry, w które zaopatrywały się statki w sezonie. Mama zmarła 30 marca 1942 roku. Po dwóch tygodniach – 14 kwietnia umarł ojciec. Chyba zadurzył się, śmierć miał podobną, na drodze, jak prowadziłam tatę od lekarza, zmarł mi na rękach. Pobiegłam po saneczki, by przywieźć zwłoki do domu. To był 15 kwietnia 1942 roku. Pochowaliśmy go przy mamie. Zostaliśmy sierotami, sami sobie, w obcym i nieprzyjaznym kraju. Musieliśmy szybko dorosnąć.

Po śmierci ojca dostaliśmy nowe pomieszczenie na osiedlu Bobrowo. W Bobrowie w dalszym ciągu pracowałyśmy we trzy najstarsze siostry przy różnięciu drewna na metry. Kiedy lody ruszyły, zatrudnili nas przy spltawie drewna. W lipcu do wody wpadła najstarsza siostra Stasia. Szukaliśmy jej dzień i noc, lecz bezskutecznie. Musiałyśmy pracować dalej. Po kilku dniach, kiedy ruszyło drewno, ciało Stasi wypłynęło na powierzchnię. Widok siostry pozostał na zawsze w mojej pamięci. Ciało było sine, nabrzmiałe i nie przypominało Stasi. Spoczęła na cmentarzu obok rodziców. Zostało nas pięcioro: ja, Marysia, Celina, Julian i Czesław. Praca na rzece – północnej Dwinie – była bardzo ciężka i niebezpieczna. Pamiętam, jak zbierałyśmy na wyspie złom tj. łańcuchy, druty itd. Dopyłyśmy tam dużą łodzią, dwunast osobową. Było nas piętnaście osób. Zerwały się straszne kilkumetrowe fale, ale dzięki dziewczynom północnym, które radziły sobie z żywiołem, ocalałyśmy z Marysią.

Przeżyliśmy straszną biedę i głód. Jedliśmy tylko raz dziennie wieczorem. Racje chleba były bardzo małe. Ja i Marysia otrzymywałyśmy po pół kilograma chleba, jako pracujące, a troje młodszego rodzeństwa po 0,2 kg, nic więcej. W lecie żywiłyśmy się pokrzywami, jagodami, złapaną jakąś rybką, zimą zaś białym mleczem i porostami, które jadły renifery. Raz zostaliśmy poczęstowani zupą u pewnej rosyjskiej rodziny. Był to rosół. Już tak dawno nie jedliśmy normalnego posiłku, że smakował nam bardzo. Byliśmy trochę zdziwieni, skąd ludzie wzięli mięso. Jak się okazało, zupa ugotowali z psa.

Któregoś razu Celina znalazła kilka podgniętych ziemniaków i zabrała je do domu. Za to osadzono ją w więzieniu. W tym czasie dostaliśmy wiadomość, że będą

wywozić Polaków na południe. Ucieszyliśmy się, jednak postanowiliśmy, że nie wyjeździemy bez Celiny. Nie mogliśmy jej tam samej zostawić. Na całe szczęście wypuścili ją niebawem.

W Bobrowie byliśmy do czerwca 1944 roku i znów nocą wywieźli nas do Archan-gielska stateczkiem „Gogolem”. Przez cały tydzień formowali nasz transport i znów wieźli nas w nieznaną. Jechaliśmy tą samą drogą do Moskwy, z Moskwy do Tuły, z Tuły do Sum. Ostatnią stacją na trasie Sumy-Charków były Kisycówki. Półtora kilometra dalej była cukrownia „Prawdzenka”. Dwa tygodnie przebywaliśmy w świetlicy zakładowej, potem rozwieźli nas do sowchozów. Ja z rodzeństwem i jeszcze cztery polskie rodziny trafiłyśmy do Jankowki, blisko stacji Kirkowka. Marysia podupała na zdrowiu i nie mogła pracować przez długi czas. Ja musiałam zapewnić jedzenie dla siebie i rodzeństwa. Pracowałam w polu, w młynie, przy ob-studze wołów, a nawet w lesie, gdzie popadło. Praca była też bardzo ciężka. To były lata wojny, kobiety i dziewczęta musiały zająć wszystkie stanowiska, bo mężczyzn nie było. Pozostali tylko starcy i dzieci.

Koniec wojny dał nam nadzieję na lepsze życie i powrót do Polski. Tak się stało i w maju 1946 roku jako repatriantów wywieźli nas na Ziemię Odzyskaną. Kolejny raz jechaliśmy wagonami w nieznaną. Ale to już była inna podróż, pełna obaw, nie-pewności, ale i nadziei oraz szczęścia, że nasz syberyjski koszmar się skończył. Po trzech tygodniach dotarliśmy do Gryfina. Tu przydzielali wszystkim domy do zamieszkania w okolicy. My trafiłyśmy do Widuchowej. Dostaliśmy z rodzeństwem dom, w którym jeszcze przez parę dni mieszkaliśmy z dwójką Niemców, którzy czekali na przesiedle-nie do swojego kraju. Dom nie był mocno zniszczony, jednak w ścianach i drzwiach były ślady po kulach. Piwnica zalana była wodą. Kiedy zaczęliśmy ją porządko-wać, natknęliśmy się na ciało pływające w wodzie. Żołnierze pomogli nam i zabrali zwłoki, żeby je pochować.

Nasza wędrówka zakończyła się. Wkrótce poznałam swojego męża, Feliksa, który odbywał służbę wojskową w Wojskach Ochrony Pogranicza. Rozpoczęłam pracę w szkole. Marysia i Celina również wyszły za mąż. Julian wyjechał do szkoły na Śląsk, a Czesław dostał pracę na barce. Dom, do którego trafiłyśmy z rodzeństwem stał się domem rodzinnym moim i mojego męża.

Te wspomnienia pisałam w roku 1952. Tego, co przeżyliśmy na Syberii, nie da opisać się słowami i wymazać z pamięci. Ten koszmar wraca do mnie często w snach. Syberia zabrała mi rodziców i siostrę, spowodowała, że musiałam szybko dorosnąć i wziąć odpowiedzialność za młodsze rodzeństwo. Pozostawiam te wspom-nienia dla potomnych, żeby pamięć o ludziach, którzy stracili życie na Sybirze nigdy nie umarła.

Kiedy skończyłam czytać, uświadomiłam sobie, że po policzkach płyną mi łzy. Czułam głębokie poruszenie, a zarazem więź z prababcią, której tak naprawdę nigdy nie poznałam. W kilka chwil poczułam się doroślejsza, uświadomiłam sobie, że prababcia w czasie zesłania na Syberię, była w podobnym wieku do mnie. Przeszła prawdziwe piekło, którego nawet nie można sobie wyobrazić. Jak wielką trzeba mieć siłę, odwagę i wolę życia, żeby przetrwać coś takiego. My w tych czasach o nic nie musimy się martwić, o nic specjalnie starać. Jesteśmy otoczeni opieką 24 godziny na dobę. Nie szanujemy jedzenia ani przedmiotów, które nas otaczają. A prababcia musiała jeść porosty, żeby przetrwać, musiała otoczyć matczyną opieką młodsze rodzeństwo. A my z bratem tak często się kłócimy. Nie wiem, czy w takiej sytuacji poradziłabym sobie. Prababcie wydarzenia te zahartowały na całe życie, każde tragiczne wydarzenie wzmacniało i dawało siłę. Musiałam się z kimś podzielić moim odkryciem.

Pobiegłam do mamy. Pokazałam jej pamiętnik i zdjęcia, zaraz przyszli dziadkowie. Wszyscy ze wzruszeniem czytali zapiski babci. Wiem z opowieści jej syna, czyli mojego dziadka, że prababcia była kobietą silną, dążącą do celu. A mama wspominała, że była dla niej cudowną babcią, bardzo ciepłą i mobilizującą do nauki i rozwoju. Mama wiedziała o tym, co prababcie spotkało w życiu, ponieważ opowiadała jej o tym, gdy była dzieckiem. Poznała więcej szczegółów z jej życia, które nie były zapisane we wspomnieniach. Nikt nie wiedział o istnieniu pamiętnika i zdjęć, na których była między innymi moja praprababcia Zofia, a także babcia z rodzeństwem jako małe dzieci. Bardzo zaintrygował mnie fakt, że ludność Pomorza Zachodniego to w dużej mierze potomkowie zesłańców z Syberii z czasu II wojny światowej i repatriantów z terenów Kresów Wschodnich, które kiedyś należały do Polski.

Dzięki temu odkryciu będę patrzeć na życie inaczej. Teraz wiem, że warto doceniać to, co się ma, ponieważ nigdy nie wiemy, kiedy może nam tego zabraknąć. I niekiedy decyzje, jakie podejmują inni, mogą mieć wpływ na całe nasze życie. Mimo iż Pomorze Zachodnie, ze względu na położenie przy granicy z Niemcami, często zmieniało narodowość, wóldarzy i mieszkańców, to dla mnie jest to najwspanialszy region w Polsce, jestem z nim bardzo związana i nie wyobrażam sobie mieszkać gdzieś indziej. Czuje się tu patriotyzm i przywiązanie do tej ziemi wśród mieszkańców. Jestem dumna, że mieszkam w Widuchowej – azylu i ostoi mojej prababci i całej mojej rodziny.

Stanisław Lipczyński

godło: „Chłopiec”

Album znaleziony w zielonej skrzyni

Kiedy jesteś chłopcem, nie myślisz o przeszłości. Nie myślisz też o przyszłości. Chłopiec myśli o tym, co jest dzisiaj.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy zacząłem myśleć o swojej przyszłości. Może to było wtedy, kiedy Pani w szkole zapytała się mnie, kim chcę zostać w przyszłości. Może właśnie wówczas w moim słowniku pojawiło się nowe słowo – przyszłość. A kiedy pojawiło się słowo przeszłość? Na lekcjach historii uczyłem się o przeszłości, nie wiedząc o tym. Dla chłopca lekcje historii były nudne. Te lekcje historii to po prostu zbiór dat, faktów, nazw, nazwisk. Wszystko to, co wyliczyłem bez ładu i składu, nie chciało ułożyć się w żadną historię.

Było tak do czasu, gdy w tej szkolnej historii pojawiły się czołgi. Czołgami interesuje się wielu chłopców. Wielu chłopców wie o czołgach dość sporo. Ja do nich należę. Tak jak pozostali na początku znałem czołgi głównie z gier komputerowych. Kiedy czołgi pojawiły się na lekcjach historii poczułem, że zaczynam coś z tego rozumieć. Był to czas nie tak odległy. Był to też czas naszej wyprawki ze Szczecina. Muszę przyznać, że nie podobał mi się ten pomysł rodziców, żeby zamieszkać w jakiejś małej wiosce, w starym domu, gdzieś na końcu Świata. Z perspektywy chłopca taka przeprowadzka to dramat. Nie ma kolegów, nie ma szybkiego internetu i wszędzie jest daleko. Na początku w tym starym domu nie podobało mi się nic. Zdziwiony patrzyłem na entuzjazm rodziców i ich wszystkich przyjaciół.

– Macie tu jak w raj. Tak blisko morze. Czyste powietrze i tyle przestrzeni!
– Mówili przyjaciele moich rodziców. – I ten dom inny niż wszystkie domy!

Z tym akurat się zgadzałem, bo dom był inny niż wszystkie. Nadszedł czas, że ja też przekonałem się do tego domu. Przekonałem się do niego za sprawą

czołgu. Tak właśnie było – za sprawą czołgu. A dokładniej rzecz ujmując za sprawą jego małego fragmentu – gaśienicy. Znaleźliśmy tę gaśienicę z tatą i bratem w sadzie za domem. Była zakopana płytko w ziemi. W tej ziemi znaleźliśmy później jeszcze wiele innych przedmiotów. Stare żelazko, zamki i klamki do drzwi, odznakę z 1939 roku ze swastyką i fragmenty porcelanowych naczyń. Zardzewiałe żelazko, z dziwnie wykręconym uchwytem, okazało się być naprawdę stare.

Zrozumiałem, że ziemia ma wiele wspólnego z historią. Może doświadczenie to nie było na skalę odkrycia prehistorycznej kultury, ale dla mnie były to ważne znaleziska, które mówią o historii tego miejsca. Mówiły o wojnie i o ludziach mieszkających tu przed nami. Nie wiedziałem wówczas, że najważniejsze znaleziska jeszcze przede mną, które czekały na strychu domu. Ale zanim napiszę o strychu, muszę wrócić do sprawy czołgu. Swoim odkryciem chciałem się pochwalić w szkole Pani od historii. Znalazona gaśienica została dokładnie odrdzewiona, wyczyszczona i przetransportowana do miasta. Trzeba wiedzieć, że taka gaśienica jest tylko małym fragmentem czołgu, ale jest bardzo ciężka. Zanim znalazła się na biurku Pani od historii, wiedziałem o niej już wszystko. W tym celu przejrzałem wszystkie strony internetowe dotyczące czołgów z II wojny światowej. Dowiedziałem się też, które czołgi podczas II wojny światowej mogły brać udział w walkach na tych terenach. W wyniku tych poszukiwań okazało się, że jestem szczęśliwym posiadaczem gaśienicy od koparki do kopania torfu. Cała ta historia z gaśienicą uświadomiła mi, jak trudna jest praca badacza historii. Dowiedziałem się także o tym, że rzeczy mogą [...] *mówić, opowiadać i przybliżać losy historii*. Żeby te rzeczy do nas przemówiły trzeba po prostu umieć zadawać im pytania.

Teraz mogę już wrócić do sprawy strychu. Na strych w naszym starym domu chodziliśmy często z rodzicami. Tata pokazał nam, na co należy zwracać uwagę. I tam podobnie jak w ziemi, w sadzie, znaleźliśmy całą masę przedmiotów. Gliniane naczynia, stare widelce i noże, metalowe narzędzia rolnicze, metalowe, kolorowe pojemniki, trutkę na szczury i wiele, wiele innych. Na wszystkich tych przedmiotach były niemieckie napisy. Dla mnie to było już oczywiste. Wiedziałem, że przedwojenni właściciele nazywali się Runge i Voigt. Wiedziałem to od mojej mamy. Takie są po prostu losy historii. Na tym strychu oprócz wspomnianych przedmiotów czekała duża, tajemnicza skrzynia. Na zewnątrz skrzynia wyglądała całkiem zwyczajnie. Była drewniana, czerwono-zielona i ciężka. Po otwarciu wyłoniło się mnóstwo starych książek. Po wyjęciu większości książek na dnie zobaczyliśmy coś naprawdę starego. Pod warstwą kurzu prześwitywał

niemiecki napis *Hauptbuch*. To jednak nie był koniec naszego odkrycia. Niżej leżały zeszyty z nutami i stary album ze zdjęciami. Tego się nie spodziewałem. To było bardzo ważne odkrycie. Wcześniej znalezione przedmioty „opowiadały” historię niedokładnie. To, co znaleźliśmy na końcu, przemówiło do nas wprost. Poznałem wówczas znacznie kilku słów: ewakuacja, przesiedlenie, parcelacja i chyba to najtrudniejsze – tożsamość. W książce zatytułowanej *Hauptbuch* oprócz spisu ilości zwierząt, plonów z folwarku w Gedde znalazł się spis ludności ewakuowanej.

O co chodziło z tą ewakuacją? Goście z Niemiec, którzy odwiedzają nasz dom, coś o tym mówili. Mówili do rodziców. Mówili po niemiecku. Więc nic z tego nie rozumiałem. Wiedziałem, że nasz dom był kiedyś niemiecki, że wszystkie te przedmioty znalezione w sadzie i na strychu należały kiedyś do innych ludzi z innego kraju. Teraz kiedy wiem już więcej to powiem szczerze, że nie podoba mi się ta cała sprawa. Czasem myślę, że bycie dorosłym składa się właśnie z takich spraw, które nam dzieciom mogą się nie podobać.

Chciałem jednak napisać o albumie, który znalazłem w zielonej skrzyni. Album jest stary. Tak jak skrzynia ma zieloną okładkę. Jest duży i zawiera bardzo dużo zdjęć. Nie znam nikogo na tych zdjęciach. Bo jak bym miał znać? Nie jest to album mojej rodziny, ale album jakiejś niemieckiej rodziny, która może mieszkała w tym domu przed wojną. Przeglądaliśmy ten album w tę i z powrotem. Zdjęcia w albumie są posegregowane chronologicznie. Ten album to, tak naprawdę, opowieść o życiu jednego człowieka. Wyobraziłem sobie, że mężczyzna, który występuje na zdjęciach najczęściej, był właścicielem tego albumu. Nazywał się Max Voigt, syn niemieckiego właściciela domu. Widzimy go na zdjęciach z dzieciństwa, młodości, dorosłości. Ze zdjęć dowiedziałem się o jego młodzieńczej pasji do sportu. Zdjęcia przedstawiają zawody kajakowe i akrobacje. Widzimy na tych zdjęciach też różne miejsca które zwiedzał. Max Voigt prawdopodobnie studiował, a później uczestniczył w budowie mostów i hali. W albumie jest dużo zdjęć, które o tym świadczą. Na tych zdjęciach Max Voigt nadzoruje budowę tych obiektów.

Domyślałem się, że mógł być inżynierem budowlanym lub geodetą. Ostatnie dwie strony albumu są poświęcone przedwojnemu miastu Gdańsk. Są to pocztówki. Możliwe, że właściciel albumu mieszkał lub pracował w Gdańsku. W albumie jest też wiele zdjęć osobistych. Niektóre z tych zdjęć są podpisane na odwrocie. Te podpisane zdjęcia przedstawiają pewnie przyjaciół Maxa. Przyjaciele na zdjęciach są uśmiechnięci i szczęśliwi, nie wiedzą co ich czeka w przyszłości i co ich może rozdzielić. Nie wiedzą, że przed nimi II wojna światowa.

Mimo że znalazłem ten album wiem, że nie jestem jego właścicielem. Może odnajdzie się jego prawowity właściciel. Sam Max Voigt z pewnością już nie żyje. Zapewne nie żyje już nikt spośród ludzi ze zdjęć. Może żyją ich potomkowie i będę mógł przekazać album w ich ręce. To moje ciche marzenia.

Chłopiec, którym jestem dziś, wie czym jest przeszłość i czym jest przyszłość. A czym jest teraźniejszość, opowiem innym razem.

Hanna Rybka

godło: „Hanna”

Kilka słów, a cały sezam. Historia jednego dowodu

W latach 1944–1946 na Kresach Wschodnich nastąpiła fala przymusowych przesiedleń ludności polskiej z terenów leżących na wschodzie II Rzeczypospolitej na nowy obszar Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Akcja ta była przeprowadzana w wyniku zawarcia układów między republikami Związku Radzieckiego: białoruską, ukraińską i litewską. Przymusowe przesiedlenia objęły tereny II Rzeczypospolitej odebrane Polsce dla ZSRR. Te działania były potwierdzone w lutym 1945 roku na konferencji w Jałcie, gdzie między innymi ustalono przebieg granicy polsko-radzieckiej. Polskie władze komunistyczne nazwały przesiedlenia repatriacją, rzeczywistość jednak była ekspatriacją z terenów, które zamieszkane były przez ludność od kilku pokoleń.

Przesiedlenia miały odbywać się dobrowolnie, dlatego tylko Polacy z Wołynia byli chętni do wyjazdu w obawie przed ukraińskimi nacjonalistami. Natomiast w lipcu 1945 roku przyznano Polsce Ziemię Zachodnie, a sam układ o granicy pomiędzy Polską a ZSRR podpisany został 16 sierpnia 1945 roku, stąd dopiero latem i jesienią nastąpiła duża ilość wyjazdów przesiedleńców z kresów.

Eugeniusz Mironowicz w artykule *Przesiedlenia ludności polskiej z Białorusi w latach 1944–1946* opublikowanym w książce *Repatriacje i migracje ludności pogranicza w XX w.*, Białystok 2004 napisał: *Liczne i zwarte skupiska ludności polskiej stworzyły poszczególnym rodzinom społeczne oparcie przemawiające za pozostaniem w miejscu zamieszkania. Po konferencji w Poczdamie, gdy znikły nadzieje na pozostanie tych ziem w granicach Polski, ruszyła główna fala przesiedleńców na zachód [...]*

W trakcie akcji przesiedleńczej pojawiły się różnice przedstawicieli rządu polskiego i białoruskiego dotyczące interesów obu krajów. Powodem była obawa

władz radzieckich przed wyludnieniem terenów Białorusi, ponieważ kraj ten podczas działań wojennych utracił wielu obywateli. Należało zatem zatrzymać jak najwięcej rąk do pracy. Władze białoruskie stwarzały wiele przeszkód formalnych, które utrudniały katolikom przesiedlanie się do Polski. Miejscowe władze usilnie przekonywały Polaków, że są Białorusinami. Do otrzymania dokumentów wyjazdowych potrzebne zatem były odpowiednie zaświadczenia np.: o pozostawionym majątku i ziemi, a takie dokumenty często ginęły w pożarach lub podczas zawieruchy wojennej. Również problemy z organizacją transportu tworzyły atmosferę chaosu i niepewności.

Z akt Narodowego Archiwum Republiki Białoruś z artykułu Eugeniusza Mironowicza: *Zdaniem członka komisji przesiedleńczej [...] wyjazdom nie sprzyjały także poprawne stosunki między ludnością polską i białoruską, których nie zburzyła nawet okupacja niemiecka. Jedyнным elementem wyróżniającym Polaków spośród białoruskiego otoczenia było katolickie wyznanie. Poza strachem przed nieprzewidywalną radziecką rzeczywistością nie było istotnych przyczyn do porzucania własnego, często dobrze prosperującego, gospodarstwa [...]*

Chęć wyjazdu do Polski deklarowali również Białorusini wyznania katolickiego, dlatego kryteria umożliwiające przesiedlanie się do Polski w 1946 roku zostały zaostrzone. Zgodę na wyjazd udzielały komisje, w skład których wchodził pracownik NKWD. Niestety, nie wszyscy chętni skorzystali z prawa wyjazdu i wbrew własnej woli pozostali na Białorusi. Dane z tamtego okresu podają, że do wyjazdu zarejestrowały się 535 284 osoby, a wyjechało 226 315 (za E. Mironowiczem).

Na Białorusi w małej wsi Gudogaje, w powiecie Oszmiańskim mieszkali moi prapradziadkowie. Michał i Paulina Trusewicz, którzy mieli 5 córek. Najmłodszą była moja prababcia Karolina, która urodziła się 4 listopada 1901 roku.

Głową rodziny był prapradziadek Michał, który był kolejarzem, a praprababcia wraz ze służbą zajmowała się domem i dziećmi. Najmłodsza z córek – Karolina za mąż wyszła za wdowca Józefa Kozicza i urodziło im się pięcioro dzieci, z których dwoje, Ewa i Stanisław, zmarli w dzieciństwie. Z ustnego przekazu prababci moja rodzina pamięta, że na wsi wiele się mówiło o rejestrowaniu ludności polskiej do wyjazdu do Polski w 1945 roku. Jednak nieufność wobec władz radzieckich nakazywała zachować ostrożność w oddawaniu dokumentów, które ówczesne władze białoruskie chciały pozyskać. Sąsiedzi pradiadków, którzy oddali dowody osobiste, niestety, nie dostali zezwolenia na wyjazd. Czułość mojej prababci, która strzegła polskich dokumentów, sprawiła, że wraz z trójką dzieci – 10-letnią Weroniką, 8-letnim Jankiem i 6-letnią Marysią oraz

niewielkim dobytkiem ruszyli wagonami kolejowymi na zachód Polski. To właśnie dzięki dowodowi osobistemu Rzeczypospolitej Polskiej, który jest najstarszą pamiątką w mojej rodzinie, możliwy był wyjazd z Białorusi.

Niestety, po drugiej stronie granicy został brat pradziadka Stefan oraz trzy starsze siostry prababci z rodzinami. Jedynie siostra prababci, Apolonia z rodziną, ruszyła z nimi w tę daleką podróż. Karolina i Józef Kozicz dostali z przydziału 15-hektarowe gospodarstwo przy ulicy Ogrodowej 1 w Choszcznie. Pradziadek gospodarzył na roli, a prababcia wychowywała dzieci.

Dowód osobisty jest najstarszą pamiątką po babci mojego taty, a mojej prababci. Na pierwszej stronie dokumentu widoczne są seria A, numer 774851 oraz nazwa miejscowości, w której był wydany: Starostwo Oszmiańskie, Województwo Wileńskie, Powiat Oszmiański, Dowód Osobisty dla Obywatela Rzeczypospolitej Polskiej, nr dowodu 2342. Druga strona zawiera zdjęcie z podpisem właścicielki dokumentu oraz pieczęciami Starostwa Oszmiańskiego i orłem w koronie.

Szukam więc na mapie miasta Oszmiana. Jest to miasto na Białorusi, które w XV wieku było rezydencją Wielkich Książąt Litewskich. Do 1945 roku było położone w Polsce w województwie wileńskim w pobliżu granicy z Litwą w obwodzie grodzieńskim. W latach 1946–1991 Oszmiana leżała w białoruskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej i była siedzibą władz regionu. Obecnie w mieście działa muzeum krajoznawcze. Bazą Polonii jest Dom Polski, a do najpiękniejszych zabytków należą kościół świętego Michała Archanioła, cerkiew prawosławna i synagoga. Obecnie zamieszkuje w niej 14 800 mieszkańców. Wielkością i zabudową przypomina moje rodzinne Choszczno.

Odnajduję również miejscowość Gudogaje. To mała wieś na Białorusi w obwodzie grodzieńskim. Tu urodziła się moja babcia Maria, a miejscowość ta słynie z drewnianego klasztoru, w którym umieszczono słynący cudami obraz Matki Bożej namalowany w szkole rusko-bizantyjskiej na przełomie XV i XVI wieku. Opiekę nad klaszturem sprawują karmelici bosy, a 15 lipca 2007 roku cudami słynący obraz został koronowany papieskimi koronami, które poświęcił Jan Paweł II. Jest to miejsce pielgrzymek wiernych z Białorusi, Ukrainy, Litwy i Polski.

Ciekawy jest rysopis zamieszczony na trzeciej stronie dowodu: wzrost średni, oczy szare, usta mierne, nos proporcjonalny, włosy blond, twarz owalna, szczególne znamiona – nie ma.

Moja prababcia ukończyła cztery lata szkoły ruskiej i trzy lata szkoły polskiej, a umiejętność czytania i pisania również została odnotowana w dowodzie.

Kolejne zapisy w dowodzie niosą informacje o dacie i miejscu urodzenia, zawodzie, stanie rodzinnym i przynależności państwowej.

Z tej strony dowodu dowiadujemy się o miejscu urodzenia mojej prababci. Jest to wieś Indrubka (oryginalny zapis w dowodzie Indrupka) oddalona od Oszmiany o 25 km. Z języka kresowego pochodzi wyraz określający nazwę zawodu mojej prababci – krawczynia. Prababcia była krawcową, ale nie lubiła tego zajęcia.

Te fragmenty historii mojej rodziny zawarte w zniszczonym, szarym i postrzępionym dokumencie są pamiątką, która jest łącznikiem między moją prababcią, babcią, moim tatą Józefem, który otrzymał imię po swoim dziadku, i mną. Stanowią element układanki, która zostaje zachowana w tej spisanej przeze mnie historii, powstałej z kilkunastu słów, zawartych w dowodzie osobistym, wydanym dawno temu w innym kraju i innej rzeczywistości. Dowód osobisty prababci jest także inspiracją do poszukiwań zdjęć i osób, które wiążą się z moją rodziną, jak to zdjęcie, które przedstawia trójkę przyjaciół Karolinę Trusewicz, Józie Trusewicz, jej siostrę oraz ich przyjaciela Jana Witeckiego.

Prababci nie ma z nami już 40 lat i tylko od moich krewnych dowiaduję się różnych opowieści, ale najczęściej przewija się słowo: nie pamiętam. Nie pamiętają, bo nie mają klucza do sezamu, a mój klucz, którym jest dowód osobisty to korzenie mojej rodziny. Kilka historii opowiedziała mi moja ciocia Zofia, ulubienica prababci, której zostawiła swój dowód ze słowami: – Masz dziecko, na pamiątkę.

Spis treści

Rok 2012 ■ „Tajemnice codzienności”

Aleksandra Sz wajda	
<i>Tajemnice przeszłości</i>	11
Paula Halecka	
<i>Moja lekcja historii</i>	21

Rok 2013 ■ „Nie od razu Polskę zbudowano”

Adrian Dobek	
*** [<i>Nie od razu Polskę zbudowano</i>]	31
Stanisław Łącki	
<i>Nie od razu Polskę zbudowano</i>	35

Rok 2014 ■ „Dziedzictwo – źródło tożsamości”

Weronika Wrzesińska	
<i>Stypa</i>	45
Kamila Król	
<i>Dziedzictwo – źródło tożsamości</i>	48

Rok 2015 ■ „Dziedzictwo utracone – dziedzictwo ocalone”

Jakub Palus	
<i>O trzech duchach z kołbackiego klasztoru</i>	61
Adrianna Gryczyńska	
<i>Wizyta</i>	64

Rok 2016 ■ „Pamięć miejsc i ludzi”

Iga Sulikowska	
<i>Filizanka</i>	77
Marek Nowak	
<i>Zapomniany obóz pracy przymusowej w Jaraczewie</i>	84

Rok 2017 ■ „Smaki dziedzictwa”

Tatiana Kierkosz <i>Groszek „Wolnego strzelca”</i>	93
Marek Nowak <i>Smaki dziedzictwa</i>	104

Rok 2018 ■ „Sąsiedztwo”

Amelia Krzyżanowska <i>Róża, czyli jak zostałam detektywem przeszłości</i>	113
Wojciech Mizgalski <i>Strumiańskie sąsiedztwo</i>	120
Daria Czerniakowska, Dorota Dziergas, Bartek Góralski, Karol Komaszyn, Tycjan Kozdra, Grzegorz Kuballek, Nikola Kuballek, Anna Malcher, Mateusz Mielczarek, Maciek Olearczyk, Marcin Szostak, Joanna Tkacz, Monika Wypych <i>Wspomnienia naszych bliskich...</i>	127

Rok 2019 ■ „W drodze”

Dominika Puzio <i>Droga do historii</i>	143
Zofia Pich <i>W drodze – czyli czteropokoleniowa podróż od wschodu do zachodu</i>	147
Julia Nalewska <i>Droga przez historię wsi Radaczewo</i>	151
Aleksandra Wyszczelska <i>Droga ku wolności</i>	162

Rok 2020 ■ „Korowód pokoleń”

Aleksandra Wyszczelska <i>Korowód pokoleń</i>	175
--	-----

Rok 2021 ■ „Skarbiec pamięci”

Blanka Kotecka [<i>Walizka</i>]	191
Stanisław Lipczyński <i>Album znalezionej w zielonej skrzyni</i>	198
Hanna Rybka <i>Kilka słów, a cały sezam. Historia jednego dowodu</i>	202